ROZMOWA „DO RZECZY"

Patryk Jaki: Gotów jestem do walki o prezydenturę

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 31/589 29 LIPCA–4 SIERPNIA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Kto i co chce ugrać na Ukrainie? Analiza Wojciecha Golonki

KANDYDATKA, W KTÓRĄ NIKT NIE WIERZY

WYBORY W USA: RAPORT SPECJALNY „DO RZECZY"

Chmielewski o głębokim śnie Episkopatu Polski

WIELKA MISTYFIKACJA

ESEJ LESZKA ŻEBROWSKIEGO

Jak lewicowe media próbują wykreować mit Rywy Tajtelbaum

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 31>
Nakład: 46 800 egzemplarzy

ebrasa.pl

REPUBLIKA

Limitowana edycja letnich produktów Republiki!

Kapelusz Republika

Niebieska torebka MINI Republika

Czapka "UCZYŃMY POLSKĘ ZNÓW WIELKĄ"

Kubek Republika biały - 250ml

ZAMÓW NA:
sklep.tvrepublika.pl
lub telefonicznie
22 280 99 39 wew. 4

Parawan plażowy 4m Telewizji Republika

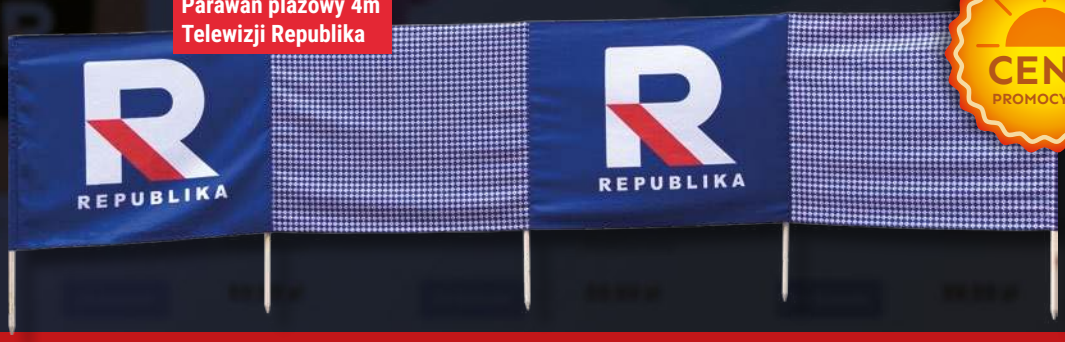

CENA PROMOCYJNA

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Od 12 lipca Telewizja Republika rozpoczęła nadawanie na ogólnopolskim naziemnym multipleksie MUX-8 na kanale 51.
Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika

eprasa.pl f863a161d9

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Bez zaufania do systemu

A więc stało się to, co od dawna już można było przewidzieć. Joe Biden ustąpił z wyścigu o prezydenturę i namaścił na kandydata na prezydenta Kamalę Harris. Kilka razy wspominaliśmy o możliwej rezygnacji Bidena w naszym programie „Antysystem" z Wojciechem Cejrowskim, który wyraźnie mówił o takim planie w maju 2024 r. (kto nie wierzy, może sprawdzić nagranie). Dlaczego to ważne? Ta wiedza, że już kilka miesięcy temu obecny prezydent USA był w stanie dramatycznym, że nie rozumie, co się do niego mówi, że traci świadomość, że rozmawia z martwymi jak żywymi, że znajduje się, jednym słowem, w stanie ciężkiej demencji, mogła być dostępna dla każdego, kto tylko chciał patrzeć.

Otóż, łatwo zauważyć, ogół wielkich mediów nie tylko nie chciał patrzeć, lecz także konsekwentnie, uporczywie, z całą zaciekłością wciskał odbiorcom wielkie oszustwo. Zgodnie z medialnymi doniesieniami Biden znajdował się w świetnej formie, a kolejne kompromitacje były co najwyżej drobnymi wpadkami przy pracy. Do opinii publicznej docierał przekaz prosty jak konstrukcja cepa: dziarski i przenikliwy przywódca wolnego świata i Zachodu śmiało zmierza po zwycięstwo w wyborach, ścierając się z mocami zła, to jest z falami populizmu, faszyzmu i prawicowej ksenofobii, reprezentowanymi przez Donalda Trumpa. Dlatego pierwszym i najważniejszym, sądzę, morałem, który można wynieść z tej smutnej historii (bo osobiście przecież Bidenowi należało współczuć), jest to, że wielkie liberalne media łżą jak pies. Silny Biden był w całości medialną kreacją, iluzją.

To zaś prowadzi do następnych pytań. Kto tak naprawdę rządził w Waszyngtonie, skoro od wielu miesięcy prezydent USA nie miał kontaktu z rzeczywistością? Jak należy w związku z tym traktować jego zobowiązania i zapowiedzi dotyczące polityki zagranicznej, wojny na Ukrainie, wsparcia dla niej i konfliktu z Rosją? Kto tym wszystkim sterował?

Pojawia się pytanie także do innych polityków zachodnich, tych wszystkich, którzy stykali się i spotykali z prezydentem USA. Żaden z nich nie puścił przecież pary z ust. Wszyscy razem uczestniczyli w tej swego rodzaju zmowie, której celem było przedłużenie obecnych rządów demokratów w Białym Domu.

Pytań jest więcej. Skoro przez tyle miesięcy tak konsekwentnie tumaniono opinię publiczną w kwestii stanu zdrowia Joe Bidena, to naturalne jest podejrzenie, że było tak również w innych sprawach. Czy wojna na Ukrainie przebiega tak, jak podaje ogół mediów? Czy też żyjemy w świecie pozorów, w którym to celem mediów nie jest informowanie i przekazywanie prawdy, ale formowanie świadomości, urabianie jej i wytwarzanie nieprawdziwych, zwodniczych i wypaczonych przekazów?

Wątpliwości może być jeszcze więcej. Dlaczego ostatecznie Biden zrezygnował, skoro kilkanaście godzin przed podjęciem tej decyzji twierdził, że o rezygnacji nie ma mowy? Kto i w jaki sposób skłonił go do odejścia? Jaki wpływ na tę decyzję miał wcześniejszy, nieudany zamach na Donalda Trumpa? Z dużym prawdopodobieństwem można przecież stwierdzić, że do próby zamachu doszło wskutek, nazwijmy to tak, dramatycznej wręcz nonszalancji służb specjalnych. Agenci Secret Service nie tylko, że nie wykryli w porę zamachowca, lecz także – jak już wiadomo – wcześniej ich szefostwo odmówiło Trumpowi przyznania dodatkowej ochrony. Jaki jest związek tych faktów z decyzją Bidena?

Wskazana przez prezydenta USA na jego następcę Kamala Harris jest równie jak on, a może bardziej, niepopularna. Jest praktycznie niemożliwe, żeby wygrała w starciu z Trumpem w normalny sposób. Harris jest doskonałym przykładem lewicowej, radykalnej aktywistki, której działalność skupia się na obsesyjnym wspieraniu tzw. praw reprodukcyjnych kobiet, walce o nieograniczony dostęp do aborcji praktycznie do chwili urodzin dziecka oraz promowaniu wszelkich innych wynaturzeń i lewackich szaleństw genderystycznych. Co do ideologii, reprezentuje zatem to samo lewackie przesłanie, tylko w postaci jeszcze bardziej emocjonalnej i prymitywnej. Szczerze i z całego serca nienawidzi tak Trumpa, jak całej normalnej, tradycyjnej, zwykłej Ameryki. Na co zatem liczą ci, którzy trzymali tak długo przy władzy Bidena i teraz zamienili go na Harris?

Obecna kampania w USA coraz mniej przypomina zwykły, teatralny spór polityczny, których tyle zna demokracja, a coraz bardziej przygotowanie do wojny domowej, w której to stają przeciw sobie nie oponenci, ale zaciekli wrogowie. W warstwie retorycznej toczy się ona na całego. Czy w listopadzie przejdzie ona ze sfery słów do czynów? Nie można tego wykluczyć. Ameryka nigdy nie była aż tak głęboko rozdarta jak obecnie. A wielkie medialne oszustwo, którym była próba utrzymania Bidena u władzy, tylko przyczyniło się do utraty zaufania do systemu. ©℗

eprasa.pl f863a161d9

TEMAT TYGODNIA

14 LESZEK ŻEBROWSKI
PARODIA KONSPIRACJI, CZYLI RYWIAŃSKI MIT
Wielka mistyfikacja w książce historycznej

RAPORT „DO RZECZY"

20 JACEK PRZYBYLSKI
GWIAZDA LEWICY
Kandydatka bez większych szans

23 PIOTR WŁOCZYK
W LEWO ZWROT!

KRAJ

26 ROZMOWA Z PATRYKIEM JAKIM
ODBIĆ POLSKĘ
Bezprawie jest częścią planu mocodawców Tuska

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KRYZYS WIARY

30 JAN POSPIESZALSKI
TŁAMSZONY GŁOS NORMALNOŚCI

32 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
ZATARCIE WINY

34 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
SPADAJĄCA GWIAZDA

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
POKALANE POKOLENIE

KULTURA

38 PIOTR SEMKA
HEROSI Z 36 QUAI DES ORFÈVRES
Służba najwyższej próby

42 PIOTR GOCIEK
SUMIENIE HARRY'EGO

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
GŁĘBOKI SEN EPISKOPATU
Kościół w opałach

53 FILIP MEMCHES
TEN STRASZNY „POPULIZM"

56 WOJCIECH GOLONKA
ROZEJM CZY ESKALACJA?

HISTORIA

58 ROZMOWA Z DANIELEM LISEM
PARYŻ 1924
Polska na igrzyskach

DODATEK SPECJALNY

61 **80. ROCZNICA WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO**

ŚWIAT

74 KACPER KITA
NA LEWO OD KOMUNISTÓW. NADSZEDŁ CZAS FRANCUSKIEGO CHÁVEZA?
Nowe rozdanie we Francji

77 MACIEJ PIECZYŃSKI
TAJEMNICE KLANU KADYROWÓW

EKONOMIA

82 ŁUKASZ WARZECHA
SOCJALIŚCI POBOŻNI I BEZBOŻNI
A w biznesie jak zwykle

85 ROZMOWA Z KAROLEM KUDRĄ
BUTY BĘDĄ MIAŁY CYFROWE PASZPORTY

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK
WSIĄŚĆ DO POCIĄGU (NIE) BYLE JAKIEGO
Urlop na torach

WAKACJE Z „DO RZECZY"

90 JACEK PAŁKIEWICZ
SAMOTNE PODRÓŻNICZKI
Podróże z Pałkiewiczem

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (73), PRZYBYLSKI (80), GABRYEL, WARZECHA (81), KOMUDA (92), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (96), ROSZKOWSKI (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl f863a161d9

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **na podstawie fotografii Rywy Tajtelbaum ze zbiorów ŻIH, opracowanie graficzne: 12 KREDEK**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 800 egzemplarzy
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Masakra w Hebronie

Wzmianka w artykule W. Repetowicza („DRz nr 29/2024), że żydowski fanatyk Baruch Goldstein zamordował w Jaskini Praojców w Hebronie „29 modlących się tam Palestyńczyków", wymaga dopowiedzenia. W lutym i marcu 1994 r. przebywałem w Stanach Zjednoczonych. W dniu masakry, 25 lutego, w którym przypadało – co w tym kontekście jest bardzo ważne – święto Purim oraz trwał muzułmański ramadan, amerykańskie media podały, że z rąk zamachowca zginęło „co najmniej 69 Palestyńczyków". Nazajutrz informowano o „co najmniej 59 Palestyńczykach", dwa dni później o „co najmniej 49", wkrótce o „co najmniej 39", a w końcu liczba zamordowanych przez Goldsteina została ustalona na 29 Palestyńczyków. I ta wersja obowiązuje.

ks. prof. Waldemar Chrostowski

Dziesięć w skali Tuska

Szanowna Redakcjo,
często czytam o ważnym stanie emocjonalnym polityków, działaczy społecznych, dziennikarzy – jest nim wściekłość. Na przykład ostatnio wściekli byli Bart Staszewski, Marcin Kierwiński, Roman Giertych, Donald Tusk, Tomasz Lis. Dla mnie, obywatela Polski, bardzo ważna jest informacja o poziomie wściekłości osób mających wpływ na polskie społeczeństwo. Dlatego proponuję, aby grono kompetentnych osób opracowało uporządkowaną, punktową klasyfikację poziomu wściekłości, aby politycy mogli precyzyjnie informować o tym, w jakim stanie są wściekli.

Z poważaniem i pozdrowieniami
Krzysztof Prochaska, Łódź

Wyjaśnienie

W felietonie Marka Jurka „Antyfaszyzm w natarciu" („Do Rzeczy" nr 30/2024) zdanie: „W czasach PRL znanego autora kryminałów, a przed wojną jednego z czołowych działaczy młodonacjonalistycznych, wywieziono w pierwszym transporcie do Berezy Kartuskiej" powinno brzmieć: „W czasach PRL znanego autora kryminałów, a przed wojną – jednego z czołowych działaczy młodo-nacjonalistycznych, w pierwszym transporcie do Berezy Kartuskiej". Za błąd przepraszamy.

Korekta tygodnika „Do Rzeczy"

eprasa.pl f863a161d9

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Bigos brukselski

Ludowcy, liberałowie pod wodzą Macrona i socjaliści odbudowali swoją wszechwładzę nad Komisją Europejską. Ursula von der Leyen ponownie nią pokieruje.

W głosowaniu kandydaturę Niemki poparła ponad połowa konserwatywnej frakcji EKR – na czele z partią Giorgii Meloni Fratelli di Italia, Partią Finów, czeskim ODS i Belgami z Nieuw-Vlaamse Alliantie. Podział w EKR był prosty – te partie, które są u władzy same lub w koalicjach, poparły von der Leyen. Ci, którzy są w opozycji, jak np. PiS, głosowali przeciw.

Poparcie dla von der Leyen ma być politycznym żetonem, za który konserwatyści mają dostać to i owo przy podziale miejsc w KE. Tyle że ten cichy deal Meloni z niemiecką przewodniczącą zatruwa relacje wewnątrz frakcji EKR.

Aby załagodzić animozje z PiS, Meloni poparła pomysł, by nowym szefem politycznego aliansu EKR był Mateusz Morawiecki.

Spyta ktoś, dlaczego PiS-owcy nie mogą przejść do grupy Tożsamość i Demokracja, której dotąd przewodziła partia Marine Le Pen? PiS niespieszno do „tożsamościowców" z racji podejrzeń, że jest to ta część europrawicy, która lekceważy zagrożenie ze strony Rosji. Teraz tendencja ta może się wzmocnić za sprawą wejścia do TiD partii Viktora Orbána, za którą podążają austriaccy wolnościowcy z FPO oraz czescy tożsamościowcy z partii SPD Tomio Okamury. Po prawej stronie jest jeszcze niemiecka AfD, od której trzymają się daleko zarówno Rasemblence Nationale pani Le Pen, jak i PiS.

Skąd tak duże rozbicie wśród konserwatystów?

W Parlamencie Europejskim brak jest wyrazistej postaci, która potrafiłaby łączyć, a nie dzielić. W Brukseli dominują pomysły polityczne oparte na bardzo krótkoterminowych rachubach.

PiS nie czuje się najlepiej w EKR, ale to i tak nic na tle skłócenia brukselskiej delegacji Konfederacji. Rozpadła się ona na trzy obozy. Pierwszy, pod nieformalnym patronatem Sławomira Mentzena (Stanisław Tyszka, Ewa Zajączkowska-Hernik i Marcin Sypniewski), dał się skusić AfD, która tworzy nową frakcję Europa Suwerennych Narodów. Nie zaakceptował tego duet Anna Bryłka i Tomasz Buczek, którzy zamierzali zwrócić się ku frakcji Tożsamość i Demokracja, ale na razie nie zostali zaakceptowani. Grzegorz Braun z góry wybrał dla siebie rolę niezrzeszonego.

Europejska prawica ugrzęzła w partykularyzmach i nieufnościach. Być może wszystkie te trzy frakcje będą gotowe do jakiegoś wspólnego działania, to jednak nic pewnego. PiS-owcy we frakcji EKR czekają, aż Meloni ułoży swe relacje z von der Leyen i jakie miejsca dla PiS przypadną przy podziale stanowisk w europarlamencie. Wielkich powodów do radości wśród PiS-owców nie ma, a Konfederaci są skłóceni. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

RUSZYŁY IGRZYSKA W PARYŻU

W piątek 26 lipca w stolicy Francji rozpoczęły się igrzyska olimpijskie 2024. Impreza potrwa do 11 sierpnia. Łącznie rozdanych zostanie 329 kompletów medali. Polscy kibice liczą na co najmniej kilkanaście krążków: za pewniaków do medali uważani są nasi siatkarze, a także nasze kajakarki i szpadzistki. Wśród faworytów są również m.in. Iga Świątek, Aleksandra Mirosław czy Wojciech Nowicki. Poza sportowcami władze Paryża spodziewają się również ponad 15 mln turystów. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl f863a161d9

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Do tej pory myśleliśmy, że w Trzeciej Drodze trwają poufne konsultacje, żeby obalić Władysława Kosiniaka-Kamasza. Jednak jedna z naszych wiewiórek podróżowała ostatnio koleją w towarzystwie trzyosobowej grupy posłów od Hołowni, którzy omawiali między sobą oraz telefonicznie z innymi parlamentarzystami plan obalenia Hołowni. Nie będziemy nazywać tego spiskiem, bo rozmowę słyszało co najmniej pół wagonu.

Inni knują po cichu, ale z profesjonalną pomocą. Sztuczna inteligencja – jak już powszechnie wiadomo – pisze wypracowania uczniów, prace semestralne, a nawet magisterki studentom. Po raz pierwszy dowiedzieliśmy się jednak, że pisze również sejmowe interpelacje. Uświadomił nam to jeden z posłów opozycji, który osiąga rekordy, jeśli chodzi o liczbę składanych interpelacji. Przyznał, że większość jego interpelacji powstała przy użyciu ChatGPT, a on jedynie nanosił drobne poprawki. Obawiamy się jedynie, że jeśli na interpelacje również zacznie odpowiadać sztuczna inteligencja, to parlamentarzyści przestaną być potrzebni.

Warto rozmawiać. W minionym tygodniu do rozmowy rwali się np. różni politycy PiS, którzy wydzwaniali do dziennikarzy i liderów opinii (to drugie – to my), żeby opowiadać, jak bardzo nikt nie chce z partii wychodzić za Janem Krzysztofem Ardanowskim. Wierzymy tylko w wiadomości energicznie dementowane, więc kupujemy popcorn i czekamy na nasz ulubiony ciąg dalszy.

Tymczasem obciążenie sądów warszawskich ostatnio spadło. Nie ma to jednak nic wspólnego z wakacjami. Otóż sądy nie muszą się już zajmować wnioskami służb specjalnych o tzw. kontrolę operacyjną zwaną popularnie podsłuchami. Można powiedzieć, że liczba takich wniosków jest wprost proporcjonalna do spadku dochodów budżetu z tytułu VAT. I nie jest koincydencja przypadkowa.

Wzmożenie jest za to na innym kierunku. Reżim wysłał jakiś czas temu funkcjonariuszy do domu teściów Zbyszka Ziobry, kontynuując absurdalną akcję pokazowych poszukiwań człowieka, o którym powszechnie wiadomo, że jest ciężko chory i leczy się w szpitalu. Co ciekawe, Ziobro nigdy nie mieszkał w tym domu, i z tego, co wiemy, nie zamierza. To w sumie dobra wiadomość – reżim nie wie jeszcze o nas wszystkiego.

Skoro już o naszym wymiarze niesprawiedliwości. Wiecie, dlaczego prokuratura zwlekała z zatrzymaniem Marcina Romanowskiego przez cały weekend, choć zgłosił się on do niej osobiście w piątek? Pierwszym wyjaśnieniem jest piątek, piąteczek, piątunio, czyli to, że życie w neoprokuraturze zaczyna zamierać w czwartek, a w piątek po godz. 13 trudno kogokolwiek poza służbą więzienną pilnującą gmachu uświadczyć.

Jest jednak i inna przyczyna. Otóż w weekend na tzw. dyżur aresztowy wyznaczony był sędzia, który nie należy do żadnej z dwóch partii politycznych skupiających sędziów, a znanych jako Iustitia lub Themis. Rodziło to podejrzenia do jego zbytniej niezawisłości. Pikanterii całej sprawie dodaje to, że w poniedziałek wniosek o umieszczenie w ciupie Romanowskiego odrzuciła sędzia należąca do Iustiti. Niezbadane są wyroki boskie i sędziowskie.

No i wykrakaliśmy. Ledwie pojechał do druku numer „Do Rzeczy", w którym propagowaliśmy hasło „Joe Bye Then", a już 24 godziny później okazało się, że Biden rzeczywiście bye i zastąpi go Kamala Harris. Dla tych, którzy nie śledzą polityki: Kamala to skrzyżowanie Joanny Scheuring-Wielgus z Barbarą Nowacką, przyprawione odrobiną Marty Lempart. Kamala jest świetną kandydatką. Bardzo, bardzo dobrą. Tak dobrą, że aż sam Barack Obama początkowo jej nie poparł. Sądzimy, że Barack może być rasistą.

Tymczasem w Polsce. Wszystko jest winą PiS. Podwyżki cen wody, zawał w służbie zdrowia, zdechłe ryby w rzece, nie mówiąc o nieuwaleniu ustawy aborcyjnej. Zaczynamy podejrzewać, że PiS cały czas rządzi, tylko o tym nie wie.

Na szczęście fenomen Trumpa to nie jest wina PiS. A czyja? No, sprawca się ujawnił. Jest nim niejaki Lech TW „Bolek" Wałęsa, który ogłosił, że to on poradził Trumpowi, żeby z biznesu poszedł w politykę. Zadamy prowokacyjne pytanie: Kto przez ostatnie dekady promował, wybielał i hodował Wałęsę? Donald, ale ten z Sopotu. Wiemy więc, że przynajmniej za pojawienie się Trumpa odpowiada Tusk.

Wieści z Brukseli. Grupa habsburska Orbána i inni antyunici zostali całkowicie pominięci w obsadzaniu stanowisk w europarlamencie – żadnych wicków, komisji i tak dalej. Dużo stanowisk dostali natomiast Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy, w tym PiS. Cóż, nie powinni. Rozmaite kampanie wyborcze przed nami i doskonała okazja, by sekowani orbanoidzi pozycjonowali się jako prawdziwa opozycja wobec szaleństw Unii. A PiS i reszta EKR? Cóż, w tej sytuacji to po prostu kolaboranci.

Dyplomacja. Były rzecznik MSZ, Łukasz Jasina, zdemaskował obecnego rzecznika resortu, Pawła Wrońskiego, jako źródło przecieku na temat roszczeń ambasadora Marka Magierowskiego za odwołanie go przed terminem z placówki w Waszyngtonie. Problem polega na tym, że Magierowski, żądając ok. miliona złotych, nie wziął tej sumy z sufitu. Policzył tylko, ile zarabiali jego poprzednicy, w tym jeden z naszych najdroższych ambasadorów – Ryszard Schnepf. ©℗

eprasa.pl f863a161d9

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Delojalizacja

Tusk robi zdumiewająco wiele błędów jak na polityka z takim doświadczeniem, ale właśnie strzelił głupstwo, które dla jego dalszych rządów może być bardziej brzemienne w skutki niż cokolwiek innego. Myślę o wyrzuceniu ze stanowiska wiceministra rozwoju Waldemara Sługockiego.

Sługocki nie wziął udziału w głosowaniu nad legalizacją aborcji, ponieważ był w tym czasie ze służbową wizytą w USA. Przyczyna nieobecności wiceministra najwyraźniej nie dotarła do Tuska, który na gorąco, po przegranym głosowaniu, chcąc wściekłym „silnym razem" rzucić kogoś na pożarcie, rzucił właśnie jego. Gdy potem wyjaśniono, że nieobecność Sługockiego była w pełni usprawiedliwiona (podobno rozmawiał w tym czasie z przedstawicielami NASA), Tusk zastosował coś, co pamiętam sprzed wielu lat jako zasadę głoszoną przez Korwin-Mikkego: polityk jak już raz coś powie, to nie może się z tego wycofywać, bo traci wiarygodność. W związku z tym Tusk wyrok podtrzymał. Żeby było śmieszniej, ogłosił go na jednym oddechu z rozgrzeszeniem Giertycha, który podczas głosowania w Sejmie był, tylko wyjął kartę, argumentem, że ten jeden głos – Giertycha nie przeważył. Fakt, PO przegrała kilkunastoma głosami. Ale dlaczego w takim razie głos Sługockiego przeważył?

Chociaż sam odwołany przyjął dymisję wiernopoddańczymi deklaracjami i podziękowaniami, to jest ona dla wszystkich ludzi Tuska sygnałem: stary się z wami nie liczy. Wedle zasady z filmu „Kroll": „albo my ich, albo oni was". Publicznie chełpi się, jak to ochrzania swoich ministrów, a teraz jeszcze to. Możesz się urobić, być wiernym premierowi jak pies, a on potem cię rzuci mediom na pożarcie, bo „się wściekł" i ktoś musi beknąć za wtopę, a przecież nie on i nie żaden z jego kumpli.

Wniosek jest oczywisty: nie wychylać się, broń Boże nie mówić naczalstwu, jak jest jakiś problem albo jak robi ono coś głupiego, dbać o „dupochron" (zamówcie tam u jakiegoś profesora ekspertyzę prawną, że się nie da!). Na dłuższą metę tak rządzić nie sposób. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Uważaj, co mówisz!

Konceptem „homoseksualizmu" posługuje się już tylko homofobiczna reakcja. Odwołując się zresztą do reakcyjnej argumentacji: „Zawsze tak mówiono i zawsze uważano to za obiektywne określenie, a nie inwektywę". Konserwatyści arogancko używają skrótu LGBT. Ludzie naprawdę szanujący wartości Społeczeństwa Otwartego mówią o LGBTQI+. Mówią tak dziś, ale są gotowi jutro mówić inaczej. Tymczasem nie zapominają zaznaczać, że chodzi i o osoby, i o „społeczności". Gdyby tego nie dodali – można by pomyśleć, że chodzi o neologizm czy ideologię. Oto język społeczeństwa w przebudowie! Z natury język jest narzędziem porozumiewania, znamieniem człowieczeństwa, fenomenu osobowego, polegającego na osobnym udziale poszczególnych ludzi, obdarzonych własnym rozumem i wolą, w uniwersalizmie tej samej natury ludzkiej. Natura ta poddana jest jednak testowi wolności: ludzie i ich wspólnoty muszą dobrowolnie zachowywać naturę rzeczy, bo są również w stanie ją niszczyć, używając rzeczy do zupełnie innych celów niż ich przeznaczenie w uniwersum ludzkiej kultury. Na przykład używając broni, nie żeby się bronić, ale by napadać. Wysiłek wolności to wzniosła tragedia – i na podkreślenie zasługują tu oba te słowa.

Sam język z narzędzia porozumienia można zmienić w formą kontroli, a nawet tresury. Taki sens mają nie tylko pojęcia, lecz także same ustawiczne zmiany. Testują uległość prawdziwą, taką, która nie ogranicza się do jednorazowych koniunkturalnych lub obojętnych ustępstw. Pozornie niewinne zmiany, np. przyimków (należy mówić „w" Ukrainie", a nie „na" Ukrainie), pozwalają odróżnić tych, którzy swą reakcyjną postawę zasłaniają „intencjami" (oczywiście „najlepszymi"), od tych, którzy są świadomi, że postęp społeczny wymaga instytucji, ciał i urzędów, które go przeprowadzą. I powszechnej gotowości, by za postępem i jego organami nadążać. Bez tego największy rewolucyjny wysiłek pójdzie na marne. ©℗

eprasa.pl f863a161d9

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O feminatywach

W Italii rozpętała się wojna o feminatywy. Sprawa jest poważna, bo uwikłany w nią jest Senat Republiki Włoskiej. Z najnowszych doniesień z frontu zaciętych walk wynika, że projekt ustawy w tej sprawie złożył w komisji legislacyjnej Manfredi Potenti, senator prawicowo-populistycznej Ligi (dawna Liga Północna) wicepremiera Mattea Salviniego. Projekt nazwany „Dyspozycje w obronie języka włoskiego" przewiduje karę od 1 tys. do 5 tys. euro za używanie feminatywów w oficjalnych dokumentach urzędów i instytucji publicznych.

Generalnie chodzi o to, by nie używać w nich takich określeń jak burmistrzyni, kwestorka, ministra czy inżynierka zamiast burmistrza, kwestora, ministra i inżyniera. W dokumencie zapisano, że zakaz dotyczy również stopni wojskowych, wykluczając oficerkę, sierżantkę czy generałkę, nie mówiąc już o marszałkini czy starszej szeregowej.

Kuriozalny pomysł nie wziął się jednak znikąd. Zdaniem uważnych obserwatorów zażartej wojny o końcówki był odpowiedzią na prowokację szalonych feministek i feministów na superpostępowym uniwersytecie w Trydencie. Odpowiedzialni za nowe wydanie regulaminu uczelni w opublikowanym tekście użyli wyłącznie feminatywów. Wyparowali rektor, dziekan, profesor i docent, a wparowały rektorka, dziekanka, profesorka i docentka.

Rektor, pardon, rektorka Flavio Deflorian ze skruchą wyznał, że dopiero czytając nowy regulamin, na własnej skórze poznał, jak cierpieć muszą kobiety traktowane rodzajem męskim. Padła propozycja, by w ramach reedukacji męskich szowinistów wprowadzić takie zmiany we wszystkich dokumentach uczelni bez względu na płeć zainteresowanych.

Naturalnie włoski ruch feministyczny na reedukacji szowinistów nie poprzestaje. Kilka dni temu w studiu telewizyjnym kwiat włoskiego feminizmu debatował nad tym, jak uleczyć ponurą sytuację społeczną i polityczną w Stanach Zjednoczonych. Wyszło na to, że to bułka z masłem. Wystarczy zrobić prezydentką Michelle Obamę, a jej wice gubernatorkę Michigan Gretchen Whitmer. Proste, nie? ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl f863a161d9

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

O PSIE

Ależ się zagotowało, ależ zawrzało! Wystarczyło kilka zdań sędziwego prof. Jerzego Bralczyka, aby portale i profile gwiazd zapełniły się wynurzeniami pełnymi oburzenia. Znany językoznawca został zapytany o to, jak mówić o zwierzętach. – A „osoby ludzkie" i „nieludzkie", jeśli mogę? Ten wątek tylko, a „osoby ludzkie" i „nieludzkie", te „nieludzkie zwierzęce", czyli pies jako „osoba nieludzka", to profesorowi pasuje czy umiarkowanie? – zagaiła dziennikarka TVP Info

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

przepytująca profesora. – Nie, nie pasuje mi – odpowiedział. – Tak samo, jak nie pasuje mi np. „adoptowanie zwierząt". Też mi nie pasuje. Jednak co ludzkie, to ludzkie. Jestem starym człowiekiem i te tradycyjne formuły i tradycyjny sposób myślenia... Nawet mówienie, że choćby najulubieńszy pies „umarł", będzie dla mnie obce. Nie, pies niestety „zdechł". Bardzo lubię zwierzęta, naprawdę – zastrzegł ekspert, stawiając sprawę „umierania" i „zdychania" bardzo jasno. Profesor Bralczyk nie mógł poruszyć chyba bardziej czulszej struny u rodzimych celebrytów. Wśród oburzonych jest prezenterka Katarzyna Dowbor. „Długo się zastanawiałam, czy zabrać głos w tak bulwersującej sprawie, jak wypowiedź językoznawcy prof. Bralczyka. Jednak nie jestem w stanie udawać, że nic się nie stało. Stało się! Zwierzęta nie zdychają, tylko umierają! Tak samo czują jak my, cierpią, kochają i umierają jak my!" – oburza się Dowbor. Przekonuje, że słowo „zdychać" jest „poniżające, lekceważące i obraźliwe". „Trzeba być człowiekiem bez serca i bez empatii, by używać go wobec zwierząt czy ludzi. Mój Benio umarł rok temu i ciągle go opłakuję. Pepe odszedł... umarł i jest w moim sercu. Panie profesorze, szacunek należy się naszym braciom mniejszym i w tym przypadku w nosie mam poprawność językową!" – czytamy w instagramowym wpisie prezenterki. A prof. Bralczyk ma zapewne w nosie opinię pani Dowbor. I tak to się kręci.

STOP DZIADERSOM

Pretensjom nie ma końca. Jak w przypadku każdego nośnego tematu, skomentowania całej sprawy nie odmówiła sobie Karolina Korwin-Piotrowska. „Mam psy całe życie, ponad pół wieku, i żaden z nich nie zdechł. Wszystkie umierały, przechodziły za tęczowy most, do psiego nieba, otoczone do samego końca miłością. Jestem od sześciu lat opiekunką pewnego Lolka, który został przeze mnie adoptowany. Jest częścią mojej rodziny, ba, czasem jej szefem. Uczestniczyłam w kilku adopcjach zwierząt. To piękna rzecz, polecam, pokazuje, że jako gatunek jesteśmy super, to okoliczności robią z nas głupców" – powiedziała w wywiadzie dla Pudelka. Korwin-Piotrowska współczuje prof. Bralczykowi „zmurszałego i pozbawionego empatii podejścia do naszych braci mniejszych". „Świat się zmienia i zaczynamy doceniać emocje oraz uczucia zwierząt. I czy się to podoba dziadersom czy nie, nasze zwierzęta będziemy adoptować, kochać do samego końca, kiedy to umrą, powodując wyrwę w naszych sercach, często większą niż odejście niejednego dwunożnego stwora, który z pogardą i niezrozumieniem ogląda zmieniający się świat" – podsumowała. Kto ma inne zdanie niż my, dziadersi. Ziew, ziew.

(NIE)WYBOISTA DROGA NA SZCZYT

Aktorkopiosenkarka Julia Wieniawa, która w tym roku znalazła się na liście najbardziej wpływowych kobiet w Polsce według „Forbes Women", opowiedziała, jak to się robi. To znaczy, jak się robi taką kasę – jej wizerunek wycenia się bowiem na 208 mln zł. „Dzięki mojej przedsiębiorczej mamie kupiłam pierwsze mieszkanie w wieku 18 lat. Powiedziała mi: »Julia, masz dobry czas. Zobacz, przychodzą te projekty, jacyś klienci, pierwsze reklamy. Ziarno do ziarnka, aż zbierze się miarka. Kup pierwsze mieszkanie, będziesz miała dobry start, a potem już możesz się bawić« i rzeczywiście tak było. Dopiero jak kupiłam drugie mieszkanie, kupiłam sobie drogą torebkę" – wyznała portalowi eska.pl. Celebrytka podkreśla, że pieniądze dają szczęście i możliwości, dlatego „kocha zarabiać". „Mam bardzo zdrową relację z pieniędzmi. Kocham pieniądze i od dziecka wiedziałam, że na pewno będę kiedyś bogata, ja to po prostu wiedziałam. Tylko że ja nie mam czegoś takiego, że to jest mój cel [...]. Pieniądze to jest energia. Wydaję – zaraz wrócą. Przez to, że mam taki luz, one przychodzą. Nigdy się na tym nie skupiam. Ja już teoretycznie nie musiałabym pracować, ale kocham pracować" – podkreśla Wieniawa. Przyznała, że nawet nie wie, ile ma obecnie w portfelu. „Tak się właśnie zawsze zastanawiam, jaki jest taki pułap, taka kwota, którą trzeba mieć na koncie, żeby już mieć luz, że już nie chcesz więcej. Ja np. tego nie mam, nawet nie wiem, ile mam aktualnie na koncie. Nie sprawdzam tego, bo nie muszę pod takim względem, że o jutro się nie martwię, ale to nie jest mój cel. Ja kocham zbierać CV" – przekonuje gwiazda. Jedni zbierają na wkład własny do kredytu, inni wpisy do CV. Takie życie. ©℗

eprasa.pl f863a161d9

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, czytamy, iż duże spółki giełdowe będą musiały wprowadzić parytet. Na jego mocy w ich radach nadzorczych i zarządach będzie musiała znaleźć się przynajmniej 33-procentowa reprezentacja jednej z płci. Niby fajnie, ale jest to sooo 2009.

Od tamtej pory bowiem nauka poczyniła znaczny krok naprzód i wiemy teraz, iż płci jest zdecydowanie więcej niż dwie, a zatem parytety powinny obejmować ich większą liczbę. W dodatku wiemy też, iż płeć nie jest niczym stałym, a więc parytety powinny uwzględniać i to, a zatem przydałby się jakiś kuc z polibudy, który przedstawiłby na to jakiś wzór.

W dodatku wiemy też już, iż poza tożsamością płciową istnieje wiele innych kryteriów, według których powinny być określane parytety. Na przykład podejście do diety, psacierzyństwa, wyznanie (of kors inne niż katolickie, nie przesadzajmy xD) i wiele, wiele innych, które można by mnożyć, ale których i tak większość polskich januszexów nie byłaby w stanie zrozumieć.

Kiedy czytacie te słowa, rozpoczęły się już igrzyska olimpijskie. Nie popieramy. To kolejny festiwal ku czci fizyczności, gdzie promowane są osoby lepiej uposażone mięśniowo czy wydolnościowo, a słabsze osoby nie mają szans na zdobycie miejsca, za które przyznaje się tzw. medale. A w dodatku nadal występuje tam podział na zawody męskie i kobiece. Mało to postępowe. Ale czego się spodziewać po tradycji wywodzącej się ze średniowiecza i podtrzymywanej w niezmienionej formie?

W dodatku ze zdumieniem przyjęliśmy informacje, iż w czasie igrzysk dochodzi do wyzysku osobokoni, które służą osobom ludzkim w konkurencjach jeździeckich. Jest to naszym zdaniem skrajnie niesprawiedliwe traktowanie, iż osobokonie nie stają później na podium, nie wiemy tego na pewno, ale chyba nie dostają medali, a już na pewno nie przysługuje im emerytura olimpijska. Poza tym, o ile dobrze widzimy i research nas nie zawiódł, to przez przeszkody skacze koń, a nie dżokej, więc cały splendor spływający na człowieka to gatunkizm i dyskryminacja.

Kolejna sprawa to używanie przez „sportowców" broni. Konkurencje strzeleckie polegają niby na strzelaniu do tarczy. Ale czy w dobie wszechobecnej debaty nad dostępnością do broni palnej nie powinniśmy ograniczać jej widoczności w przestrzeni publicznej? Przecież te zawody mogą też oglądać osobodzieci bądź hoplofobiczne osoby dorosłe, bądź identyfikujące się jako dorosłe. Mogą natknąć się na takie sceny w telewizji przez przypadek. Czy MKOl zapewni im wsparcie? I co z zachęcaniem w ten sposób innych do tego, iżby też wzięli do ręki karabinek, czy jak to się nazywa, i poszli strzelać, zapisali się do klubu? Czy chcemy popularyzacji korzystania z broni palnej w celach sportowych?

W ogóle na tych igrzyskach jest też pełno przemocy: mamy boks, zapasy, judo – wszystko to są sporty odwołujące się do pierwotnych prymitywnych instynktów. A do tego wszelkie konkurencje z użyciem broni białej, jakieś szermierki i tym podobne, które wyraźnie wskazują na średniowieczne pochodzenie całej tej imprezy. Czy naprawdę świat nie ma się czym interesować? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Głupi, ale nasi

Donald, ale ty wiesz, że ta cała Kamala taka najmądrzejsza to nie jest?
No wiem, Radziu, wiem, słuchałem sobie na jutubie jej paru wystąpień. Ja ci powiem więcej: ona głupia jest potwornie.

Nie chciałem być taki dosłowny.
No ale popatrz np. na taką Małgosię. Czy ona jest mądra?

Szczerze mówiąc... niespecjalnie.
No widzisz. A była nawet naszą kandydatką na prezydenta... czy tam prezydentkę. I trzeba jej było bronić, że jest inteligentna i takie tam.

W sumie racja. Już wolę zachwalać Kamalę niż tego Breżniewa w wersji amerykańskiej.
Ty lepiej pomyśl, jak Klicha pokazać jako mądrego. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Proponuję przerwać ten cyrk, postawić Dudę przed Trybunałem Stanu [...]".

STEFAN NIESIOŁOWSKI, *były poseł, na portalu X*

eprasa.pl f863a161d9

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

Orle Pióro, wydawca tygodnika „Do Rzeczy", planuje debiut na giełdzie!

Credo redakcji tygodnika „Do Rzeczy"
przyjęte przez Redakcję i Wydawcę
Warszawa, dnia 21 stycznia 2013 roku

Tygodnik „Do Rzeczy" jest pismem konserwatywno-liberalnym.

Konserwatywnym, bo szanuje tradycję chrześcijańską, odwołuje się do sprawdzonych i trwałych zasad etycznych w życiu publicznym, przeciwstawia się eksperymentom społecznym, które podkopują i naruszają odziedziczony ład wartości, bo poważnie traktuje polską pamięć narodową, niepodległość państwa i jego podmiotowość. **Liberalnym,** bo popiera wolność gospodarczą, docenia przedsiębiorczość i twardo będzie stawał w obronie nieskrępowanej wolności słowa oraz swobody debaty publicznej.

Tygodnik chce być wyrazistym głosem w polskiej debacie publicznej. Głosem, który ma wpływ na opinię publiczną, który się słyszy i bierze pod uwagę. Ale ma to być głos niezależny, wolny od partyjnych uwikłań, reprezentujący interes ogółu. Najważniejszym punktem odniesienia dla publicystów i dziennikarzy tygodnika będą Czytelnicy. Zdobycie i zachowanie ich zaufania jest nadrzędnym celem redakcji.

Dlatego redakcja, wydawca i dziennikarze zamierzają przestrzegać Kodeksu Dobrych Praktyk, dokumentu opracowanego i przyjętego w 2005 r. przez Izbę Wydawców Prasy, jak również szanować inne kodeksy i wysokie standardy związane z zawodem dziennikarza – jak np. Karta Etyki Mediów (Rady Etyki Mediów), czy Kodeks Etyki Dziennikarskiej (Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich).

Rolą wydawcy i redaktora naczelnego jest dbanie o zaznajamianie z treścią niniejszego dokumentu i przyjętych zasad wszystkich dziennikarzy i pracowników tworzących zespół tygodnika „Do Rzeczy".

Michał M. Lisiecki
Wydawca

Paweł Lisicki
Redaktor Naczelny

eprasa.pl f863a161d9

Wolność to Konkret!

Przejdźmy DoRzeczy

ZAINWESTUJ

Zostaw swój e-mail na naszej stronie, aby otrzymywać najnowsze informacje i wspierać niezależne dziennikarstwo.

Odwiedź naszą stronę: www.dorzeczy.pl/gielda lub wyślij swój adres e-mail, SMS/WhatsApp na numer: +48 508 040 882, a my wyślemy Ci informację zwrotną.

Gwarancja Prywatności:
Twoje dane są bezpieczne. Nigdy nie udostępnimy Twojego adresu e-mail osobom trzecim.

Ilustracja: Wydanie numer 1 z 2013 r.

KORZYŚCI DLA CIEBIE:

Bądź na bieżąco:
Otrzymuj najnowsze informacje o naszym debiucie na giełdzie.

Dostęp do ekskluzywnych treści:
Zarezerwowanych tylko dla naszych subskrybentów.

Wspieraj wolne media:
Twoje zaangażowanie pomaga nam tworzyć wartościowe treści.

INWESTUJ I ZYSKAJ!

Już wkrótce więcej szczegółów inwestycyjnych od nas i naszego biura maklerskiego.

eprasa.pl f863a161d9

Parodia konspiracji, czyli Rywiański mit

Leszek Żebrowski

Książka Michała Wójcika „Rywka. Śmierć ze złotym warkoczem" to wyjątkowy przykład zakłamania historii

Jeszcze 20 lat temu (może nawet 10) trudno byłoby sobie taką operację wyobrazić – wykreowanie czegoś z niczego. Ale dziś już wszystko jest możliwe. Mimo wyczerpujących w ostatnich latach analiz i opisów czynów prawie mitycznej Rywy Tajtelbaum, nachalnie lansowanej (wbrew oczywistym faktom) „bohaterskiej" postaci Polskiej Partii Robotniczej i Gwardii Ludowej, dalsze tego próby nie ustają, zarówno w świecie, jak i na krajowym podwórku. Wbrew znanym faktom, wbrew zachowanym dokumentom. Przy tym micie pozostańmy.

Podziemie polskie podczas okupacji w latach 1939–1945 było bardzo zróżnicowane politycznie i wojskowo, odzwierciedlało mozaikę polityczną II RP. Było ono jednak orientacją niepodległościową i na jej czele stał nadrzędny interes RP. Obok niego istniała jednak konspiracja antyniepodległościowa, czyli komunistyczna. Należała do sfery konspiracji w Polsce, zorientowanej prosowiecko, czyli opowiadała się po stronie jednego z okupantów i uczestników ostatniego (miejmy nadzieję), IV rozbioru Polski, dokonanego we wrześniu 1939 r. Komuniści pokazali wówczas, co potrafią, tworząc liczne bandy polityczno-terrorystyczne na terenach wschodniej II RP. Atakowały one małe grupy żołnierzy i oficerów, mordując też policjantów, urzędników, nauczycieli, księży, harcerzy i często całkiem przypadkowych uchodźców z centralnej i zachodniej Polski przed Niemcami. Czasem odbywało się to wprost pod opieką i w po-

eprasa.pl f863a161d9

Mural z okazji 78. rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim
FOT. ADAM BURAKOWSKI/REPORTER

rozumieniu z Niemcami – dopiero wkraczającymi na te tereny, zapuszczającymi się dalej na wschód, niż przewidywała to umowa ze Stalinem. Niemcy zaopatrywali te bandy w broń, przydzielali im gmachy, gdzie mogły urzędować, i brali je pod swą ochronę. Tak było w Lubomlu pod Lwowem czy w Kobryniu na Polesiu i mówią o tym ocalałe (na szczęście) dokumenty. Bliskość ideologiczna brunatnych i czerwonych socjalistów nigdy przedtem nie była aż tak widoczna.

PODZIEMIE ANTYPOLSKIE

Komuniści zaczęli schodzić do podziemia dopiero od drugiej połowy 1941 r. Przedtem były to rozbite grupki (pozostałość po Komunistycznej Partii Polski i jej przybudówek), które organizacyjnie nie miały nic do powiedzenia i nie były przez Niemców zwalczane. Dopiero „zdradziecka" napaść III Rzeszy na Związek Sowiecki umożliwiła komunistom odcięcie się od uwikłania w kolaborację z niemieckimi nazistami. To są fakty dziś mało znane, ale przecież dla przedwojennych komunistów współdziałanie z „sojusznikiem ich sojuszników" nie było czymś nagannym. Stąd np. wspólne zebrania byłych członków KPP z funkcjonariuszami NSDAP w celu współpracy, a niemiecka oferta brzmiała dla nich niezwykle obiecująco: „Niemcy są w przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, wspólnie walczą o zlikwidowanie kapitalizmu anglosaskiego, przede wszystkie z dalszym planem likwidacji kapitalizmu międzynarodowego […], przeto III Rzesza i Führer, ceniąc to, wyciągają do zebranych przyjacielską dłoń celem dalszej wspólnej walki".

Zniewolona przez obu zaborców Polska powoli dźwigała się do stworzenia płaszczyzny oporu. Stało się nią Polskie Państwo Podziemne. Nawet w apogeum jego istnienia zaangażowanych w różne formy jego działalności było zaledwie kilka procent Polaków. Ale były to przecież setki tysięcy ludzi w organizacjach zbrojnych i politycznych. Mniejszości narodowe uczestniczyć w nim (poza wyjątkami) nie chciały. Niektóre z nich zajęły stanowisko wprost skrajnie wrogie, jawnie współpracując z okupantami.

Powstająca od początku 1942 r. konspiracja komunistyczna miała podstawowy problem. Stara, przedwojenna kadra KPP została w 1938 r. wybita przez Stalina, inni rozproszyli się po świecie (np. po wojnie domowej w Hiszpanii) i nie było się na kim oprzeć i rozwijać konspiracji w kraju. Komuniści w swych dokumentach przyznawali wprost, że sięgnęli do sprawdzonych wzorów rewolucyjnych, czyli angażowania lumpenproletariatu – bandyckiego marginesu społecznego. Niekiedy brzmiało to śmiesznie: „Nasza metoda werbunku to łapu-capu", choć wesołe to przecież nie było. Podziemie bandyckie (przedwojenne i wojenne, do którego komuniści mieli dobre dojścia, z wieloma bandytami siedzieli bowiem w więzieniach II RP) miało dla nich podstawową zaletę. Byli to ludzie bezwzględni, bez skrupułów, posługujący się bronią na co dzień, a czynnik ideologiczny i polityczny ich PPR-owscy organizatorzy uznali za mniej ważny. A werbowano głównie w ten sposób, że obiecywano im złote góry. Pisał o tym towarzysz Janek Krasicki, agent sowiecki i wysoki funkcjonariusz PPR, szef partyjnej młodzieżówki, o którym autor tej publikacji enigmatycznie napisał, że był to „agent ukrywający się pod kryptonimem Dowódca M XIV". Ale on się przecież nie ukrywał – to Wójcik nie wie, o kogo chodzi.

Jednak to wszystko nie powodowało masowego dopływu takich ludzi do organizacji, bo część bandytów wolała pozostać na uboczu i „pracować" na własną rękę. O ile polskie organizacje były mimo wszystko masowe, o tyle PPR i GL pozostały w powijakach. Przez resztę okupacji (1942–1945) przewinęło się przez nie zaledwie kilka tysięcy ludzi! Wiele obwodów AK czy powiatów NSZ było bardziej rozwiniętych liczebnie. Do tego kwestia uzbrojenia: organizacje polskie (wiemy to na podstawie ich meldunków własnych) miały broń i wyposażenie dla ok. 10 proc. stanów. Z komunistami było inaczej. Oni ludzi i dobrej broni prawie do końca nie mieli.

Komuniści w swych dokumentach przyznawali wprost, że sięgnęli do sprawdzonych wzorów rewolucyjnych, czyli angażowania lumpenproletariatu – bandyckiego marginesu społecznego

Sowieckie zrzuty miały miejsce dopiero w 1944 r., gdy okupacja niemiecka już się kończyła. Wprawdzie w historiografii PRL-owskiej ich stany z roku na rok rosły (dochodząc nawet do… 100 tys. ludzi!), ale rzeczywistość była dla nich bardzo okrutna. Nie pomogły nawet niemiłosiernie naciągane statystyki oraz to, że

eprasa.pl f863a161d9

po wojnie wytworzono z nich liczne papierowe „brygady" i nawet „dywizje kolejowe". Według raportów własnych GL w Warszawie (już na początku 1944 r.) liczyła zaledwie kilkudziesięciu członków i posiadała tylko 10 pistoletów i karabinów! Co można było z taką siłą osiągnąć, wiedząc, że olbrzymia większość ich członków nie przeszła profesjonalnego szkolenia wojskowego?

Wobec coraz liczniejszych prób pokazywania podziemia komunistycznego jako prawie równoległego z AK warto przypomnieć język ówczesnych komunistów: „zbiry z AK; sikorszczackie gnojki; zaprzaństwo polskie; najemnicy gestapo; gady reakcyjne; reakcyjni łajdacy; łobuzy; ścierwo; bandy reakcyjne". Czy nie przypomina on nam języka dzisiejszej „debaty" politycznej? Nic dziwnego, że jakiegokolwiek porozumienia z komunistami być nie mogło. I nie chodziło tylko o ich język. PPR-owcy stali na stanowisku, że przyszłość powojennej Polski jest wyłącznie w ramach Związku Sowieckiego jako kolejnej „respubliki". Podobnie myśleli i pisali konspiratorzy w getcie, stąd kontakty z nimi były bardzo ostrożne. Dlatego oczekiwania przekazywania im broni były uwarunkowane od deklaracji odnośnie do powojennej granicy wschodniej i stosunku do Związku Sowieckiego. W getcie (warszawskim) w latach 1942–1943 rozwinięta była konspiracja komunistyczna. Szybko zorganizowano ok. 30 grup PPR-GL, liczących „aż" 150 towarzyszy. Z nich to miała powstać masowa partyzantka niosąca płomień rewolucji.

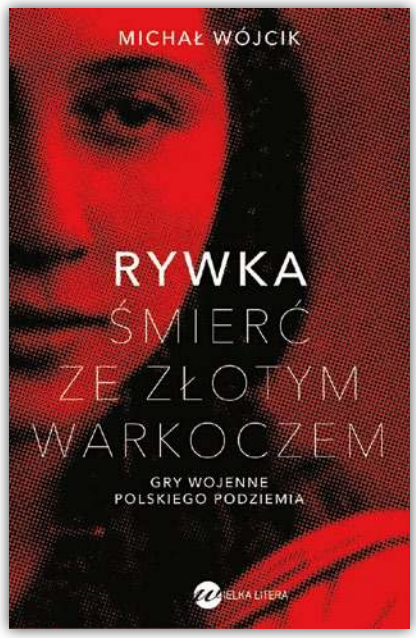

Jak wspomniał jeden z ówczesnych działaczy PPR w getcie: „Warszawski komitet PPR wzywa swoich żydowskich członków do wyjścia na aryjską stronę, skąd zostaną wysłani do lasów, do oddziałów partyzanckich Gwardii Ludowej. Nie wszyscy członkowie PPR mają odwagę i wyrażają wolę pójścia do lasów, by walczyć. Swoje wezwanie partia kieruje zwłaszcza do byłych żydowskich żołnierzy i oficerów, żydowskich lekarzy, wyszkolonych pielęgniarek, bo ta niewielka liczba oddziałów partyzanckich, które znajdują się w lasach Lublina, Częstochowy, Kielc i Warki, nie ma oficerów, którzy dowodziliby walką". Ten zalążkowy potencjał został jednak bardzo szybko unicestwiony. Bardzo słabo uzbrojeni (lub bezbronni) zostali wydani na łup niemieckiej żandarmerii i sił policyjnych. „Wielu Żydów ginie w ogólnych grupach partyzanckich, które składają się z nieodpowiedzialnych, a czasem przestępczych elementów" – wspominał ten sam autor (był to jeden z „adiutantów" pierwszego szefa GL, towarzysza Bolesława Mołojca). Resztę wymordowali ich współtowarzysze z PPR, licząc, że znajdą przy nich złoto i dolary.

COŚ TU SIĘ NIE ZGADZA

Dopiero na tym tle należy rozpatrywać tworzenie oderwanego od ponurej rzeczywistości ucukrzonego mitu postaci tak „niezwykłej" jak Rywa Tajtelbaum. Do jego tworzenia przyłączył się ostatnio Michał Wójcik (zob. „Rywka. Śmierć ze złotym warkoczem. Gry wojenne polskiego podziemia", Warszawa 2024). W jego (o)powieści wszystko jest na opak, wbrew temu, że można to łatwo konfrontować z rzeczywistością. Warkocze, owszem, miała, ale krótkie. Jak mogłaby się uganiać po Warszawie – i nie tylko – z warkoczami aż „do kolan"? Czasem wyobraźnia ponosi autora i Rywa ma wtedy włosy aż „do ziemi". Jak mogły być one złote, skoro miała bardzo ciemny kolor włosów? Były zatem czarne „jak sumienie polskiego faszysty" (posługując się określeniem Sergiusza Piaseckiego). I to, co najważniejsze: według tego autora była ona zaangażowana… w walkę o niepodległość Polski, co wobec jej działania w PPR i GL stawia ją całkiem po drugiej stronie barykady, czyli przeciw-

Media o Rywce (Niucie) Tajtelbaum i o książce

„Polityka" (nr 24/2024), „Jak hartował się mit":
Trzeba mieć wiele odwagi, żeby w 80. rocznicę Powstania Warszawskiego odgrzewać mit Gwardii Ludowej, zbrojnej przybudówki wymyślonej przez Stalina Polskiej Partii Robotniczej […].

Wójcik kopie głęboko, intensywnie. Jest i nagroda, bo wyciąga smaczki, a nawet grube historyczne sensacje […].

Żydowska Bonnie, która nie potrzebowała nawet Clyde'a. Wystarczył jej zimny dotyk rewolweru. Historia, a może tylko komunistyczny mit? Wójcik obiera ten mit jak cebulę, żeby na koniec przywrócić Rywkę Tajtelbaum historii. Trudnej, nieznanej, chyba również niechcianej. Ale przez to jeszcze ciekawszej.

Polskieradio.pl (8 czerwca 2024 r.), „Rywka Tajtelbaum i gry polskiego podziemia. »Kogel-mogel polityki II wojny światowej«":
Wójcik rekonstruuje w swojej książce historię Rywki Tajtelbaum, Żydówki i komunistki, autorki słów: „Jestem Żydówką i komunistką, moje miejsce wśród najbardziej aktywnych bojowników przeciw faszyzmowi, za honor mojego narodu i ludzkości". Odkrywa przy tym nowe karty, pokazując brutalny konflikt w łonie polskiego podziemia, które nie było monolitem […].

[…] Uczestniczyła w wielu akcjach bojowych i likwidacyjnych. Była żywą legendą już w czasie wojny, a o jej brawurze krążyły niesamowite opowieści. W czasie PRL jej legenda odżyła, stała się jedną z czołowych komunistycznych bohaterek, potem o niej zapomniano.

Trójka.polskieradio.pl (16 czerwca 2024 r.), „»Rywka«: historia komunistycznej bojowniczki w nowej książce Michała Wójcika":
Najnowsza książka Michała Wójcika to opowieść oparta na faktach – o bohaterstwie, zdra-

eprasa.pl f863a161d9

ko Polsce. Taki był bowiem cel Stalina i jego otoczenia – zniewolenie Polski. I z pewnością nie była przedstawicielką „polskiego podziemia", co najwyżej – podziemia w Polsce. A to przecież nie to samo. Stosunek polskiego podziemia do sowieckiej agentury, którą były PPR i GL, znaleźć można w piśmiennictwie wszystkich organizacji niepodległościowych. Był on jednoznaczny i nie budził jakichkolwiek wątpliwości. PPR (czyli też GL) to była sowiecka agentura. Przyznał to nawet w swych powojennych pamiętnikach towarzysz Władysław Gomułka. Podstawowy aktyw stanowili agenci, przeszkoleni uprzednio w Moskwie (dziś znamy nawet ich pseudonimy w NKWD i GRU).

Ciekawe, że nawet Polska Ludowa nie doceniła nadludzkich wyczynów owej Rywy. Ileż to propagandowych seriali można było nakręcić?! Ile politgramoty nadrukować?! A tu prawie nic?

Brak jest jakichkolwiek informacji o wcześniejszym profesjonalnym szkoleniu wojskowym Rywy. Ale swą działalność (jeszcze w getcie) zaczęła od razu od fachowego instruktażu, poucza innych. Gdzie zaś nabyła takich umiejętności? Historia o tym głucho milczy. Ale nie autor, on ma swoiste wytłumaczenie: „Trudno to dziś wyjaśnić", czyli wyjaśnienie jest gdzieś głęboko ukryte. Z zachowanych dokumentów AK czy NSZ wynika, że profesjonalne szkolenie żołnierzy przeznaczonych do akcji specjalnych trwało w tych organizacjach nawet kilka miesięcy. Z Wielkiej Brytanii trzeba było ściągać wyjątkowych fachowców, którymi byli cichociemni, którzy następnie szkolili pod okupacją swych następców. A tu szast-prast i fachowcy GL masowo wypadają jak sroce spod ogona!

Wyjątkowej wagi likwidacje Niemców (jak chce autor – od razu pułkowników, a co!) polegały na tym, że Rywa swobodnie wchodziła do pilnie strzeżonych gmachów niemieckich służb bezpieczeństwa, swobodnie strzelała do funkcjonariuszy i równie swobodnie z nich wychodziła. Gdzie zatem specjalistyczne przepustki potwierdzane przed kolejnymi wartami? A co z głośnymi strzałami w obecności tłumu Niemców? Sam autor przyznaje, że GL nie miała pistoletów z tłumikiem. Więc jak Rywa oddawała strzały, żeby je wyciszyć? Zapewne przez poduszkę, którą musiałaby stale nosić przy sobie.

Jej akcje powinny być choć częściowo potwierdzone w dokumentach Polski Podziemnej (rejestrowane były przecież wydarzania nawet niewielkiej wagi), przede wszystkim we współcześnie sporządzanych meldunkach GL i notkach w ich prasie konspiracyjnej. Gdzieś się jednak wszystkie zapodziały? Nie, po prostu takich nie było, zatem rejestrowanie całkowitej fikcji nie miało sensu.

PSEUDONIM ONUCA

Staż Rywy w komunistycznej „partyzantce" jest wielce zastanawiający. Podobno trafiła do grupy Franciszka Ciastka ps. Owijacz (czyli… Onuca). Dorobek tej bandy to morderstwa na tle rabunkowym i bezcelowe wałęsanie się po terenie. Tak to wspominał po wojnie sam „Onuca": „Do jakiejś konkretnej roboty trudno nam się było zabrać. Przerzucaliśmy się z miejsca na miejsce bez żadnej akcji. W jednej wsi towarzysze dawali nam karabiny, ale myśmy ich nie wzięli, bo były niewygodne do ukrycia". Jak to? Partyzanci nie chcieli karabinów? Fakt, łatwiej było napadać na bezbronnych chłopów z pistoletami ukrytymi w kieszeniach.

Nie jest to jedyny przypadek tragikomizmu działalności GL. Wspomniana przez autora „akcja" w Janowcu okazała się pospolitym napadem bandyckim. Herszt grupy został ranny i porzucony

Jej akcje powinny być choć częściowo potwierdzone w dokumentach Polski Podziemnej, przede wszystkim we współcześnie sporządzanych meldunkach GL i notkach w ich prasie konspiracyjnej. Gdzieś się jednak wszystkie zapodziały? Nie, po prostu takich nie było, zatem rejestrowanie całkowitej fikcji nie miało sensu

„Rywka. Śmierć ze złotym warkoczem"

dzie i walce o wolność, rzucająca nowe światło na interpretację wydarzeń minionej epoki. Tytułowa bohaterka jest postacią historyczną, wokół której narosło wiele legend […].

Rywka Tajtelbaum (ps. Wanda) była Żydówką, komunistką zaangażowaną w walkę o niepodległość Polski. Od 1942 r. członkini Polskiej Partii Robotniczej. Działała w Specgrupie Gwardii Ludowej. Uczestniczka wielu akcji bojowych i likwidacyjnych […].

Swoją pracę nad książką Michał Wójcik określa śledztwem dziennikarsko-historycznym. Jednocześnie zaznacza, że fascynują go dokumenty oraz ludzie, którzy opowiadają historię.

„The New York Times" (18 marca 2021 r.), „The Nazi-Fighting Women of the Jewish Resistance", Judy Batalion:

W 1943 r. Niuta Teitelbaum weszła do mieszkania Gestapo na ulicy Chmielnej w centrum Warszawy i stanęła naprzeciw trzech nazistów. Dwudziestoczteroletnia Żydówka, która studiowała historię na Uniwersytecie Warszawskim, była najprawdopodobniej przebrana za polską dziewczynę ze wsi, z chustką zawiązaną na splecionych blond włosach.

Zarumieniła się, uśmiechnęła nieśmiało, po czym wyciągnęła pistolet i strzeliła do każdego z nich. Dwóch zabiła, jednego raniła. Niuta jednak nie była zadowolona. Znalazła fartuch lekarza, weszła do szpitala, gdzie leczono rannego mężczyznę, i zabiła zarówno nazistę, jak i pilnującego go policjanta.

„Mała Wanda z Warkoczami", jak ją nazywano na każdej liście najbardziej poszukiwanych przez Gestapo, była jedną z wielu młodych Żydówek, które z niezwykłą przebiegłością i odwagą walczyły z nazistami w Polsce […].

Wyborcza.pl (23 marca 2021 r.), „Żydowska bojowniczka zabijała

eprasa.pl f863a161d9

przez dzielnych gwardzistów na bagnach podczas panicznej ucieczki. Uczestnik tego wydarzenia, wielokrotnie wspominany przez autora Jerzy Duracz, podczas odwrotu przez bagna dostrzegł wskazane mu przez gwardzistę Edwina Rozłubirskiego „zielonawożółte smugi". Komunistyczni bojcy byli przekonani, że to Niemcy rakietami do nich strzelają. Ale smugi okazały się… „ognikami na moczarach". Jak można było nie odróżnić rakiet (!) od zwyczajnych świetlików? To mogli tylko gwardziści.

Na to wszystko nakłada się udział Rywy w tzw. specgrupie GL w Warszawie. Potwierdzenie istnienia tej grupy i działalności jest, ale chluby to Rywie oraz Gwardii Ludowej nie przynosi. Podczas napadu na krawca przy ul. Marszałkowskiej gwardziści „zdobyli" m.in. następujące rzeczy: narzutkę damską, ołówek, trzy grzebienie, portfel, apaszkę damską, halkę damską, dwie pary pończoch, słoik kremu, parę skarpet, a także krzyżyk, dwie obrączki i oprawkę do okularów. Czy to była akcja chwalebna czy też bandycka, jedna z wielu takich? Po akcji łup (tak w tym środowisku określano zdobycz – to język bandziorów, a nie konspiratorów) został spieniężony, „zysk" podzielony między uczestników i w rozliczeniach wewnętrznych z GL pojawiło się manko! Bo uczestnicy takich działań byli na rozliczeniach w tej organizacji. Warto dodać, że swego czasu Leszek Moczulski na łamach partyjnej prasy przyrównywał ową „specgrupę" do Kedywu AK! Cóż, można i tak.

Jeśli Rywy jakoby bardzo usilnie poszukiwali Niemcy, wyznaczając za nią olbrzymią nagrodę (150 tys. zł w listach gończych!), to dlaczego w dokumentach Polski Podziemnej nie ma na ten temat jakichkolwiek informacji? Takie poszukiwania nie mogły przecież przejść bez echa. Brak obudowy źródłowej rozważań własnych autora to jego podstawowa słabość. Natomiast obficie i całkowicie bezkrytycznie posługuje się hagiografiami na temat komunistów podczas okupacji, wytworzonymi w Polsce Ludowej, co jakimkolwiek wartościowym źródłem przecież nie jest. Poczynając od „Trybuny Ludu", oficjalnego organu KC PZPR, a kończąc na powojennych „relacjach" składanych na potrzeby partii komunistycznej, w tym przez wielokrotnie przywoływanego towarzysza Jerzego Duracza. Ich wiarygodność jest przecież znikoma. Najważniejsze zaś relacje i wyjaśnienia, składane przez niego już za granicą (po wyjeździe z PRL do Izraela), Wójcik bardzo skrzętnie pomija. Są one sprzeczne z tym, co wytworzono w Polsce Ludowej. Dlaczego autor o tym nawet nie wspomina? Czerpie natomiast obficie ze współczesnych ustaleń innych autorów, ledwie to (i tylko gdzieniegdzie) zaznaczając. Można i tak, ale to przecież droga donikąd.

IDEOLOGIA I LICENTIA POETICA

Pójdźmy zatem śladem autora, który rozwija drogę konspiracyjną Rywy, poczynając od jej politycznej i bojowej działalności w getcie. Tam nic znaczącego osiągnąć nie mogła, bo podstawowa kadra PPR została wysłana do walki w lasach i szybko, jako do tego nieprzygotowana, wyginęła. Uzupełnieniem braku danych jest zatem licentia poetica.

W książce Michała Wójcika nie mogło zabraknąć określonej ideologii. Takiej np., że narodowcy Żydami gardzili (nawet mieszańcami) i do swych organizacji ich kategorycznie nie przyjmowali. To nic, że trafił jak kulą w płot. Wystarczy bowiem wspomnieć niezwykłą postać Szmula (Stanisława) Ostfinda, który w NSZ został komendantem powiatu Węgrów. W 1945 r., ujęty przez UB i NKWD, odmówił pójścia na współpracę z komunistami i został przez nich zamordowany. A nie był to najwyższy stopniem i funkcją polski Żyd czy osoba żydowskiego pochodzenia w strukturach tej organizacji.

Inne odkrycie autora: narodowcy „w starciach z Żydami używali pał nabijanych żyletkami". Tu już wyobraźnia wielce go poniosła. Żyletki, owszem, były. Narodowcy wszywali je w klapy marynarek, pod mieczykiem Chrobrego. Napastnicy, którzy usiłowali je wyrwać, kaleczyli dłonie i już więcej takich ataków nie przeprowadzali.

Żenujące jest przedstawianie przez autora towarzysza Stanisława Skrypija „Sylwestra" z warszawskiej GL jako bohatera. Tenże mózg partyjny osławił się tym, że na początku 1943 r. opracował… plan zdobycia Warszawy. Zawarł w nim następujące wskazania na wypadek wybuchu powstania w stolicy: „Nie możemy zapominać, że w gorączce walk

Media o Rywce (Niucie) Tajtelbaum i o książce

w Warszawie gestapowców. Nieznaną historię opisał »New York Times«":

Pewnego ranka do mieszkania zapukała przebrana za mleczarkę Rywa Tajtelbaum. Po bokach ukrywali się jej towarzysze Franciszek Bartoszek, ps. Jacek, i Jan Wyszyński, ps. Zyga. „Jacek" obezwładnił gospodynię. „Wanda" i „Zyga" wpadli do pokoju agentów. Ci, zaskoczeni, nawet nie zdążyli chwycić za broń. Powaliły ich kule.

Kiedy po kilku dniach okazało się, że jeden z nich przeżył i ranny przebywa w szpitalu Omega przy Al. Jerozolimskich 57, Rywa Tejtelbaum poszła tam, by powtórzyć zamach. Pod płaszczem miała lekarski fartuch, w kieszeni – pistolet. Przed separatką strzeliła do strażnika. Weszła do środka i zastrzeliła agenta gestapo. Udało jej się opuścić szpital. Zginęła kilka miesięcy później […].

Dzwonię do radnej Agaty Diduszko-Zyglewskiej (Wiosna). – Fantastyczna historia – przyznaje radna. – Ta bojowniczka powinna być upamiętniona w Warszawie. Chętnie poprę wniosek w tej sprawie […].

Fakt.pl (19 kwietnia 2019 r.), „Najtwardsze kobiety powstania w getcie warszawskim. Były postrachem SS":

Jej niewinną urodę (wyglądała na nastolatkę), na dodatek aryjską (miała długie jasne warkocze), wykorzystała Gwardia Ludowa, czyli zbrojne ramię Polskiej Partii Robotniczej, do której Niuta należała. Kobieta została cynglem i naczelną sabotażystką organizacji. Jedna z jej najgłośniejszych akcji polegała na wejściu do budynku gestapo, odszukaniu zbrodniarza w czarnym mundurze, zamknięciu się z nim w jednym pokoju, a następnie zlikwidowaniu go za pomocą pistoletu z tłumikiem. Po wszystkim Tajtelbaum przeszła przez korytarze, na których roiło

eprasa.pl f863a161d9

Czasem wyobraźnia ponosi Michała Wójcika i Rywa ma wtedy włosy aż „do ziemi". Jak mogły być one złote, skoro miała bardzo ciemny kolor włosów? FOT. ZE ZBIORÓW ŻIH

pierwszych godzin można będzie bezkarnie »trzepnąć« ten czy inny oddział reakcyjny włażący nam w parafię". Czyli zakładał całkowicie bezkarne strzelanie do powstańców, szczególnie na początku walk! Nic dziwnego, skoro Skrypij tak przedstawiał przeciwników GL w walce: „Mamy przed sobą siły wroga: faszysty niemieckiego i polskiego". To jak? PPR i GL zaangażowane były w walkę o niepodległość Polski, jak chce autor, czy jednak w walkę przeciw tej niepodległości?

BUJDA NA RESORACH

Historia Rywy Tajtelbaum w wydaniu Michała Wójcika to pospolita bujda na resorach, gdzie choć nietrudno odcedzić ćwierćprawdy od pospolitych zmyśleń, to usilne próby zaszczepienia trującego mitu nie ustają. O jej bohaterskich wyczynach „zaczyna mówić całe miasto". Co więcej, AK usiłuje ją przeciągnąć na swoją stronę, bo nie ma takich osób w swych szeregach! Angażuje do tego wysokich oficerów, który ją usilnie do tego namawiają, stoi ona bowiem „na czele największej zbrojnej grupy warszawskiego podziemia". A skoro tak, to trzeba przyjąć komunistkę w szeregi organizacji jednoznacznie antykomunistycznej. Kto chce, niech wierzy w kłamstwa i zmyślenia.

Ale być może teraz tak będzie wglądało opisywanie historii. Bo dlaczego nie? Polityka historyczna spada do poziomu fałszowania historii i tylko do tego jest potrzebna. Po co badać historię, szukać cierpliwie źródeł, konfrontować je z innymi, skoro można pisać to, co się chce i jak się chce (bo takie są wytyczne?), zgodnie z obecnym politpoprawnym kanonem? I wtedy mamy gotowy wzór dla Barbary Nowackiej i jej odpowiedników. Zamiast Emilii Plater czy Danuty Siedzikówny (bo cóż one znaczą?) można wprowadzić do programów nauczania w szkołach wszystkich szczebli wzór nad wszystkie wzory: pogromczynię niemieckiego aparatu bezpieczeństwa Rywę Tajtelbaum. I konsekwentnie nazywać ulice, place, szkoły jej imieniem. I postawić liczne pomniki.

Konieczne jest systematyczne wyjaśnianie i przypominanie, jak wyglądała rzeczywistość konspiracyjna, bo w takich opowieściach zostaje ona sprowadzona do absurdu. Ale to sprawdzona reguła, opisana onegdaj przez Francisa Bacona: „Audacter calumniare, semper aliquid haeret" (Szkaluj śmiało, zawsze coś przylgnie). Mamy do czynienia z niezwykłym nasileniem ofensywy ideologicznej, w której nieprawdziwa historia (traktowana karykaturalnie) jest tępym narzędziem.

Musimy się liczyć, że takie historie-histerie, jak opisana wyżej, będą się nasilać, i to za wszelką cenę, kosztem odrzucania i deprecjonowania naszych prawdziwych bohaterów. Dojdziemy do stanu, który już panuje w wielu krajach, gdzie historię zastąpiła ideologia zakłamana poprawnością polityczną. Do tego prowadzi rugowanie historii z nauczania szkolnego, sfera ideologicznej „sztuki" i „kultury", skąd będzie bardzo trudny powrót do normalności. On wprawdzie będzie możliwy, ale do tego potrzebna jest wola wyborców, selekcja (również pod tym kątem) kandydatów do parlamentu i stanowisk do decyzyjnych urzędów. Potrzeba przede wszystkim wiedzy, którą trzeba zdobywać samodzielnie. Jest to możliwe, ale wobec zjawiska gnuśności i postawy, że „jakoś to będzie", robi się to coraz trudniejsze.

Kiedyś nauczyciel miał autorytet i to, co najważniejsze – wiedzę, którą przekazywał uczniom. Dziś coraz częściej ambitniejsi uczniowie górują nad nauczycielami, ale wychylać się nie mogą. Bo kto zdobędzie się na wyjaśnianie i ośmieszanie urzędowych mitów?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„Rywka. Śmierć ze złotym warkoczem"

się od esesmanów, a do strażnika uśmiechnęła się kokieteryjnie, dzięki czemu nikt jej nawet nie wylegitymował. Za „małą Wandą z warkoczami" rozesłano list gończy. Niemcy zaoferowali nawet nagrodę pieniężną za zdradzenie jej kryjówki.

Tajtelbaum rozsierdziła Niemców wielokrotnie. A to wysadziła pociąg z dostawami na front wschodni, a to obrabowała bank, a to napadła na kawiarnię, w której debatowali oficerowie Wehrmachtu i SS. Nie mogło jej zabraknąć, gdy getto warszawskie chwyciło za broń. W czasie powstania walczyła w okolicach pl. Krasińskich.

„Plus Minus" (rp.pl, 10 maja 2024 r.), „Emilka pierwsza rzuciła granat":

Według innej anegdoty Niuta miała wejść do niemieckiego urzędu ubrana w wiejską chustę, z kobiałką w ręku. Pod pretekstem „sprawy osobistej" rzekomo zbliżyła się do funkcjonariusza SS, po czym strzeliła do niego z rewolweru i uciekła. Kolejna historia mówi, że po nieudanym zamachu na agenta Gestapo przebrała się za lekarkę i zastrzeliła go w szpitalnej sali. Kilka miesięcy przed powstaniem w getcie warszawskim podłożyła bombę pod kino oraz teatr Kammerlicht Spiel przy ul. Marszałkowskiej 8. W dniu zrywu Gestapo aresztowało Niutę w jej mieszkaniu.

kobieta.onet.pl (19 kwietnia 2024 r.), „To dzięki żydowskiej kobiecie można było przetrwać wojnę":

Niuta Tajtelbaum została zapamiętana jako „Wanda z warkoczykami", brała udział w zamachach na niemieckich funkcjonariuszy. Była niezwykle skuteczna i odważna. Aparycja dziecka często usypiała wroga, więc osobiście udało się jej zastrzelić kilku oficerów Gestapo.

eprasa.pl f863a161d9

Gwiazda lewicy

Jacek Przybylski

Główną zaletą Kamali Harris jest to, że nie jest Joe Bidenem. Trudno dostrzec w niej jednak lidera, który wie, jak zadbać o gospodarkę i jak walczyć z nielegalną migracją. A to są tematy, które najbardziej interesują Amerykanów. Jeśli więc w sierpniu zostanie ona koronowana na królową demokratów, to zamiast zwycięstwa może dać Partii Demokratycznej jedynie iluzję w miarę wyrównanej walki z Donaldem Trumpem

Amerykański prezydent Joe Biden zdecydował (mniej lub bardziej samodzielnie), że nie chce być dłużej wyśmiewaną przez cały świat karykaturą prezydenta. To mądra decyzja. Nawet jeśli bowiem wydarzyłby się jakiś cud i zdołałby pokonać w listopadowych wyborach Donalda Trumpa, to przecież nie byłby w stanie rządzić do końca czteroletniej kadencji i byłby prezydentem słabym i pozbawionym rzeczywistego wpływu na podejmowane w Białym Domu decyzje. Dzięki ogłoszeniu swej rezygnacji Biden chciałby zapewne na kartach historii zapisać się jako odpowiedzialny mąż stanu, który w trosce o swój kraj jako pierwszy amerykański przywódca od 1968 r. nie podjął próby walki o reelekcję. Joe Biden przejdzie jednak do historii jako ten polityk, który chociaż przez niemal cztery lata swej prezydentury słusznie trzymał swą wiceprezydent w cieniu, aby nie promować jej jako swojego następcy, ostatecznie namaścił Kamalę Harris na kandydatkę na kolejnego prezydenta USA.

KORONACJA „KRÓLOWEJ”?

Tak późna decyzja Bidena o rezygnacji z walki o reelekcję – choć przecież o fatalnym stanie amerykańskiego prezydenta wiadomo było od dawna – sprawia, że Partia Demokratyczna, której liderzy tyle mówią o potrzebie „ratowania demokracji” przed okrutnym tyranem i przyszłym dyktatorem Donaldem Trumpem, sama nie wyłoni kandydata w tradycyjnych prawyborach. Oczywiście ostatecznego kandydata wyłoni teoretycznie 4 tys. delegatów podczas sierpniowej konwencji Partii Demokratycznej, ale lepiej byłoby, gdyby Kamala Harris musiała przejść całą prawyborczą drogę, zamiast iść na skróty, albo przynajmniej gdyby miała oficjalnie poważnych kontrkandydatów. Jej start w prawyborach w 2020 r. zakończył się bowiem katastrofą: zanim wycofała się z wyścigu, sondaże wskazywały, że może liczyć na od jednego do kilku procent poparcia. Tymczasem w tym roku błyskawicznie po namaszczeniu przez Bidena Harris mogła się pochwalić poparciem 2579 delegatów, z czego do nominacji potrzebuje ona jedynie 1976.

Jako prawa ręka Bidena wiceprezydent Harris przyciągnęła też falę datków i darowizn. W ciągu pierwszych 24 godzin zebrała rekordową kwotę 81 mln dol., a w ciągu zaledwie trzech dni od wskazania jej na następcę Joe Bidena budżet demokratów na kampanię powiększył się w sumie o ćwierć miliarda dolarów!

Jej wybór – podczas wirtualnego głosowania 7 sierpnia lub podczas konwencji Partii Demokratycznej, którą zaplanowano na 19–22 sierpnia – bardziej niż prawyborcze zwycięstwo amerykańskiej demokracji przypominać więc może koronację kandydatki wskazanej przez odcięte od ludu elity, która z głosem Ameryki absolutnie liczyć się nie musi i nie zamierza.

Dla wielu amerykańskich wyborców wybór Harris będzie więc potwierdzeniem tego, jak bardzo oderwani od realiów są zarówno elity Partii Demokratycznej, jak i sama Kamala Harris, która w czasach, gdy dla Amerykanów najważniejszymi kwestiami są gospodarka i walka z nielegalną imigracją, nie może się pochwalić doświadczeniem w żadnym z tych obszarów.

SOCJALISTYCZNE POMYSŁY

Harris – rozpoczynając kampanię bez czekania na wynik głosowania delegatów – obiecała co prawda wzmocnienie klasy średniej i „godność” dla emerytów, ale jej przemówienie na wiecu w Wilmington w stanie Delaware brzmiało jak wystąpienie typowego lewicowego aktywiszcza, niby chcącego, aby świat był piękniejszy, a ludowi pracującemu miast i wsi żyło się lepiej, ale które nie ma innych pomysłów, jak do tego doprowadzić poza grabieniem najbogatszych.

Podczas kariery w Senacie wspierała pomysł socjalisty Berniego Sandersa podwyższenia płacy minimalnej na

eprasa.pl f863a161d9

KANDYDATKA BEZ WIĘKSZYCH SZANS

FOT. ANNA MONEYMAKER/GETTY IMAGES

poziomie federalnym. Obecna wiceprezydent opowiada się też za rozszerzeniem powszechnego ubezpieczenia zdrowotnego Medicare na wszystkich Amerykanów (w tym celu podwyższy podatki).

Na tym polu nieporównywalnie lepiej niż Kamala Harris wypada Donald Trump, kusząc wyborców kolejną obniżką podatków (pierwsze ulgi wprowadził za swojej pierwszej kadencji). Niższe daniny w konsekwencji powinny ułatwić rozkręcenie amerykańskiej gospodarki. Również korporacje powinny ostrożnie podchodzić do Kamali, gdyż jeszcze w 2000 r. chciała podwyższenia podatku od osób prawnych do 35 proc. (Trump chciał tymczasem obniżyć go do 15 proc.). Jak ognia następczyni Bidena bać się zaś powinni szefowie i akcjonariusze koncernów naftowych.

Harris zdążyła się już również mocno sparzyć na kwestii imigracyjnej, a tymczasem sytuacja na granicy amerykańsko-meksykańskiej robi się coraz trudniejsza. Trump doskonale wie, że w tej sprawie ma ogromną przewagę. – Kamala otworzyła nasze granice, co pozwoliło 20 mln nielegalnych cudzoziemców z całego świata wjechać do naszego kraju – mówił w ubiegłą środę na przedwyborczym wiecu w Charlotte w Karolinie Północnej, czyli w jednym ze stanów, który może przesądzić o tym, kto zostanie nowym gospodarzem Białego Domu.

EGZEKUCJE DZIECI

Ambitna kandydatka może zainteresować swoją kandydaturą część kobiecego elektoratu, dla którego najważniejszym „prawem człowieka" jest prawo do zabijania nienarodzonych dzieci. Harris od początku skupia się więc na „walce o wolność reprodukcyjną" (sama nie ma dzieci). I ostrzega, że „drapieżnik" Trump, „jeśli dostanie taką szansę, to podpisze ogólnokrajowy zakaz aborcji". Podczas kampanii w 2019 r. opowiadała się za tym, aby poszczególne stany nie mogły ograniczać prawa kobiet do aborcji bez uzyskania zgody władz federalnych. Jest też zagorzałą zwolenniczką walki z dyskryminacją rasową i wspiera małżeństwa osób tej samej płci.

Donald Trump w ubiegłym tygodniu nazwał więc Harris „ultraliberalną siłą napędową". – Ona zniszczy nasz kraj, jeżeli kiedykolwiek zostanie wybrana – ostrzegał kandydat Partii Republikańskiej. I oskarżył swoją potencjalną rywalkę o popieranie „egzekucji dzieci" w ramach walki o prawo do aborcji. – Chce aborcji w ósmym i dziewiątym miesiącu ciąży. Nie przeszkadza jej aborcja aż do porodu, a nawet już po urodzeniu chce egzekucji dzieci – mówił Trump.

Obecna wiceprezydent USA sprytnie wykorzystuje też to, że pracowała jako prokurator generalny w Kalifornii. To niewątpliwie jeden z jej najpoważniejszych atutów. I jej sztab doskonale o tym wie. – W tej roli mierzyłam się z najróżniejszego rodzaju typami. Z drapieżcami, którzy wykorzystywali kobiety, z oszustami, którzy okradali ludzi – mówiła do zgromadzonych na wiecu, podkreślając: „Znam typ Donalda Trumpa".

Jej eksperci od marketingu politycznego będą więc teraz próbowali wykreować mit walecznej byłej prokurator, która staje do pojedynku z białym drapieżcą o wątpliwej reputacji. Trudno będzie jednak wskazać jakieś wielkie osiągnięcia Harris na polu wymiaru sprawiedliwości. Dlatego musi iść w ogólniki. – Każdy stoi przed pytaniem, w jakim kraju chce żyć: w kraju wolności, współczucia i rządów prawa czy w kraju chaosu, strachu i nienawiści – grzmiała na wiecu w Wilmington.

LEWICOWY AMERYKAŃSKI SEN

Kłopot z Kamalą Harris jest taki, że wcale nie jest najlepszą kandydatką, którą Partia Demokratyczna mogłaby wystawić przeciwko Donaldowi Trumpowi. Jej kluczową zaletą jest tylko to, że nie jest zagubionym w świecie urwanych wypowiedzi Joe Bidenem. Oczywiście część liberalnych komentatorów ma nadzieję, że Kamala Harris zdoła pokonać Donalda Trumpa, ponieważ naprzeciw 78-letniego białego polityka z dużym negatywnym elektoratem stanie 59-latka

eprasa.pl f863a161d9

kobieta, która uwielbia podkreślać, że jest czarną kobietą (tak pisze też o sobie w autobiografii).

Problemem jest jednak to, że dla wielu kolorowych Kamala wcale taka „czarna" nie jest. I nie chodzi tylko o kolor skóry. Harris nie jest przecież biedną dziewczyną, która wyjątkowo ciężko pracując, zdołała wyrwać się z getta i wspiąć się na polityczne szczyty Ameryki. Jest córką pochodzącego z Jamajki profesora na Uniwersytecie Stanforda oraz pochodzącej z Indii lekarki specjalizującej się w badaniach nad nowotworami. Dostała start, o którym wielu czarnych może więc tylko marzyć. Szkolny autobus woził ją do podstawówki w bogatej dzielnicy, w której przeważali zamożni biali uczniowie. Młoda Kamala studiowała politologię, ekonomię oraz prawo.

PRZEPROSINY OD OBAMY

Ważnym elementem jej biografii jest romans ze znanym kalifornijskim politykiem. W 1994 r. wybrankiem ambitnej prawniczki został 30 lat od niej starszy i żonaty Willie Brown – liberalne media uwielbiają podkreślać, że gdy Kamala została jego kochanką, to co prawda Brown nie miał jeszcze rozwodu, ale był już w separacji. Brown przedstawiał kochankę wpływowym kalifornijskim rodzinom. Krytycy Harris wielokrotnie zwracali uwagę na ten romans i jego potencjalny wpływ na szybką karierę pani prokurator. „Najpierw przespała się z Williem Brownem, który był niezwykle popularnym, wpływowym kongresmenem w Kalifornii… i postawił ją na dwóch różnych stanowiskach, na które nie zasługiwała, kiedy miała zaledwie 29 lub 30 lat, a on miał 60 lat" – zauważyła dziennikarka Megyn Kelly. „Kamala, czy walczyłaś o ideały czy na szczyt wspięłaś się, sypiając z Williem Brownem?" – pytała z kolei prezenterka Fox News Tomi Lahren, która później przeprosiła za ten komentarz.

W 2003 r. Kamala Harris wygrała swój pierwszy ważny wyścig: zdobyła stanowisko prokuratora okręgowego w San Francisco, pełniąc tę funkcję przez siedem lat. Następnie awansowała na prokuratora generalnego Kalifornii. Nazywała siebie „progresywną prokurator" i wykorzystała prokuratorską trampolinę, aby dostać się do amerykańskiego Senatu, gdzie nie potrafiąc niczym specjalnym zabłysnąć, przyjęła najbardziej postępowe poglądy. W 2014 r. wyszła za mąż za Douglasa Emhoffa, wpływowego prawnika z dwojgiem dzieci z poprzedniego związku.

Harris, którą prezydent Barack Obama musiał telefonicznie przepraszać za to, że pozwolił sobie publicznie stwierdzić, że jest „najładniej wyglądającym prokuratorem generalnym" (Obama wówczas najwyraźniej jeszcze nie wiedział, że taki komplement uważany jest za okropny seksizm i grozi medialną chłostą), starała się wyrobić sobie markę twardej gwiazdy lewicowej polityki.

W raporcie GovTrack w 2019 r. Harris została uznana za najbardziej lewicowego polityka w Senacie USA

Zupełnie poległa jednak w ostatnim prezydenckim wyścigu do Białego Domu. Chociaż swoją kandydaturę ogłosiła w Dniu Martina Luthera Kinga, jej ideowego bohatera, to problem polegał na tym, że opowieść o śnie Kinga porwała miliony, a sny jakiejś tam Kamali mało kogo wówczas obchodziły. Co prawda, w czerwcu 2019 r. sondaże przez krótki czas dawały jej nawet 15 proc. poparcia, ale pięć miesięcy później spadło ono do jednocyfrowych wartości. Harris nie potrafiła wyróżnić się z tłumu kandydatów do nominacji Partii Demokratycznej, a brak poparcia sponsorów zmusił ją do zakończenia walki o nominację już w grudniu 2019 r.

Tym razem hojnych sponsorów Kamali nie brakuje, ale jej pochodzenie może jednocześnie przyciągnąć część wyborców i zniechęcić do niej część Afroamerykanów. „Tak tylko dla przypomnienia: Kamala Harris @KamalaHarris nie jest czarna" – taki wpis na platformie X błyskawicznie zyskał ponad 40 tys. polubień i ponad 20 tys. udostępnień, prowokując time.com do szybkiej riposty i stwierdzenia, że Harris czarna jednak jest. Kolor skóry może negatywnie oddziaływać na tych, którzy – mniej lub bardziej słusznie – uważają, że już wiceprezydentem USA została wyłącznie ze względu na kolor swojej skóry. Komentatorzy polityczni od lat tłumaczą bowiem, że Joe Biden w roku 2020, u szczytu popularności ruchu Black Lives Matter, wybrał ją na wiceprezydenta z trzech powodów: jest kobietą, jest czarna i jest bardzo progresywna (w raporcie publikowanym przez GovTrack w 2019 r. była uznana za najbardziej lewicową senator, na prawo od niej był nawet zadeklarowany socjalista Bernie Sanders). Cel był prosty: mianowanie Harris miało pozwolić na pozyskanie głosów czarnoskórych wyborców i sprawić, że do urn pójdą ci, którzy normalnie nie poszliby głosować wcale.

Teoretycznie przewagą Harris jest wiek. Po wycofaniu się Bidena Donald Trump nagle z „młodszego" kandydata w wyścigu po prezydenturę nagle stał się tym „starym", który powinien raczej myśleć o politycznej emeryturze niż o czterech latach ciężkiej pracy w Białym Domu. Republikanie mogą jednak przekonywać, że Harris jak na swój wiek ma bardzo mało realnych osiągnięć (poza przebijaniem kolejnych szklanych sufitów).

KTO WYGRA W LISTOPADZIE?

A co z dyplomacją? Joe Biden nie tylko wiedział, gdzie są Polska czy Czechy, lecz także osobiście znał polityków z obu krajów. I dopóki kojarzył, co się dzieje wokół niego, dopóty był merytorycznie nieźle przygotowany do podejmowania najważniejszych decyzji wzmacniających środkowoeuropejskich sojuszników. Harris ma w tej kwestii dużo mniejsze kompetencje. Można się spodziewać, że Kamala będzie konsekwentnie – tak jak dotąd – wspierać Izrael i amerykańskie przywództwo w NATO. W sprawie Ukrainy, Iranu i Chin prawdopodobnie będzie zaś kontynuować kierunek wskazany przez Bidena. Trump chce poważnie odmienić politykę zagraniczną, co wcale nie musi być złe dla Polski czy Ukrainy.

Kto wygra? Mimo sondaży pokazujących, że Harris ma większe niż Biden szanse na zwycięstwo w wyścigu po prezydenturę, amerykańska lewica, aby w listopadzie wygrać walkę o Biały Dom, musiałaby wymodlić prawdziwy cud. A że aktywiszcza modlić się pewnie będą słabo, to jest wielce prawdopodobne, że następny prezydent Stanów Zjednoczonych będzie się nazywał Donald Trump.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f863a161d9

Piotr Włoczyk

W lewo zwrot!

Amerykańskie służby i siły zbrojne lepione są na nowo w myśl ideologii woke. Perspektywa prezydentury Kamali Harris, która pod tym względem jest dużo bardziej radykalna od Joe Bidena, oznacza przyspieszenie tego procesu

13 lipca ponieśliśmy porażkę. Zamach na byłego prezydenta, Donalda Trumpa, jest największą porażką Secret Service od dziesięcioleci – powiedziała w zeszłym tygodniu Kimberly Cheatle, rezygnując z kierowania Secret Service.

Odkąd okazało się, jak tragicznie nieprofesjonalne było Secret Service w dniu zamachu na Trumpa, republikańscy politycy i konserwatywni komentatorzy zaczęli kierować uwagę opinii publicznej na niepokojące zmiany, do których doszło w ostatnich latach w tej elitarnej – wydawałoby się – służbie. Przede wszystkim chodziło o rewolucyjny zapał byłej już szefowej Secret Service do wprowadzania na siłę „różnorodności”, co jest jednym z fundamentów ideologii woke.

– Zasiadając w tym fotelu, jestem bardzo świadoma tego, że musimy przyciągać różnorodnych kandydatów, dając szansę wszystkim w naszych szeregach, szczególnie kobietom – powiedziała Cheatle w zeszłym roku w wywiadzie dla stacji CBS, deklarując przy okazji, że wyznaczyła podległej sobie służbie jasny cel: do 2030 r. wśród nowo przyjętych funkcjonariuszy 30 proc. mają stanowić kobiety. Dlaczego akurat taki pułap wyznaczyła szefowa Secret Service? Czy chodziło po prostu o to, że dwie trzydziestki ładnie wyglądają obok siebie? Tego już Cheatle nie wyjaśniła.

Eksperci do spraw bezpieczeństwa zwracali uwagę na dwie funkcjonariuszki Secret Service, które wyróżniały się na tle pozostałych ochroniarzy Donalda Trumpa. Niestety, wyróżniały się na niekorzyść. Pierwsza z nich stała się zresztą obiektem kpin w niezliczonych memach. Powodem była jej postawa: o ile męska część ochrony przygniotła Trumpa, zasłaniając go własnymi ciałami, o tyle ta dość korpulentna pani sprawiała wrażenie, jakby bała się strzałów. A po chwili, wyraźnie spanikowana, nie potrafiła odłożyć pistoletu do kabury. Druga z ochroniarek nie była z kolei w stanie zasłonić Donalda Trumpa podczas ewakuacji z miejsca zamachu, ponieważ była od niego o głowę niższa.

Rzecznik prasowy Secret Service bardzo ostro zareagował na sugestie, że być może te dwie niewielkiego wzrostu funkcjonariuszki wyglądały świetnie na zdjęciach wśród rosłych mężczyzn, udowadniając, że Secret Service jest naprawdę „różnorodne”, ale ta „różnorodność” niezbyt dobrze wyszła w praktyce…

W Ameryce trwa właśnie walka o to, jaką tożsamość będzie miało wojsko

„Sugerowanie, że nie mają one odpowiednich kwalifikacji z powodu ich płci, obraża kobiety pracujące w naszej agencji. Takie bezpodstawne twierdzenia uderzają w profesjonalizm, oddanie i fachowość naszych ludzi – powiedział Anthony Guglielmi. – Nasze oddanie różnorodności, sprawiedliwości społecznej i inkluzywności sprawiają, że przyciągamy najbardziej utalentowanych ludzi”.

Oczywiście odpowiedź mija się z meritum sprawy, bo zarzuty wobec obu pań związane są nie z ich płcią, tylko z brakiem profesjonalizmu i niezbędnych warunków fizycznych.

„New York Post” przyjrzał się działaniom Secret Service w trakcie prezydentury Joe Bidena pod kątem wdrażania w tej służbie „różnorodności”. W oficjalnych dokumentach pokazujących kierunek rozwoju agencji co rusz możemy przeczytać, że „różnorodność”, „inkluzywność” i „sprawiedliwość społeczna” to klucze do sukcesu. Narzędziem do takiego ulepszania Secret Service mają być m.in. szkolenia z użycia „zaimków w sposób godny”. W broszurze rekrutacyjnej służba ochrony chwali się, że stworzyła „Radę do spraw Wdrażania Inkluzywności”, która ma być „game changerem”. Secret Service uważa, że rada pomoże stworzyć służbę, „gdzie różnorodność i inkluzywność nie są czymś, o czym się jedynie mówi, ale są manifestowane każdego dnia przez wszystkich pracowników”. Elementem walki o tęczowe wartości stało się też niewątpliwie obstawianie parad równości przez rekruterów z Secret Service. Natomiast nic nie wiadomo na temat podobnych działań podczas np. dorocznego waszyngtońskiego Marszu dla Życia.

„Zarówno administracje Obamy, jak i Bidena wypełniły federalne instytucje biurokratami, którzy bardziej są zainteresowani »różnorodnością«, »inkluzywnością« i »sprawiedliwością społeczną« niż realizowaniem rzeczywistej misji ich instytucji – powiedział »NYP« Ron Johnson, republikański kongresmen

eprasa.pl f863a161d9

z Wisconsin. – W związku z tym możemy założyć, że dyrektor Cheatle przyjęła takie samo podejście w kierowanej przez siebie Secret Service. Spektakularne błędy w ochronie, których skutkiem było niemal zabicie prezydenta Trumpa, pokazują, że dokładnie z takim czymś mieliśmy tu do czynienia”.

CRT NA WEST POINT

Joe Biden od początku swojej prezydentury starał się mimo wszystko prezentować jako umiarkowany polityk, przeciwnik skrajności, dbając o swój mit „człowieka centrum”. W tym duecie skrajny elektorat demokratów najlepiej obsługuje Kamala Harris.

W czerwcu zeszłego roku Harris pojawiła się na West Point w charakterze herolda rewolucji, by wygłosić przemówienie do absolwentów. Jak skomentował to Peter Baker z „The New York Times”, „wykorzystała tę sposobność, by wesprzeć różnorodność amerykańskich sił zbrojnych w momencie sporu o tożsamość wojska”.

To stwierdzenie świetnie oddaje rzeczywistość. W USA faktycznie trwa właśnie walka o to, jaką tożsamość będzie miało wojsko. Czy skręci w stronę instytucji takich jak np. uniwersytety, które w znakomitej większości są coraz bardziej radykalizującymi się lewicowymi bańkami, czy będzie się trzymało tradycyjnego modelu – machiny wojennej składającej się z ludzi deklarujących wierność fladze USA, a nie wartościom utożsamianym z tęczowym czy jakimkolwiek innym sztandarem?

Kamala Harris podkreślała w przemówieniu, że wojsko musi być jeszcze bardziej „różnorodne”, a lewicowi komentatorzy zachwycali się z kolei, że słowa te wypowiada w West Point po raz pierwszy kobieta (i to niebiała). Tak oto ideały amerykańskich liberałów zamieniły się w groteskę. Niegdysiejsze przekonanie o tym, że kolor skóry nie powinien mieć żadnego znaczenia w budowaniu kariery, ustąpiło wierze w to, że właśnie kolor skóry jest najważniejszy i decyduje o tym, czy ktoś należy do grupy uciskanej czy uciskającej. Podobnie jest z orientacją seksualną czy z tożsamością płciową. Podczas swojego „przełomowego” przemówienia na West Point Harris dokładnie to miała na myśli, mówiąc o konieczności dalszego pogłębiania „różnorodności” w siłach zbrojnych USA.

Według badania Instytutu Gallupa w trakcie prezydentury Joe Bidena odsetek Amerykanów wyrażających duże lub bardzo duże zaufanie do wojska spadł z 72 do 60 proc.

Od początku prezydentury Joe Bidena słyszymy o coraz bardziej agresywnych działaniach ideologów, którzy odciągają amerykańskich żołnierzy od ich głównego celu – szkolenia się w coraz skuteczniejszym zabijaniu wrogów. I tak dzięki Bidenowi Pentagon wrócił do polityki otwartych drzwi dla osób deklarujących transpłciowość (już pod koniec drugiej administracji Obamy stworzono taką możliwość, ale Trump to zatrzymał), choć tacy żołnierze o wiele częściej niż reszta populacji cierpią na ciężkie stany lękowe i myśli samobójcze, co przecież negatywnie wpływa na służbę w wojsku.

Według tegorocznych danych Pentagonu różne procedury medyczne związane z „korektą płci” żołnierzy kosztowały od 2020 r. rząd federalny 26 mln dol., a w tym czasie liczba członków sił zbrojnych cierpiących na dysforię płciową podwoiła się z 1,8 tys. do 3,7 tys. Ten wzrost

eprasa.pl f863a161d9

Funkcjonariuszki Secret Service, które wyróżniały się na tle pozostałych ochroniarzy Donalda Trumpa. Niestety, wyróżniały się na niekorzyść

FOT. EVAN VUCCI/AP/EAST NEWS

nie powinien dziwić. Jeżeli Pentagon płaci za „korektę płci”, to dla pewnej części rekrutów będzie to zapewne główny czynnik motywujący do „pójścia w kamasze”.

Gdy w 2015 r. marines opublikowali badanie, z którego wynikało niezbicie, że mieszane pod kątem płciowym drużyny przemieszczają się po polu bitwy wolniej i nie są tak skuteczne pod względem strzeleckim jak drużyny męskie, Pentagon zignorował te wyniki. Administracje Obamy i Bidena, dążąc do wprowadzenia „różnorodności” w wojsku, są najwyraźniej w stanie poświęcić skuteczność swoich oddziałów.

Dzięki republikańskiemu kongresmenowi Michaelowi Waltzowi, który zainteresował się programem nauczania na West Point, amerykańska opinia publiczna dowiedziała się, jak poważna jest sytuacja.

W tej elitarnej wojskowej szkole przyszli dowódcy uczeni są, czym jest „białość”, czyli jak wielkim problemem dla amerykańskiego społeczeństwa jest to, że jego podstawy zostały zbudowane przez białych ludzi. Okazuje się, że młodym wojskowym wbija się do głów mantry tzw. Krytycznej Teorii Rasy (CRT), która wszystkie problemy społeczne stara się tłumaczyć przez pryzmat koloru skóry. W tym ujęciu biały żołnierz, choćby pochodził z biednej, rozbitej rodziny, będzie przedstawicielem grupy uciskającej, a czarny żołnierz, nawet jeżeli jego rodzice są milionerami, należy do grupy uciskanej.

Wśród polecanych młodym wojskowym lektur znaleźć można prawdziwe perełki. W US Navy taką pozycją jest „Jak być antyrasistą”. Jej autorem jest Ibram X. Kendi, szef Centrum Badań Antyrasistowskich na Boston University. Na kartach swojej książki Kendi argumentuje m.in., że kapitalizm jest z natury rasistowski i że „aby stać się prawdziwym antyrasistą, należy być równocześnie prawdziwie antykapitalistycznym”. W ten oto sposób, dzięki postulowanej przez Kamalę Harris coraz większej „różnorodności”, na West Point odwrócony rasizm miesza się z myślą marksistowską.

Wszystko to tylko potęguje kryzys rekrutacyjny, z którym od lat borykają się amerykańskie siły zbrojne. Dla przykładu: w zeszłym roku US Army przyciągnęła aż o 25 proc. rekrutów (15 tys. żołnierzy) mniej, niż planowano.

„Nasz ogromny problem z rekrutacją wynika z tego, że ideologia woke i walka o »sprawiedliwość społeczną« odstrasza wielu młodych mężczyzn. Kto chciałby służyć na okręcie wojennym płynącym pod tęczową flagą? – powiedział „Do Rzeczy” płk Grant Newsham (służył m.in. w wywiadzie marines na Pacyfiku), autor książki „Gdy Chiny atakują. Ostrzeżenie dla Ameryki”. – Trudno się dziwić, że coraz mniej młodych garnie się do wojska, co mówię z ciężkim sercem. W wojsku nie może być różnych plemion, nastawiania jednych przeciw drugim, służenia innej fladze niż amerykańska”.

Donald Trump wydaje się rozumieć powagę sytuacji. W czerwcu zapowiedział, że po powrocie do Białego Domu wyczyści siły zbrojne z „przebudzonych” aktywistów.

„Poznałem prawdziwych generałów wojowników. W żołnierskich szeregach nie ma ideologii woke. Woke widać na samej górze – powiedział Trump. – Zwolnię ich. Nie można dopuścić do tego, by wojsko stało się woke. Rolą armii jest wygrywanie wojen, a nie bycie woke”.

PYTANIA O AWANS

Na temat neomarksistowskiej indoktrynacji w szeregach amerykańskich sił zbrojnych powstają całe raporty, tematem tym zajmują się czołowe think tanki. Wpływ wirusa woke na wojsko ciekawie prześwietlił dla Fundacji Heritage Thomas Spoehr, emerytowany generał US Army.

„Ideologia woke jest narzucana w wojsku przez ludzi wyznaczanych w tym celu przez Biały Dom, Kongres i Pentagon, którzy mają jednak niewielkie pojęcie o celu, charakterze, tradycjach i wymaganiach instytucji, którą starają się zmienić. Ideologia woke niszczy gotowość wojska w przeróżny sposób – tłumaczy gen. Spoehr. – Osłabia spójność poprzez podkreślanie różnic wynikających z rasy, pochodzenia czy płci. Niszczy też autorytet dowódców poprzez stawianie awansów w podejrzanym świetle – czy rzeczywiście wynikają one z przesłanek merytorycznych czy może z pewnych kwot, które trzeba wypełnić. Ale również prowadzi to do sytuacji, gdy członkowie sił zbrojnych służą w rolach, do których nie posiadają kwalifikacji. Poza tym wszystkim zabiera też czas i środki, które powinny być przeznaczane na ćwiczenie. Ideologia woke w wojsku wpływa również na to, jak wyglądają relacje między siłami zbrojnymi a całą resztą społeczeństwa. Zniechęca wielu młodych Amerykanów do służby w wojsku oraz zmniejsza poparcie dla wojska w niemałej części opinii publicznej i to w czasie, gdy bardzo jest to potrzebne”.

W tej ostatniej kwestii gołym okiem widać, że problem szybko się pogłębia. Według badania Instytutu Gallupa w trakcie prezydentury Joe Bidena odsetek Amerykanów wyrażających duże lub bardzo duże zaufanie do wojska spadł z 72 do 60 proc. (podczas prezydentury Trumpa wahał się między 72 a 73 proc.). I doskonale widać to w biurach rekrutacyjnych US Army.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f863a161d9

Z Patrykiem Jakim, politykiem Suwerennej Polski, deputowanym do Parlamentu Europejskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Odbić Polskę

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

RYSZARD GROMADZKI: Spodziewa się pan, że po kompromitacji prokuratury, na której polecenie zatrzymany został pana partyjny kolega Marcin Romanowski, były wiceszef resortu sprawiedliwości – jak się okazało – chroniony skutecznie immunitetem Rady Europy, jakobiński zapał ekipy Tuska do brutalnej rozprawy z opozycją nieco wyhamuje? Czy liczy się pan poważnie z tym, że może być kolejnym celem „rozliczeń" prowadzonych przez Tuska i jego ludzi?

PATRYK JAKI: Nie zakładam, żeby próbowano mi postawić jakieś zarzuty w związku z Funduszem Sprawiedliwości, bo się nim nigdy nie zajmowałem. Jednak chcą mnie załatwić w inny sposób. Siedzę już na ławie oskarżonych, w której grożą mi trzy lata więzienia za polubienie w mediach społecznościowych spotu, który pokazywał prawdziwe sceny przemocy migrantów w Europie. Ruszył proces i jeśli zostanę skazany, to nie będę mógł już kandydować w wyborach. Jest już sędzia z Iustitii, więc o to chodzi. Nie mam wątpliwości, że bezprawie, które ma w Polsce miejsce po objęciu władzy przez ekipę Tuska, jest częścią planu, za którym stoją jego faktyczni mocodawcy.

Nawiązuje pan do głośnych tez Klausa Bachmanna, który po zwycięstwie liberalno-lewicowej koalicji w ubiegłorocznych wyborach parlamentarnych rekomendował jej ostateczną rozprawę z populistyczną opozycją?

Tak. To dwustopniowy plan, za którym – jak powiedziałem – stoją mocodawcy Tuska z Berlina. W zamian za pomoc w zdobyciu władzy w Polsce postawiono mu warunki. Pierwszy dotyczy zatrzymania projektów gospodarczych i infrastrukturalnych, które są konkurencją dla Niemiec, m.in. Centralnego Portu Komunikacyjnego, portów, rozbudowy handlu na Odrze czy budowy w naszym kraju elektrowni atomowych. Oczywiście dotyczy to też innych przedsięwzięć, których celem było umocnienie polskiej suwerenności politycznej i gospodarczej.

Drugi komponent planu, który ma do wykonania Tusk, dotyczy zniszczenia obozu politycznego, który mógłby wrócić do realizacji prorozwojowej polityki, która zagraża Niemcom.

Powinniśmy zapomnieć w przyszłości o wolnych wyborach?

Tego nie powiedziałem. Nawet Putin dba o pozory. Natomiast plan jest narysowany. Odebrać subwencje Zjednoczonej Prawicy, zamknąć wielu jej polity-

eprasa.pl f863a161d9

ków, zniszczyć konserwatywne media, zmonopolizować system informowania ludzi i zastraszyć wszystkich, którzy chcieliby im pomagać. Wybory będą, jednak to będzie jak walka bokserska, gdzie jednemu zawodnikowi zasłonięto oczy i związano nogi. Więc co to ma wspólnego z uczciwą rywalizacją?

W tym kontekście kluczowego znaczenia nabierają przyszłoroczne wybory prezydenckie. Jeśli prawica je przegra, to Tusk będzie miał otwartą drogę do realizacji planu, o którym pan mówi. Ogłosił pan publicznie wolę kandydowania w wyborach prezydenckich. Sondaż IPSOS dla DoRzeczy.pl pokazał, że może pan liczyć na lepszy wynik niż Mateusz Morawiecki. Podtrzymuje pan zamiar kandydowania?

Tak, jestem gotowy kandydować w tych wyborach, choć nie muszę; jeśli znajdzie się lepszy kandydat, to chętnie mu pomogę. Przecież tu nie chodzi o mnie, a o Polskę. Musi to być jednak kandydat gotowy na najbrutalniejszą kampanię w historii oraz – jeśli wygra – na stawienie czoła tym bandytom od Tuska.

Trudno będzie jednak o zwycięstwo, bo na prawicy są ruchy odśrodkowe. Wielu wyborców Prawa i Sprawiedliwości jest rozczarowanych brakiem wniosków ze strony kierownictwa tej partii po utracie władzy, brakiem strategii na jej odzyskanie.

To nie jest czas na spory. Tracimy Polskę. Jeżeli będziemy trwać w klinczu, to możemy ją stracić.

Patrząc na rzeczywistość, trudno oprzeć się wrażeniu, że polityczna sprawczość prezydenta w Polsce jest bardzo ograniczona. Czy to skutek wędzideł zapisanych w konstytucji czy raczej kwestia stylu sprawowania tego urzędu przez głowę państwa?

Pomimo „bezpieczników" wpisanych w system III RP prezydent w Polsce ma istotną władzę. III RP to państwo stworzone na fundamencie układu z postkomunistami, którzy zgodzili się na transformację ustrojową w zamian za posiadanie w nowym ustroju „złotych akcji" – to wymiar sprawiedliwości, służby, media, uczelnie wyższe, duży biznes. To stworzyło państwo, gdzie kluczowe elementy jego sterowności i jego efektywności zostały sprywatyzowane w formie tych akcji, które oni przekazują

Jestem gotowy kandydować w wyborach prezydenckich, choć nie muszę. Jeśli znajdzie się lepszy kandydat, to chętnie mu pomogę

sobie w kolejnym pokoleniu. A pieczęcią tego systemu była konstytucja z 1997 r., która celowo rozproszyła władze w taki sposób, żeby układ miał pewność, że nawet jeśli przegra jakieś wybory, to ma swoje bezpieczniki.

Proszę zwrócić uwagę, że najsilniejsze państwa na świecie charakteryzują się silną władzą wykonawczą konsolidowaną w jednym ośrodku. W USA władza wykonawcza należy do prezydenta, w Niemczech do kanclerza, w Wielkiej Brytanii do premiera. A w Polsce celowo jest rozproszona w taki sposób, że do dziś trwają spory dotyczące podziału kompetencji, np. w prowadzeniu polityki zagranicznej.

Ogromna władza gwarantowana w konstytucji należy też do świata prawniczego, który nie chce się poddać żadnej kontroli demokratycznej, bo chce utrzymać tę swoją „złotą akcję". Tego dotyczył przecież spór o sposób wyboru Krajowej Rady Sądownictwa, która w III RP, mimo wyraźnego wskazania w ustawie zasadniczej, że każda władza musi w pośredni bądź bezpośredni sposób pochodzić od ludzi, nie chciała się temu poddać, twierdząc, że to „naruszenie praworządności".

W skrócie: III RP celowo była stworzona jako państwo, w którym władza ma być tak rozproszona, czyli słaba i nieskuteczna, aby nikt nie mógł dokonać zamachu na te nielegalne „złote akcje" zdobyte pod stołem transformacji. I kiedy objęliśmy rządy podwójnie – układ musiał jak drzewiej odwołać się do siły zewnętrznej, aby – jak w XVIII w. – „bronić swoich przywilejów".

Kształt Polski zapisany przy Okrągłym Stole trwał przez ponad 30 lat. Mieliśmy więc fasadowe państwo, bezbronne wobec obcych wpływów i permanentnego drenażu jego zasobów. Ale Tusk i jego ekipa idą dalej. Demolują instytucje, bez których państwo traci elementarną wiarygodność.

Tusk rzeczywiście stworzył jakiś nowy ustrój, który w skrócie polega na tym, że kto przejmuje aparat siłowy państwa, może wszystko. Żadne kadencje, autonomie poszczególnych organów nie mają znaczenia. I paradoksalnie widzę w tym plus. Ponieważ „dzięki" Tuskowi państwo pt. „III RP" przestało istnieć. I na tych gruzach może wreszcie uda się zbudować prawdziwą i silną Polskę.

Dewastacja państwa, jego instytucji na razie uchodzi ekipie Tuska na sucho. Zgodzi się pan z oceną, że ludzie w Polsce są tak podzieleni, wzajemna nienawiść zasiana tak głęboko, iż trudno będzie ten proces odwrócić?

Będzie trudno, ale to odwrócimy. W zimie ten rząd może zacząć tracić poparcie, a poparcie dla Zjednoczonej Prawicy urośnie do ok. 40 proc. Zobaczycie. Zaczną się ruchy odśrodkowe.

W zamian za pomoc w zdobyciu władzy Tuskowi postawiono warunki. Pierwszy dotyczy zatrzymania projektów gospodarczych i infrastrukturalnych, które są konkurencją dla Niemiec, m.in. CPK, portów, rozbudowy handlu na Odrze czy budowy elektrowni atomowych

Być może ta analogia jest nie do końca uprawniona. Jednak często ze względu na ostrość politycznego konfliktu i dramatyczny podział społeczny porównuje się sytuację w Polsce do tego, co dzieje się obecnie w USA. Tam skończyło się to próbą zamachu na Donalda Trumpa. Nie obawia się pan, że u nas może być podobnie? Jeśli w kampanii prezydenckiej pojawi się kandydat, który realnie zagrozi układowi, który trzyma Polskę w klinczu od ponad 30 lat, to ten układ będzie gotowy, żeby posunąć się do jego fizycznej eliminacji?

Nawet jeśli założyć, że to może się stać, czy mamy inne wyjście niż walczyć? Stawka jest przecież najwyższa. Polska. Dla niej warto poświęcić wszystko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f863a161d9

Kryzys wiary

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

Rafał A. Ziemkiewicz

Środowiska sędziowskie i prawnicze już nie tak chętnie wspierają swoimi nazwiskami działania rządu. Z kilku powodów

Mam pełne zaufanie do ministra Bodnara – te słowa dawno już stały się magiczną formułą, za pomocą której politycy KO, z samym premierem na czele, oraz kibicujący obecnej władzy „liderzy opinii" uchylają się od niewygodnych pytań o kolejne akty bezprawia rządu. Im częściej jednak okazuje się, że nawet łamiąc prawo, minister sprawiedliwości nie potrafi być skuteczny, tym bardziej formuła ta zaczyna pobrzmiewać raczej jak dystansowanie się niż ufne wspieranie jego działań. Poparcie środowisk prawniczych dla „przywracania praworządności", którego rząd był pewien jak przysłowiowego amen w pacierzu, stało się zdecydowanie mniejsze niż pół roku temu.

COŚ PĘKŁO

To, że entuzjazm słabnie, dało się zauważyć już wcześniej. Coś jednak pękło zauważalnie po tym, gdy okazało się, że Bodnarowska prokuratura prześlepiła immunitet byłego wiceministra sprawiedliwości, Marcina Romanowskiego, jako członka Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. A nawet gorzej: jak się okazało po czasie, nie prześlepiła, tylko po prostu zignorowała. Po tym bowiem, jak sejmowa większość przegłosowała zgodę na aresztowanie Romanowskiego, biuro przewodniczącego Zgromadzenia dyskretnie ostrzegało, że „swojego" immunitetu nie odpuści, tym bardziej że strona polska nigdy nawet o to nie wystąpiła.

Dlaczego ostrzeżenie to zignorowano? Mogło to wynikać z buty bodnarowców, rozzuchwalonych wyrazami bezwarunkowego poparcia, których po każdym grubszym nadużyciu udzielali ich szefowi wylewnie komisarze europejscy i ambasador USA; mogło też być skutkiem wprowadzonego przez Tuska modelu „zarządzania przez wściekanie się", którym szybko uczy podwładnych, że nie należy psuć szefowi humoru informowaniem go o pojawiających się trudnościach – w każdym wypadku rzecz świadczy o szybkim tempie rozkładu nowej władzy. Nie wdając się w wyjaśnianie przyczyn porażki, bez wątpienia uderzyła ona mocno w główny argument narracji o „konieczności przywrócenia praworządności". Za rządów PiS taki przekaz zbudował obóz władzy, złamano europejskie zasady praworządności, czego dowodem są strofujące Polskę orzeczenia TSUE i rezolucje europarlamentu – mamy zatem stan wyższej konieczności, w którym trzeba sięgać po środki nadzwyczajne, by – jak to ujął prof. Marek Safjan – „unikając pułapki prawniczego formalizmu", przywrócić „unijne standardy".

Tymczasem obecna ekipa okazała się tak samo strofowana przez „Unię" za łamanie praworządności jak poprzednia.

Z prawniczych harcowników, wspierających entuzjastycznie Bodnarowskie metody wydobywania się z „pułapki prawniczego formalizmu", na polu bitwy pozostał właściwie tylko Wojciech Sadurski. Być może dlatego, że on akurat szczególnie się ośmieszył, kilka godzin przed decyzją sądu perorując w TVN24, że „dokładnie zbadał tę sprawę" i „pisowskie rojenia" o przysługującym Romanowskiemu immunitecie to „brednie", które, jeśli PiS odważy się je przedstawić w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy, wywołają tam tylko „kupę śmiechu". Po takim popisie pewności siebie i buty nie pozostało Sadurskiemu nic innego, jak tylko gołosłowne upieranie się, że to on, a nie Zgromadzenie i polski sąd, ma rację, połączone z próbą zdyskredytowania przewodniczącego Rousopoulosa jako „polityka umoczonego w korupcję", a jego interwencji w sprawie Romanowskiego jako „listu polityka do innego polityka", który w żadnym wypadku nie powinien być brany pod uwagę przez polski sąd.

Na swoje nieszczęście Sadurski zagonił się tak, że jako możliwą przyczynę uwolnienia Romanowskiego wskazał spisek „złowrogiej, międzynarodowej czarnej sotni" – Opus Dei, do której należy

eprasa.pl f863a161d9

Marcin Romanowski. Zasugerował, że dla organizacji „przerzut ukochanego brata do jakiegoś Ekwadoru czy Paragwaju nie będzie problemem", i zręcznie powiązał to z twierdzeniem, że przewodniczący Rousopoulos „przekazywał pieniądze pewnemu księdzu".

W ten sposób istotnie zrealizował swą zapowiedź: z tą różnicą, że „kupa śmiechu" była nie nad wnioskiem o interwencję w sprawie bezprawnie aresztowanego polityka, a nad spiskową teorią Sadurskiego o spisku Opus Dei (którego wysokim rangą członkiem, o czym Sadurski nie pomyślał, jest Roman Giertych, a zdaniem Tomasza Piątka także Szymon Hołownia, co pozwala hipotezę Sadurskiego rozwijać w nieoczekiwanym przez niego kierunku). Sadurski źle zniósł to, że stał się obiektem powszechnych kpin, i najpierw skasował swój demaskatorski post, a niedługo potem w ogóle wycofał się z Twittera, twierdząc, że „prawdopodobnie" dokonano hakerskiego włamania na jego konto. Gwoli uczciwości trzeba uwzględnić możliwość, że jego rejterada wynikała nie tylko z ośmieszenia się konspiracyjnymi domniemaniami, lecz także z obawy przed kolejnymi postępowaniami dyscyplinarnymi na UW – Sadurski zwykł bowiem bez opamiętania obrażać wszystkich przeciwników obecnej władzy, szafując procesowymi insynuacjami i obelgami, szczególnie po tym, jak warszawski sąd zapewnił mu bezkarność w procesie wytoczonym o ochronę dóbr osobistych przez TVP (który przedstawiał na Zachodzie jako rzekome represje ze strony rządu PiS), a Uniwersytet Warszawski przez ponad rok przewlekał rozpatrzenie skargi prof. Jana Majchrowskiego – jednak, według niektórych przecieków, władze uniwersyteckie miały uznać, że Sadurski naprawdę przekroczył już miarę i dalsze rozpinanie nad nim parasola szkodzi samej uczelni.

ŻADNEGO WSPARCIA

Jakakolwiek była przyczyna, rząd Tuska stracił bodaj najwierniejszego obrońcę i harcownika w mediach społecznościowych. To spora strata, gdyż nagle się okazało, że luki po Sadurskim nie ma kto zapełnić.

Dla polityków KO szokiem musiała być postawa dotąd popierających ich wiernie sędziów Iustitii. Osławiony Igor Tuleya nie zostawił na prokuraturze suchej nitki, stwierdziwszy wprost, że zapowiadany wniosek o ponowne aresztowanie Romanowskiego nie będzie w ogóle miał sensu, co więcej – że nie ma także żadnego sensu ani prawnego uzasadnienia przetrzymywanie w areszcie śledczym ks. Olszewskiego oraz dwóch byłych urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości.

Również przewodniczący oddanego partii sędziowskiego stowarzyszenia, Krystian Markiewicz, pośrednio skrytykował zbyt łatwe sięganie przez prokuraturę po areszt tymczasowy, sugerując, że w sprawie rozliczeń z PiS prokuratura kierowała się „złym obyczajem".

Spośród licznej swego czasu grupy prawników gotowych dotąd na każde zawołanie stawić się w telewizyjnym bądź internetowym studiu z wyrazami poparcia dla „przywracania samorządności" większość nabrała wody w usta. Rządu bronili jedynie Andrzej Zoll i Marcin Matczak, a i to niezwykle miękko – pierwszy użył formuły, że „nie jest do końca pewien", czy Romanowskiego powinien chronić immunitet Zgromadzenia po tym, jak cofnięto mu immunitet krajowy (ta sprawa była przez ZPRE wyjaśniona po tym, jak z podobną tezą wystąpiły władze rosyjskie – jednoznacznie podkreślono, że immunitet Zgromadzenia nie jest związany z krajowym i uchylić go może tylko samo Zgromadzenie), a drugi z kazuistyczną perwersją pominął meritum sprawy, brnąc w szczegóły rzymskiego prawa cywilnego (?) i paremie przypisywane Ulpianowi.

Możliwe, że krytyka Tulei i Markiewicza miała związek z rozczarowaniem władzą, któremu środowiska Iustitii i Themis dawały wyraz w ostatnich miesiącach, w związku z brakiem ze strony rządu Tuska oczekiwanej ustawy, która usuwałaby ze stanu sędziowskiego „neosędziów" – czyli wszystkich, od których prezydent przyjął ślubowanie po roku 2015. A przynajmniej, w wersji minimum, która dawałaby korporacyjnemu establishmentowi prawo arbitralnego usuwania tych „neosędziów", którzy nie chcą być posłuszni odzyskującej wpływy korporacyjnej sitwie, reglamentującej dostęp do zawodu i awanse, zanim do władzy doszedł PiS. „Wolni sędziowie", uważając, że obecna władza zawdzięcza ich rokoszowi przeciw PiS jeśli nie wszystko, to w każdym razie bardzo wiele, nie chcą przyjąć do wiadomości, że ich oczekiwania są krańcowo nierealistyczne – „neosędziowie", mówiąc ich językiem, stanowią już jedną czwartą polskich sędziów w ogóle, a uznanie wszystkich wyroków z ich udziałem hurtem za nieważne oznaczałoby praktycznie likwidację dorobku wymiaru sprawiedliwości ostatniej dekady i niewyobrażalny chaos we wszystkich dziedzinach życia.

Upór, z którym rokoszanie kontynuują walkę z „neosędziami" – ostatnio np. sędzia SN Włodzimierz Wróbel uwolnił z więzienia mordercę, kwestionując status sądu, który wydał wyrok, a sędzia sądu rejonowego dla warszawskiej Pragi orzekła nieważność wyroku Sądu Najwyższego (!) wydanego przez „neosędziów" – zaczął, wbrew ich rachubom, działać trzeźwiąco na generalnie antypisowskie środowisko, które nagle zdało sobie sprawę, że naruszana jest podstawa ich poczucia bezpieczeństwa: każdy z nich będzie mógł zostać skutecznie zaatakowany, jeśli nie przez tę władzę, to przez następną.

Na kruszące się poparcie prawników Tusk odpowiada, rzucając im pokerowe „sprawdzam": Sejm przegłosował właśnie ustawę pozwalającą mu uznać za niebyłe orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego z ostatnich lat. Projekt zgodnie skrytykowany został przez konstytucjonalistów i Rzecznika Praw Obywatelskich (miażdżące opinie zebrał na swej stronie internetowej Klub Jagielloński), wydaje się aktem czysto politycznym, mającym umożliwić propagandowe rozegranie przeciwko prezydentowi weta, które w tej sytuacji jest pewne. Ale posłuży też jako test lojalności. Czy po tym, jak odebrane zostały ekspertyzy prawne prawników zamówione w sprawie Romanowskiego przez wiceministra Myrchę, znajdzie się wielu chętnych do wspierania legislacyjnego potworka „reformującego" Trybunał Konstytucyjny? Czy przeważy obawa, że rząd Tuska może wcale nie trwać tak długo, jak się początkowo wydawało, i nie warto zabiegać o jego względy kosztem kompromitowania swego nazwiska? Wynik tego testu może być bardzo ciekawy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f863a161d9

Tłamszony głos

Jan Pospieszalski

Historia procesów Stowarzyszenia Rodzin Wielodzietnych Warszawy i Mazowsza pokazuje, że nawet bez ustawy o mowie nienawiści publikowanie prawdziwych treści o celach i metodach politycznego ruchu LGBTQ może skutkować rujnującym pozwem, egzekucjami komorniczymi, a wobec niemożności wywiązania się z drakońskich wyroków niesie ze sobą nawet groźbę więzienia. Jest też przykładem realnej siły tęczowych rewolucjonistów, którzy wspierani organizacyjnie i finansowo przez różne ośrodki krajowe i zagraniczne realizują program społecznej dekonstrukcji

4 czerwca Sąd Okręgowy w Warszawie uznał winnym Stowarzyszenie Rodzin Wielodzietnych Warszawy i Mazowsza naruszenia dóbr osobistych Fundacji na rzecz Różnorodności Społecznej. To już piąty przegrany z serii siedmiu procesów wytoczonych Stowarzyszeniu przez aktywistów i organizacje LGBTQ. Wyrok sądu nakłada na Stowarzyszenie drakońskie zobowiązania, których wykonanie kosztować będzie ok. 200 tys. zł. Przewinieniem było wysłanie w 2016 r. do 20 tys. polskich szkół listu ostrzegającego przed szkodliwością tzw. edukacji antydyskryminacyjnej.

IDZIEMY PO WASZE DZIECI!

Takie hasła towarzyszą paradom równości i nie jest to tylko uliczny slogan. Wszystko zaczyna się w 2015 r., kiedy minister edukacji w rządzie PO-PSL Joanna Kluzik-Rostkowska nałożyła obowiązek edukacji równościowej na placówki oświatowe. Paradoksalnie realizacja tego obowiązku będzie miała miejsce już pod rządami Zjednoczonej Prawicy i nowej minister edukacji Anny Zalewskiej. Rok wcześniej opinię publiczną zszokowały Standardy Edukacji Seksualnej wydane przez Biuro Regionalne Światowej Organizacji Zdrowia dla Europy i niemieckie Federalne Biuro do spraw Edukacji Zdrowotnej (BZgA). Jednym z zaleceń dotyczących dzieci w wieku od 0 do 4 lat jest przekazanie wiedzy o „radości i przyjemności z dotykania własnego ciała, informowanie o masturbacji w okresie wczesnego dzieciństwa, a także odkrywanie własnych narządów rodnych".

Dzieci w wieku od 4 do 6 lat mają być informowane o związkach osób tej samej płci, a uczniowie od 6. do 9. roku powinni być uczeni o różnych metodach antykoncepcji, a także o tym, czym jest „akceptowalne współżycie seksualne odbywane za zgodą obu osób". W przedziale wiekowym od 9 do 12 lat dzieci mają się uczyć (lub opowiadać) o „pierwszych doświadczeniach seksualnych", a także o różnych orientacjach płciowych.

W 2015 r., mimo licznych protestów, parlament przegłosował, a prezydent Bronisław Komorowski podpisał Konwencję Rady Europy „O zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej (tzw. konwencję stambulską). Zapisy konwencji sprowadzają płeć do rangi konstruktu społecznego, a źródeł przemocy upatrują w stereotypach wynikających z religii i tradycji.

Konwencja zobowiązuje sygnatariuszy do wdrożenia specjalnych środków mających na celu wykorzenianie ugruntowanych w kulturze patriarchalnych wzorców i uwzględnienie założeń ideologii gender na wszystkich szczeblach edukacji. Wobec nasilającej się światopoglądowej presji wiele środowisk prorodzinnych ochronę dzieci przed genderową indoktrynacją uznało za najważniejszy problem. Zwycięstwo Zjednoczonej Prawicy tylko w niewielkim stopniu ograniczyło wstęp do szkół seksedukatorom. Władze miast, gdzie rządziła totalna opozycja, wspieranie i finansowanie aktywistów i edukatorów LGBTQ uznały za dogodne narzędzie walki z PiS. W Poznaniu, Warszawie, Gdańsku i w innych miejscach na różne sposoby obchodzono wprowadzane przez MEN ograniczenia dotyczącego edukacji seksualnej.

W IMIĘ OBRONY DZIECI

W takich realiach maleńkie stowarzyszenie rodzin katolickich znalazło prywatnego darczyńcę, który sfinansował wysłanie do 20 tys. szkół listów ostrzegających przed niepożądanymi treściami, które wprowadzane są do klas pod pozorem edukacji równościowej i antydyskryminacyjnej.

Autorzy listu podkreślali, że szlachetne hasła walki z uprzedzeniami, troska o niepełnosprawnych, uchodźców są tylko pretekstem promocji zachowań i zwyczajów LGBTQ odrzucających wszelkie normy społeczne. Rodzice zwrócili uwagę, że nie istnieje uzasadniona potrzeba wprowadzenia do szkół jakiegoś szczególnego programu edukacji antydyskryminacyjnej. Do zadań szkoły należy bowiem kształtowanie postaw szacunku do każdego człowieka i świadomości godności osoby ludzkiej. Gdyby chodziło tylko o pielęgnowanie postawy tolerancji i niedyskryminacji, fakt takich zajęć prowadzonych przez podmioty zewnętrzne powinien być przyjęty przez nauczycieli jako podważenie ich kompetencji. Zatem nie o walkę z ewentualnymi przejawami dyskryminacji tutaj chodzi.

W liście rodziców do szkół ukazano, że edukacja antydyskryminacyjna i Kodeks Równego Traktowania koncentrują się na jednej grupie mniejszościowej – środowisku LGBTQ.

Autorzy przytoczyli w liście wiele nazw organizacji oraz cytatów, wypo-

eprasa.pl f863a161d9

Przeprosiny mają być rozesłane do ok. 20 tys. szkół w formie listów poleconych za poświadczeniem odbioru, co oznacza koszt ok. 160 tys. zł. A obok tego odszkodowania i koszt procesu

wiedzi i zdjęć aktywistów. Zamieścili przykłady, które w opinii ideologów tego ruchu są przejawami dyskryminacji.

Na przykład przedstawianie rodziny składającej się z mężczyzny, kobiety i dzieci jest „oburzającym skandalem" i homofobią. Stąd konieczna jest „eliminacja nieaktualnych podręczników" i zamiast nich wprowadzenie innych „kształtujących postawę akceptacji dla osób LGBTQ", które ukażą „problematykę rodzin jednopłciowych, rodzin złożonych homo- czy biseksualnych, rodzin queer... poliamorycznych (dr Jacek Kochanowski raport »Szkoła milczenia«)".

Jako przykład nierozłączności polityki antydyskryminacyjnej z celami środowisk LGBTQ rodzice przywołali skład Rektorskiej Komisji do spraw Przeciwdziałania Dyskryminacji na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie czterech członków spośród pięciu było zwolennikami/specjalistami teorii queer. Wymieniając i opisując działania znanych trenerów antydyskryminacyjnych, zamieścili m.in. zdjęcie Marty Konarzewskiej, lesbijki i aktywistki, z zawodu nauczycielki liceum, która wystąpiła na Paradzie Równości z gołym torsem i wymalowanym na ciele napisem: „Śpię, z kim chcę". Przypomnieli, że była ona zaangażowana w akcję „Szturm na szkoły" jako autorka scenariusza warsztatów antyhomo- i antytransfobicznych.

Ponadto autorzy listu zamieścili przykłady z fachowej literatury i amerykańskich badań ukazujące wzrastający procent młodych ludzi deklarujących nieheteronormatywne orientacje seksualne. Ten wzrost koreluje z nasilającą się społeczną nobilitacją osób LGBTQ i inwazją takich wątków w popkulturze.

W liście do szkół zwrócono uwagę, że indukowanie uczniom nietypowych zachowań seksualnych stoi w sprzeczności z wartościami, które dzieciom chcą przekazać rodzice, ponadto dla młodych ludzi w okresie dojrzewania takie treści mogą być szkodliwe. I właśnie stwierdzenie, że edukacja antydyskryminacyjna szkodzi, stało się pretekstem wytoczenia procesów o naruszenie dóbr osobistych.

normalności

KNEBEL JAKO OCHRONA DOBREGO IMIENIA

Pierwsza rozprawa (z powództwa p. Małgorzaty Fuszary) miała miejsce 21 lutego 2020 r. Kolejne procesy, wytoczone przez aktywistki Martę Konarzewską, Agnieszkę Kozakoszczak, Kampanię Przeciw Homofobii, Towarzystwo Edukacji Antydyskryminacyjnej oraz Fundację na rzecz Różnorodności Społecznej toczyły się w różnej kolejności, czasem w wielomiesięcznych odstępach. Trudno nie odnieść wrażenia, że seria procesów ma skoordynowany charakter, a nękanie licznymi pozwami ma być nauczką dla innych.

W pięciu procesach sądy nakazały Stowarzyszeniu przepraszanie za krytykę tej edukacji. Zakazały też krytyki, skazując Stowarzyszenie na kary finansowe. Byłem obserwatorem na kilku rozprawach i widziałem, jak sędziowie traktują edukację rzekomo antydyskryminacyjną jako jednoznacznie pozytywną, jednocześnie ignorując liczne dowody na istnienie zagrożeń, przed którymi ostrzegało Stowarzyszenie.

Dobra osobiste aktywistów sędziowie rozszerzali zupełnie absurdalnie, stawiając je wyżej niż prawa rodziców, niż prawa, dobro i bezpieczeństwo dzieci.

Wyroki i uzasadnienia brzmią niemal identycznie, jakby pisała je jedna osoba. Stowarzyszenie ma przeprosić za „rozpowszechnianie niezgodnych z prawdą informacji, jakoby prowadzona w szkołach przez X, Y, Z edukacja antydyskryminacyjna mogła szkodzić uczniom". Przeprosiny mają być rozesłane do ok. 20 tys. szkół (adresatów listu Stowarzyszenia z 2016 r.) w formie listów poleconych za poświadczeniem odbioru, co oznacza koszt ok. 160 tys. zł. A obok tego odszkodowania i koszt procesu. W uzasadnieniu wyroku pojawia się m.in. kuriozalne stwierdzenie, że „orientacja psychoseksualna jest wrodzona i nie ma możliwości, by ją zmienić za pomocą działań edukacyjnych". Przywołano także opinię Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, że homoseksualność to równie prawidłowy wariant rozwoju seksualności co heteroseksualność.

GOLIAT ZWYCIĘŻA Z DAWIDEM

Fundacja na rzecz Różnorodności Społecznej, która wygrała proces ze Stowarzyszeniem, wymienia na stronie WWW dwudziestu kilku darczyńców, w tym: ambasadę amerykańską, ministerstwo spraw zagranicznych Norwegii, niemieckie banki i fundacje, instytucje UE.

Bo w całej sprawie, obok rewolucyjnej społecznej zmiany, chodzi też o ogromne pieniądze. Dla licznych tęczowych organizacji (tylko w Koalicji Edukacji Antydyskryminacyjnej zrzeszonych jest 60 podmiotów) uzasadnieniem ich funkcjonowania jest właśnie edukacja, czyli tresowanie opornego polskiego społeczeństwa. Ponadto w zarządach różnych podmiotów pojawiają się często te same nazwiska, co pozwala mniemać, że przedsiębiorczy aktywiści klonują tęczowe inicjatywy i stowarzyszenia, by ubiegać się o kolejne środki. Skoro Fundusze Norweskie, Fundacja Batorego, niemieckie i europejskie instytucje, samorządy wielkich miast lekką ręką dają setki milionów na tęczową imprezę, to tylko frajer by nie skorzystał. Natomiast Stowarzyszenie Rodzin Wielodzietnych Warszawy i Mazowsza pewnie ogłosi zbiórkę, bo wykonanie wyroków przekracza ich czteroletni budżet.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f863a161d9

Marsz Ruchu Autonomii Śląska w 77. rocznicę Tragedii Górnośląskiej, Świętochłowice, 29 stycznia 2022 r. FOT. ZBIGNIEW MEISSNER/PAP

Zatarcie winy

Andrzej Krzystyniak

Szkoda, że państwo polskie wzorem Niemców nie chce pójść drogą porównania, czyli zestawienia zbrodni popełnianych przez nich podczas okupacji, np. ludobójstwa na Zamojszczyźnie, z wysiedleniem Niemców po 1945 r. z obszarów przyznanych Polsce decyzjami aliantów, na które komunistyczne państwo polskie nie miało żadnego wpływu

W roku 2025 przypada 80. rocznica zakończenia drugiej wojny światowej. Dla Niemiec to jeden z najtragiczniejszych okresów w historii, kojarzony z wkroczeniem na obszar III Rzeszy Armii Czerwonej. A ta, jak wiemy, znaczyła swój szlak nie tylko militarnymi zwycięstwami, lecz także – a może przede wszystkim – mordami, rabunkami, gwałtami na ludności cywilnej.

Z kolei na Śląsku czas od momentu wkroczenia Sowietów, czyli od stycznia 1945 r., zwykło się określać mianem Tragedii Górnośląskiej. Dla środowisk propagujących ideę odrębności kulturowej Śląska od Polski, których najbardziej wyrazistym przedstawicielem jest Ruch Autonomii Śląska, Tragedia Górnośląska jest przede wszystkim okazją do oskarżenia Polaków i państwa polskiego o represjonowanie, wysiedlenia, a przede wszystkim osadzanie Ślązaków w „polskich obozach koncentracyjnych". Można przy tym odnieść wrażenie, że kluczowym i najważniejszym punktem tego działania jest zrównanie zbrodni niemieckich czasu wojny z powojennymi komunistycznymi represjami. W opiniach na ten temat można natrafić na takie stwierdzenia jak to, że to Polska po 1945 r. deportowała tysiące mieszkańców Śląska do Związku Sowieckiego. Z kolei Sowieci, przynosząc Polakom wyzwolenie od niemieckiej okupacji, jednocześnie zniewolili Ślązaków. Skądinąd niewiele oskarżeń pada pod adresem Sowietów. Winni mają być przede wszystkim Polska i Polacy, którzy to, nie wiedzieć czemu, postanowili po 1945 r. wysiedlić z przyznanych im decyzjami aliantów obszarów Niemców oraz wspomniane mniejszości narodowe.

Bardzo ciekawie w tej kwestii brzmi Apel Walnego Zebrania Delegatów Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców na Śląsku Opolskim w sprawie upamiętnienia 80. rocznicy Tragedii Górnośląskiej opublikowany 8 czerwca 2024 r.

„W roku 2025 będziemy obchodzić 80. rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej – jednego z najtragiczniejszych okresów w historii ludzkości. W kontekście tych wydarzeń nie możemy zapomnieć o tragedii niemieckiego wschodu, której częścią jest Tragedia Górnośląska, a która dotknęła nasz region i nasze rodziny. Były to czasy pełne bólu, cierpienia i straty, które wciąż rezonują w naszych wspomnieniach i historii". A zatem zakończenie wojny jest przez autorów uznawane za jeden z najtragiczniejszych epizodów ludzkości? Tragedia Górnośląska z kolei to część „tragedii niemieckiego wschodu", chociaż nietrudno wysnuć wniosek, że była konsekwencją rozpętanej i przegranej przez Niemcy wojny. Dla Polski,

eprasa.pl f863a161d9

podobnie jak Niemców, koniec wojny nie oznaczał niczego dobrego. Niemcom, tak jak Polakom, pozwolono żyć. Żaden z aliantów nie pomyślał, żeby Niemców unicestwić czy też sprowadzić ich do pozbawionej, poza umiejętnością pisania i czytania, siły roboczej wykonującej jedynie najprostsze prace. Tak jak to miało w planach państwo niemieckie wobec m.in. Polaków.

O CO TA GRA?

Łatwo dostrzec, że tak naprawdę gra toczy się o zrównanie katów z ofiarami, wymazanie zbrodni niemieckich rzekomymi popełnianymi po wojnie przez Polaków. To dlatego wściekłość „regionalistów" budzi określanie, zgodne z prawdą, obozów takich jak Auschwitz niemieckimi. Dodajmy, jako ciekawostkę, że przy tej okazji będą się oburzać na przypisywanie im samym, poprzez takie działania, proniemieckości, co ma ich zdaniem być przejawem błędnego zacietrzewionego „polskiego nacjonalizmu".

Tymczasem Niemcy nie kwapią się z upamiętnieniem polskich ofiar pomnikiem w swojej stolicy. Inna rzecz, jeśli chodzi o upamiętnienie wysiedleń czy też „wypędzeń" ludności niemieckiej po 1945 r. Tutaj państwo niemieckie co rusz planuje w Berlinie utworzenie kolejnej instytucji. Tym razem pod nazwą Muzeum Migracji, w którym kluczową opowieścią będzie z kolei czas „wypędzania" Niemców z ich własnej ojczyzny po dojściu do władzy partii nazistowskiej.

Szkoda, że państwo polskie wzorem Niemców nie chce pójść drogą porównania, czyli zestawienia zbrodni popełnianych przez nich podczas okupacji, np. ludobójstwa na Zamojszczyźnie z wysiedleniem Niemców po 1945 r. z obszarów przyznanych Polsce decyzjami aliantów, na które – nawiasem mówiąc – komunistyczne państwo polskie nie miało żadnego wpływu. Jednocześnie z całą mocą należałoby podkreślić to, kto i jakimi działaniami doprowadził do „najtragiczniejszego wydarzenia w dziejach ludzkości, czyli zakończenia drugiej wojny światowej".

ANI SŁOWA O WOJNIE

Rok 2025, jeśli zostanie ogłoszony Rokiem Tragedii Górnośląskiej, będzie kolejnym już drugim rokiem upamiętnienia ofiar państwa polskiego po 1945 r., które to państwo miało zamykać w obozach, mordować oraz wysiedlać Niemców, Ślązaków czy też wszelkie mniejszości narodowe niepasujące do wizji jednolitego narodowo państwa. Wszak polscy komuniści, a mówiąc wprost – Polacy realizowali taki właśnie plan państwa jednonarodowego, zapewne wbrew Związkowi Sowieckiemu. To zresztą nic nowego, nawet w kontekście ukazywania Sowietów jako bardziej zorganizowanych czy wręcz cywilizowanych od Polaków.

Robert Jungk, urodzony w 1913 r. w Berlinie austriacki publicysta, już w listopadzie 1945 r. opublikował na łamach ukazującego się w Zurychu pisma „Weltwoche" artykuł na temat sytuacji Niemców na przyznanych Polsce Ziemiach Odzyskanych. W artykule, co znamienne, nie było ani słowa o wybuchu wojny rozpętanej przez Niemców, ani słowa o zrujnowaniu Europy, wymordowaniu milionów. Najważniejszym punktem stało się jego zdaniem niewspółmierne cierpienie niemieckiej ludności zadawane przez Polaków: „Wszyscy ci, którzy pragną uciec przed głodem, epidemią, grabieżą i znęcaniem się w regionach okupowanych przez Polskę, muszą przed opuszczeniem owej strefy podpisać zobowiązanie o dobrowolnym opuszczeniu swych posiadłości i miejsca zamieszkania. By nikt później przy stole osłoniętym zielonym płótnem nie mógł powiedzieć, że miały tam miejsce jakiekolwiek nieprawidłowości!".

Skąd w Polsce tak wielu zwolenników niemieckiej wizji historii gotowych rzucać oskarżenia na Polskę?

Obszar zajęty przez Polaków był przez Niemców często określany „krajem umarłym", „krajem bandytów". Można odnieść wrażenie, że został opanowany – zdaniem wielu Niemców, a zwłaszcza przesiedlonych – przez niezwykle prymitywny naród niezdolny do ustanowienia jakiejkolwiek formy administracji na zajmowanym po wojnie, decyzją zwycięskich mocarstw, obszarze. Jak pisał w 1945 r. Jungk, opisując rzekomą sytuację za polską granicą: „Niemile widziane są jakiekolwiek odwiedziny z zewnątrz, gdyż za granicą linii Nysy i Odry rozpościera się ziemia bez bezpieczeństwa, bez prawa, kraj bandytów. Kraj umarł. Podczas gdy w strefie okupacyjnej rosyjskiej panuje jako taki porządek, a bezprawie jest bardziej przypadkowe niż zaplanowane, to na terenach pomiędzy byłą granicą polsko-niemiecką a linią Odry panują arbitralność i przemoc. Wobec przyznania ziem wschodnich Polsce przez umowy poczdamskie osiadła na tych terenach ludność niemiecka wierzyła pierwotnie w to, że z Polakami będzie łatwiej się porozumieć niźli z Rosjanami. Obecnie jest tak, że osiadła ludność musi się zwracać do stacjonujących tam oddziałów i komórek rosyjskich z prośbą o ochronę przed napaściami ze strony Polaków. Kto opuścił polską strefę i udało mu się dotrzeć do rosyjskiej strefy okupacyjnej, oddycha z ulgą".

Trudno o bardziej niesprawiedliwą ocenę Polaków po 1945 r. Skądinąd są to opinie bardzo podobne do tego, co głoszą o Polsce różnej maści „regionaliści", m.in. teorie o powojennych „polskich obozach koncentracyjnych" czy represjonowaniu i wysiedleniach oraz budowie państwa jednolitego narodowo poprzez unicestwianie mniejszości narodowych.

Można zauważyć, że propagandowy trend zapoczątkowany przez Niemców od momentu zakończeniu wojny jest niezmiennie kontynuowany. Pod koniec 2022 r. w Świętochłowicach, na terenie dawnego obozu pracy Zgoda, przed obozową bramą odsłonięto makietę. Opis na makiecie stwierdzający, że to był „obóz dwóch totalitaryzmów – niemieckiego i komunistycznego", wzbudził wściekłość „regionalistów". Od tamtego momentu żądają sprostowania i zmiany napisu. Ich zdaniem powinno być „niemiecki i polski" albo „nazistowski i komunistyczny". Chociaż sądzę, że pełnię satysfakcji osiągnęliby, gdyby napis brzmiał: „nazistowski" do 1945 r. i „polski" po wojnie.

Można przy tej okazji zadać sobie pytanie, skąd w Polsce tak wielu zwolenników niemieckiej wizji historii gotowych rzucać oskarżenia pod adresem Polski przy jednoczesnym przemilczaniu niemieckich win? Czy to wszystko ma służyć upamiętnianiu ofiar?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f863a161d9

Spadająca gwiazda

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Od charyzmatycznego prezentera z rosnącymi zasięgami w mediach społecznościowych i oddanym gronem fanów do zawodnika patogali, żyjącego z taniej kontrowersji. Kariera Filipa Chajzera to antyprzykład dla chcących zaistnieć

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/DDTVN/EAST NEWS

Dostałeś już jakąś propozycję freakfightową? – pyta Kuba Wojewódzki Filipa Chajzera. – Jezu, jakie pieniądze… Kwota duża, bańka. Co się dzieje, to jest jakiś świat w świecie – odparł prezenter, niegdyś związany ze stacją TVN. – A kiedy walczysz? – dopytuje Wojewódzki. – Nie walczę, daj mi spokój. Jest jakaś godność gdzieś tam mniej więcej potrzebna […]. No way. Ja nie mam nic wspólnego z biciem się. Ja mam kogoś, kogo mogę ewentualnie wysłać. Podziękuję. Zarobię innymi sposobami – zapewniał Chajzer w grudniu ubiegłego roku.

Kariera syna popularnego szczególnie we wczesnych latach dwutysięcznych Zygmunta Chajzera zaliczyła w ostatnich miesiącach kilka wzlotów i upadków. Eksperci do spraw wizerunku twierdzą, że 40-latek jest obecnie na drodze do stania się patocelebrytą. Wszystko to za sprawą dziwnych wypowiedzi, budowania wokół siebie kontrowersji i usprawiedliwiania własnych błędów tym, że chce się coś „udowodnić światu".

Filip Chajzer rozpoczynał działalność jako dziennikarz m.in. „Super Expressu" i „Newsweeka". Kolejnym etapem było „Dzień dobry TVN" i tutaj jego kariera zaczęła się rozkręcać. Ze śniadaniówką był związany przez 14 lat – od reportera robiącego sondy uliczne przeszedł do roli prowadzącego. Po latach współpracy z TVN przeszedł na chwilę do konkurencji i wziął udział w 14. edycji show Polsatu „Dancing with the Stars". Równolegle rozwijał swoje media społecznościowe. Zasłynął z akcji charytatywnych i wsparcia dla powstańców warszawskich. Kolejne wpadki z „DDTVN" (np. naśmiewanie się z chorób psychicznych lub udzielanie „dobrych rad" parze, która nie może mieć dzieci) szybko przykrywał kolejnym działaniem dobroczynnym. Internauci zapominali, a on popełniał nową gafę.

Złośliwi ukuli jednak termin „chajzerowanie". Stał się on na tyle popularny, że co oznacza „chajzerować", dowiadujemy się z internetowego słownika slangu miejskiego – to „zrobić coś złego/żenującego/upokarzającego, a następnie próbować się wybielić innym dobrym aktem". Inna z definicji głosi, że „chajzerować" to „nieustannie usprawiedliwiać swoje nagminne i złe zachowanie jednym wydarzeniem z przeszłości".

Prezenter przeżył wielką tragedię. W 2015 r. w wypadku samochodowym zginął wtedy jego dziewięcioletni syn Maksymilian. Auto prowadził teść Filipa Chajzera. „Straciłem moje dziecko. Syna, którego kochałem nad wszystko na świecie. Moje życie właśnie straciło sens" – pisał wtedy prezenter. Ta sprawa często powraca publicznie. Internetowi hejterzy kierują do celebryty okrutne i bolesne komentarze dotyczące śmierci dziecka, których nie zostawia on bez odpowiedzi. Wydaje się, że to wciąż otwarta rana.

TANI SHOW, WIELKIE PIENIĄDZE

Chociaż jeszcze pół roku temu odżegnywał się od udziału w walkach freakfightowych, to dał się jednak przekonać. W czerwcu wystąpił na konferencji zapowiadającej kolejną odsłonę FAME MMA. Chajzer zmierzy się w oktagonie z youtuberem o pseudonimie Gimper. Uzasadniając zmianę stanowiska, prezenter nie mówi o pieniądzach, ale o dużych „ideach". To dość powszechnie stosowany przez różnych celebrytów, uznających się za lepszych niż reszta uczestniczących w tego rodzaju imprezach, wytrych, mający jakoś usprawiedliwić to, że jednak skusili się na ogromne pieniądze oferowane przez organizatorów.

– Chciałbym wykorzystać platformę FAME MMA do powiedzenia dla mnie czegoś turboistotnego. Wiem, że moje życie już nie będzie takie samo, tego będzie dużo, ale wiem, że powinienem i chcę stanąć w prawdzie. Zadałeś pytanie, czy boję się

eprasa.pl f863a161d9

tej walki. Odpowiem ci, że nie. Przy całym szacunku dla tego chłopaka naprzeciwko mnie – elo. Walka z nim to trochę dla mnie jak paproch – stwierdził Filip Chajzer, odnosząc się do swojego rywala.

Następnie wyznał, że brał narkotyki. – Byłem ćpunem. Waliłem kokę, hardkorowo. W najtrudniejszym momencie co sześć minut. Taki mój interwał. Każda sekunda staje się wiecznością, to jest tak totalne g.wno – kontynuował. – Moi drodzy, jestem tutaj po to, żeby powiedzieć, że to nie jest walka z przeciwnikiem. To jest walka o siebie, o swoje życie, o moje życie. Ja nie piz.ałem, moi drodzy, koki po klubach, po imprezach. Nie, w smutku k.rwa. W domu. Przy zamkniętych żaluzjach. Jestem tu po to, żeby powiedzieć dzieciakom: „Nie dotykajcie się tego szajsu". Piszę o tym książkę [...]. 80 proc. ląduje w piachu, 20 proc. z tego wychodzi. Ja z tego wyszedłem i jestem bardzo wdzięczny i FAME MMA, i tobie Gimper, że zgodziłeś się na tę walkę. Bardzo dziękuję, to dalej nie jest walka z tobą, tylko walka z samym sobą – podsumował.

Filip Chajzer to kolejny po np. Mai Staśko i Mariannie Schreiber celebryta (choć panie określały się jako „aktywistki"), który twierdzi, że udział w walkach ma głębszy sens niż robienie taniego show i dużych pieniędzy. Po fali krytyki, która wylała się szybko w sieci, Chajzer odniósł się do zarzutów o hipokryzję. „Piszą też, że mówiłem u Wojewódzkiego, iż nie przyjmę takiej propozycji, bo trzeba mieć godność. No to patrzcie – zmieniłem zdanie. I co? I nic. Znalazłem się w takim momencie życia, że propozycja od FAME MMA wydała się w czerwcu tak oczywista jak to, że rano wstanie słońce. I dla mnie też wstało" – podsumował.

Nie jest jednak pewne, czy do walki dojdzie. W ubiegłym tygodniu Chajzer opublikował wpis, w którym wycofał się ze współpracy z FAME MMA i namawiał „Gimpera" do walki poza federacją. Co ciekawe, po godzinie wpis zniknął, a sama federacja twierdziła, że o rezygnacji nie wie.

KEBAB NA ZDROWIE

Być może ta próba wejścia w świat patogali ma związek z nowym biznesem Chajzera, którego to biznesu utrzymanie i rozwój wymagają nakładów. Niedawno celebryta otworzył sieć Kreuzberg, czyli budkę z kraftowym kebabem (dodatkowo ma też budkę z rybami). Reklamuje to jako swoje marzenie z dzieciństwa, które w końcu może realizować.

Jednak i tutaj nie obyło się bez kontrowersji. Czterdziestolatek pochwalił się w sieci zdjęciem, na którym pozuje z ciężko chorym chłopakiem w szpitalu. „Wiktor ma 17 lat i wygrał walkę o życie, zapalenie płuc, ostre zapalenie osierdzia oraz zapalenie mięśnia sercowego… w Dzień Dziecka dzięki błyskawicznej reakcji mamy i zaj…….ci lekarzy z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego Wiktor żyje [...]. Mama napisała w komentarzu pod jednym z moich postów, że marzenie Wiktora to spróbować kebsa z Kreuzberg, a dostaw jeszcze nie ma…" – pisał na Instagramie.

Wielu odczytało to jednak jako promowanie się przy wykorzystaniu chorego dziecka, co spotkało się z ogromną krytyką. Refleksja nie przyszła. Chajzer bronił tego, co zrobił, powtarzając przy tym coachingowe formułki. – Napisała mama tego chłopaka, że leży w szpitalu i mają zaj….tą ochotę na mojego kebaba. Każdy ma możliwość posiadania ochoty na mojego kebaba. Tak było, więc zawiozłem tę dostawę, a mama mi odpisała, że bardzo dziękuje i że to jest dla niego wielka rzecz, i poprawiły mu się wyniki, i to jest zaj….te, bo motywacja i to, co masz w głowie, jest zaj….cie ważne – tłumaczył prezenter.

Mocno całą aferę podsumował Krzysztof Stanowski z Kanału Zero. „Ten gość to jest największy upadek pana z telewizji od czasów Kamila Durczoka" – napisał.

Wygląda na to, że biznesowe marzenie Filipa Chajzera również przyniesie mu sporo problemów wizerunkowych. Najpierw wdał się w kłótnię z popularnym na YouTube recenzentem kulinarnym „Książulem", który wydał niepochlebną opinię na temat kebaba marki Kreuzberg. Pytany o tę ocenę Chajzer odparł, że „jest tak samo do d..y, jak sam autor recenzji". Ostatecznie celebryta próbował załagodzić całą sytuację, po drodze próbując jeszcze namówić „Książula" na walkę w klatce. Przekonywał, że świat jest przeciw niemu, bo robi to, co kocha.

Chajzerowi nie udało się przekonać opinii publicznej, a większość internautów stanęła po stronie recenzenta jedzenia. Kontrowersje wzbudziła też wypowiedź Filipa Chajzera na temat problemów z pracownikami. – To jest największy problem nie tylko biznesu gastronomicznego, lecz także biznesu w ogóle w Polsce. Czyli pracownik. Niestety, nie chodzi tylko o brak pracowników, lecz także o ich zaangażowanie – narzekał. Następnie przyznał, że kucharzom oferuje 30 zł za godzinę, a kasjerom 27 zł. Od lipca godzinowa stawka minimalna to 28,10 zł brutto. Rozczaruje się więc ten, kto sądzi, że pracując dla celebryty, można się dorobić.

TAKA AKCJA

Jednak najpoważniejsza, choć nieco w tle, wydaje się sprawa fundacji Filipa Chajzera. W maju portal goniec.pl podał, że fundacja Taka Akcja, której był prezesem, mogła dopuścić się oszustwa. Chodzi o sprawę siedmioletniego chłopca, u którego wykryto autoimmunologiczne zapalenie mózgu. Na leczenie dziecka zebrano 1,2 mln zł, ale matka Oskara twierdzi, że nie wypłacono 350 tys. zł ze zbiórki. Fundacja odpowiedziała, że „pojawiły się pewne kwestie o charakterze formalno-prawnym, które obecnie są przedmiotem wewnętrznego oraz prokuratorskiego postępowania". Chajzer zapewnił, że to on zgłosił nieprawidłowości do prokuratury i współpracuje ze służbami. Jednak w lipcu ukazała się druga część dziennikarskiego śledztwa. Wynika z niego, że kolejne dziecko – chłopiec, u którego zdiagnozowano guza mózgu – również miało nie dostać pieniędzy zebranych przez fundację. Tym razem to 250 tys. zł, które miały zostać przeznaczone na leczenie dziecka w USA. Prezenter stwierdził, że skoro media powołują się na anonimową matkę dziecka, to on nie wie, o jaką sprawę chodzi.

Jedno jest pewne – Filip Chajzer lubi robić wokół siebie szum. Mówi dużo o motywacji, realizacji pasji, „życiu na 100 proc." i trosce o dobre samopoczucie. Niekiedy wychodzi komicznie. – Staram się dla własnego zdrowia psychicznego odcinać od Internetu. Kupiłem sobie starą nokię 6310. Wiesz, po ile to teraz chodzi? 2 tys. zł trzeba zapłacić właśnie po to, żeby się odciąć od neta – przekonywał w jednym z niedawnych wywiadów. – Wiesz, są dwa światy. Ten, w którym jesteś człowiekiem. I ten tu – powiedział do dziennikarza, po czym wyciągnął z kieszeni smartfona. – To nie jest nokia… – zauważył reporter. – Nie, to jest akurat iPhone na potrzeby zrobienia zdjęć na social media. Tamta nokia nie robi zdjęć – odparł Filip Chajzer.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f863a161d9

Pokalane pokolenie

Łukasz Zboralski

Ludzie, którzy przyklejają się do asfaltu i blokują drogi czy niszczą dzieła sztuki, w Niemczech i w Wielkiej Brytanii zamykani są w więzieniu. W Polsce przedstawiciele Ostatniego Pokolenia mogą czuć się jeszcze bezkarni. Jak długo?

Aktywiści Ostatniego Pokolenia w Polsce w tym roku wiele razy blokowali drogi w Warszawie FOT. OLEG MARUSIC/REPORTER

Ostatnie Pokolenie. Tak się nazwali. A właściwie skopiowali nazwę od niemieckiej organizacji Letze Generation (należy do wspólnej sieci aktywistów A22, wraz m.in. z Just Stop Oil). Skrzyknęli się w Polsce w lutym tego roku – dwa lata po tym, jak podobni aktywiści klimatyczni dali się już we znaki mieszkańcom wielu krajów zachodniej Europy.

Młodzi ludzie z Polski (choć są tam i 30-latkowie) w marcu pierwszy raz dali znać o sobie. Wdarli się na scenę i przerwali jubileuszowy koncert Antoniego Wita w Filharmonii Narodowej. „To jest alarm. Nasz świat płonie. Jesteśmy ostatnim pokoleniem, które może powstrzymać katastrofę klimatyczną. Żądamy radykalnych inwestycji w transport publiczny!" – krzyczały dwie młode kobiety trzymające transparent.

Dzień później Ostatnie Pokolenie w liście otwartym przedstawiło swoje żądania premierowi Donaldowi Tuskowi. Od razu zagrozili „obywatelskim oporem", gdy nie zostaną spełnione. A zostać nie mogą. Bo aktywiści zażądali przeniesienia wszystkich (sic!) pieniędzy zaplanowanych na budowę nowych dróg i autostrad na tworzenie regionalnych i lokalnych połączeń kolejowych oraz autobusowych od przyszłego roku. Ponadto zażądali utworzenia ogólnopolskiego biletu miesięcznego na transport regionalny w całym kraju i wyznaczyli, że ma kosztować 50 zł.

W tym samym miesiącu dwie aktywistki oblały też pomarańczową farbą zabytek – pomnik warszawskiej Syrenki. Zostały zatrzymane przez policję. Uważały, że gdy farba zostanie zmyta, sprawa się zakończy. Jednak – jak pokazała potem wiceprezydent Warszawy, Renata Kaznowska – farba wniknęła głęboko w cokół wykonany z piaskowca i usunięcie jej nie będzie wcale takie łatwe. Za ten protest konsekwencje mogą być surowe. Pomnik jest wpisany do rejestru zabytków, aktywistkom można więc postawić zarzut z art. 108 Ustawy o ochronie zabytków. Mówi on o tym, że „kto niszczy lub uszkadza zabytek, podlega karze pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do lat ośmiu". Postępowanie w tej sprawie – właśnie na podstawie tego artykułu – prowadzi Prokuratura Rejonowa Warszawa Śródmieście-Północ w Warszawie. Nie informowała jeszcze, że postawiła w tej sprawie zarzuty.

Na spełnienie swoich żądań Ostatnie Pokolenie dało Tuskowi czas do wyborów samorządowych. Premier nawet nie odpowiedział na te postulaty. Wówczas aktywiści – wzorem tych z Niemiec i Wielkiej Brytanii – zaatakowali na drogach.

TAMUJĄ RUCH, STWARZAJĄ ZAGROŻENIE

W kwietniu aktywiści Ostatniego Pokolenia ubrani w pomarańczowe kamizelki usiedli na mostach w Warszawie – Księcia Józefa Poniatowskiego oraz Świętokrzyskim – i zablokowali ruch samochodów. Na nagraniach z blokady, które sami wrzucili do sieci społecznościowych, widać było stojącą przy nich grupę policjantów. Funkcjonariusze byli raczej bierni.

Od tej pory co chwila aktywiści tworzą niebezpieczne sytuacje na ulicach stolicy. 4 lipca zablokowali Dolinę Służewiecką. Schemat zawsze jest ten sam. Młodzi ludzie znienacka wchodzą na jezdnię i przyklejają dłonie do asfaltu. Inni dają

eprasa.pl f863a161d9

znak kierowcom, że nie będzie można przejechać. Nawet kilkunastominutowy brak przejazdu powoduje, że w dwumilionowym mieście tworzą się potężne zatory. Stoją w nich nie tylko kierowcy w poszczególnych samochodach, lecz także ludzie uwięzieni w komunikacji miejskiej.

Kilka dni później kierowcy znów musieli stać. Tym razem aktywiści przykleili się do asfaltu na alei Wilanowskiej. W lipcu takich ataków było więcej. Blokowane były kolejne ulice – al. Jana Pawła II, Wał Miedzeszyński czy Czerniakowska. Policja wyposażona w środek rozpuszczający klej potrafi poradzić sobie z tym już w kilkanaście minut. Jednak kierowcom coraz trudniej znosić takie blokady. Dochodzi do rękoczynów. Ludzie sami ściągają z jezdni aktywistów, a jeden z nich niedawno spryskał protestujących gaśnicą samochodową.

Policjanci legitymują aktywistów i proponują mandaty za tamowanie lub utrudnianie ruchu. Na podstawie art. 90 Kodeksu wykroczeń można za to ukarać mandatem w kwocie 500 zł. Aktywiści są jednak przeszkoleni na swoich spotkaniach i z założenia mandatów nie przyjmują. Sprawy kierowane są do sądów. Polski wymiar sprawiedliwości działa tak opieszale, że zanim zostaną rozstrzygnięte, upłyną miesiące, a może i lata. Blokujący ulice zostają więc do tego czasu praktycznie bezkarni. W dodatku mogą przez ten okres zgromadzić pieniądze, którymi zapłacą ewentualne kary wyznaczone przez sąd.

Jak wylicza Ostatnie Pokolenie, do tej pory tylko za kwietniowe ataki aktywiści nie przyjęli 70 mandatów na kwotę 35 tys. zł. Choć w Polsce nie wolno prowadzić publicznych zbiórek na kary za wykroczenia, to Ostatnie Pokolenie założyło zbiórki, opisując w nich, ile kar musi zapłacić, a jednocześnie sprytnie dodając, że pieniądze zebrane w Internecie w żadnym wypadku nie posłużą do uiszczenia kar, a mają zostać przeznaczone na „rozwój" organizacji. Pierwsza taka zbiórka – założona przez Fundację Aktywizmu Klimatycznego – zakończyła się pod koniec czerwca. Wpłacono na nią 13,6 tys. zł. Inna ze zbiórek jest cykliczna. Na niej aktywiści gromadzą blisko 1,7 tys. zł miesięcznie i w sumie zebrali już prawie 22 tys. zł. Wiadomo więc już dziś, że to więcej niż 35 tys. zł ewentualnych grzywien.

To niejedyne pieniądze, które płyną do Ostatniego Pokolenia. Jak ujawnił TVN24, trzy osoby z tej organizacji są zatrudnione na pół etatu i dostają miesięcznie po 2,2 tys. zł. Pieniądze pochodzą z grantów od międzynarodowej organizacji Gastivists, która sprzeciwia się wykorzystaniu gazu ziemnego. Jedna z działaczek Ostatniego Pokolenia jest jednocześnie przedstawicielką Gastivists w Polsce.

EUROPA WSADZA DO WIĘZIENIA

W Europie z tego rodzaju terrorem społecznym zaczęto sobie już radzić. W lipcu w Londynie zapadł wyrok w sprawie aktywistów z grupy Just Stop Oil. Dotyczył wydarzeń z listopada 2022 r., gdy w sumie 45 osób przez cztery dni paraliżowało drogi w Wielkiej Brytanii, w tym autostradową obwodnicę Londynu.

Aktywiści spowodowali na drogach chaos. Mieszkańcy nie mogli dojechać, by załatwić ważne życiowe sprawy. Ktoś ze Szkocji, kto pierwszy raz od czasów pandemii chciał zobaczyć bliskich, nie ma szansy dotrzeć na lot. Przepadały wizyty u lekarzy, egzaminy. Zablokowanie dróg doprowadziło też do kilku zderzeń. W jednym z nich o śmierć otarł się policjant z Essex jadący motocyklem po autostradzie M25 na interwencję. Funkcjonariusz z 20-letnim doświadczeniem zostaje ranny w wypadku. Jak potem ujawni policja, uratowało go to, że wyposażony był w najnowszą odzież ochronną, która miała wbudowane poduszki powietrzne.

Działacze Ostatniego Pokolenia w Polsce mają już dziś do zapłacenia 70 mandatów na kwotę 35 tys. zł

Przedstawiciele Just Stop Oil napisali potem w oświadczeniu, że będą dalej protestować i ludzie mają się ich spodziewać wszędzie. Sprawę rannego policjanta skwitowali tak: „To straszna sytuacja". Podobnie lekceważąco wypowiadał się o tym w mediach Rory Kennedy, współzałożyciel amerykańskiego Climate Emergency Fund (CEF), który finansuje Just Stop Oil. „To niefortunne" – mówił w BBC o sprawie wypadku z policjantem.

Przez cztery dni policjanci z mozołem usuwali aktywistów z brytyjskich dróg. Zatrzymywali każdego z nich.

Brytyjski sędzia Christopher Hehir, który ogłosił wyrok wobec pięciorga aktywistów – Rogera Hallama, Daniela Shawa, Louise Lancaster, Lucii Whittaker De Abreu i Cressidy Gethin – wskazał, że „przekroczyli granicę dzielącą zaniepokojonego działacza od fanatyka". I wymierzył wszystkim kary bezwzględnego więzienia. Hallam, współzałożyciel Just Stop Oil, został skazany na pięć lat pozbawienia wolności. Pozostałych czterech aktywistów spędzić ma w więzieniu tylko rok mniej od niego.

Prokuratorzy wyliczyli, że protesty spowodowały koszty ekonomiczne wynoszące co najmniej 765 tys. funtów, a sama policja metropolitalna poniosła z tego tytułu koszty przekraczające milion funtów. Oskarżyciele zdobyli dowody, że grupa spiskowała w sprawie akcji podczas spotkań na internetowej platformie. Sąd mógł więc skorzystać z prawa wprowadzonego w 2022 r. i dotyczącego spisków mających na celu spowodowanie uciążliwości publicznej. Penalizuje ono takie działania, które mogą wyrządzić poważną szkodę społeczeństwu.

Warto odnotować, że w innym kraju także zamykano członków Ostatniego Pokolenia za podobne zachowanie. To stało się w Niemczech. W listopadzie 2022 r. aktywiści dwukrotnie przykleili się do asfaltu na ruchliwej obwodnicy Monachium. Sędzia w tym mieście skazał ich na grzywny (po ponad 500 euro), odsiedzieli też ponad 20 dni w więzieniu.

Jak relacjonował Dw.com, sędzia okręgowy w Monachium Alexander Fichtl podkreślił w wyroku, że jego zdaniem aktywiści mają rację co do zmian klimatu i polityki, która temu nie przeciwdziała. „Mylą się tylko w jednym punkcie – doborze środków". Bo powinni swój cel osiągać na drodze politycznej, tymczasem podważają demokratyczne państwo prawa. W kolejnym roku niemiecki sąd wypowiedział się w sprawie aktywistów jeszcze mocniej. „Na mocy prawomocnego wyroku Sądu Krajowego w Monachium grupa klimatyczna Ostatnie Pokolenie została uznana za zorganizowaną grupę przestępczą" – podała DW. W ten sposób sąd uzasadniał przeszukania w domach aktywistów, na które się zażalili.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f863a161d9

Piotr Semka

Herosi z 36 Quai des Orfèvres

FOT. ADOBE STOCK

Francuska popkultura wylansowała czterech bohaterów – detektywów z policji sądowej, do której trafiają najlepsi z najlepszych. Każdy z nich reprezentował inny typ umiejętności policyjnych. Przypatrzmy się tym czterem sylwetkom

Ulica Złotników nr 36 – ten adres przestępcy Paryża wymieniają z głęboką niechęcią. A i zwykli obywatele niemający nic na sumieniu także raczej pod żadnym pozorem nie chcą tam trafić. To tu od 1 sierpnia 1913 r. znajduje się siedziba stołecznej policji sądowej (Police judiciaire) – służby odpowiedzialnej za dochodzenia w sprawie przestępstw i identyfikacji sprawców. Ta część aparatu ścigania skupiona jest głównie na tropieniu sprawców morderstw w odróżnieniu od policji administracyjnej, której celem jest utrzymywanie porządku publicznego i zapobieganie przestępczości.

Do policji sądowej trafiają najlepsi z najlepszych. Muszą oni umieć rozwikłać nawet najbardziej skomplikowane zagadki kryminalne. Nic dziwnego, że przez 111 lat istnienia ten dość ponury gmach i jego elitarna służba detektywistyczna obrosły legendą. Jej mit pobudzał wyobraźnię pisarzy, autorów kryminałów, scenarzystów i reżyserów. Francuska popkultura wylansowała czterech bohaterów – policyjnych detektywów. Każdy z nich reprezentował inny typ umiejętności policyjnych. Przypatrzmy się tym czterem sylwetkom.

KOMISARZ PAUL VALENTIN Z „LOTNYCH BRYGAD"

To on był głównym bohaterem serialu „Brygady Tygrysa", który zdobył ogromną popularność w Europie, a także w Polsce pod koniec lat 70. i w latach 80.

„Otrzymawszy awans na inspektora policji sądowej, Valentin doszedł do wniosku, że ówczesna policja musi się pilnie unowocześnić [...]. Inteligentny, uwodzicielski i uparty, a niekiedy nawet zbuntowany przeciwko nietrafnym decyzjom zwierzchników – szybko stał się duszą »Brygad Tygrysa«" – te słowa z materiału telewizji francuskiej reklamującego serial dobrze oddają tajemnice sukcesu głównego bohatera filmu.

Nazwa „Brygady Tygrysa" to chwyt reklamowy twórców serialu, ale tytułowy „Tygrys" istniał naprawdę. Tym przydomkiem obdarzano wielokrotnego premiera Francji Georges'a Clemenceau (1841–1929). Gdy na przełomie wieku tradycyjna poruszająca się konno anachroniczna policja francuska przestała dawać sobie radę z dynamicznie rozwijającymi się gangami, Clemenceau wpadł na pomysł powołania zupełnie nowej formacji – tzw. Lotnych Brygad. Ich członkowie nauczyli się współczesnych technik walki, używania najnowszych zdobyczy kryminologii, takich jak rejestracja linii papilarnych. Wykorzystywali samochody i to oni wymyślili pojęcie radiowozu – automobili z wbudowaną w bagażnik radiostacją polową. „Lotne Brygady" szybko rozbiły najbardziej rozzuchwalone gangi i przyniosły Clemenceau status zbawiciela kraju.

Przypomniał o tym w epizodzie serial „Brygady Tygrysa", który na dodatek wykorzystał panującą w latach 70. modę retro. Poszczególne odcinki serialu w atrakcyjny sposób pokazywały proble-

eprasa.pl f863a161d9

my, przed którymi stała Francja z okresu belle époque – zamachy anarchistów, pruskie i austriackie szpiegostwo, działalność sekt okultystycznych czy początek handlu narkotykami.

We wszystkich tych sprawach bohaterem numer jeden był komisarz Paul Valentin (którego odgrywał Jean-Claude Bouillon) ubrany w nienaganny garnitur i modny melonik. Miał do dyspozycji dwóch zastępców: atletycznego południowca Marcela Terrassona (rola Pierre'a Maguelona) i uwielbiającego misje wcieleniowe Gustave'a Pujola (świetna rola Jeana-Paula Tribouta). Sensacyjne przygody trójki głównych bohaterów przypomniały Francuzom, że świat zbrodni był takim samym zagrożeniem na początku XX w., jak w czasie realizacji serialu. Przy okazji film sięgał do korzeni etosu republikańskiej służby państwowej III Republiki z lat 1870–1918.

Charles Vanel jako komisarz Alfred Fichet FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KOMISARZ JULES MAIGRET

Tego bohatera stworzył autor powieści kryminalnych Georges Simenon. W kolejnych ponad 70 powieściach napisanych przez Simenona w latach 1931–1972 powoli wykształcała się fascynująca postać francuskiego funkcjonariusza policji sądowej. A w tle Paryż lat 30., a potem 50., 60. i 70. W filmach w rolę Maigreta wcielali się tak wielcy aktorzy jak Jean Gabin czy ostatnio Rowan Atkinson. Hasło na temat Maigreta w Wikipedii głosi: „Fizycznie jest imponującym mężczyzną o szerokich ramionach i szorstkim, czasem niepokojącym wyglądzie. Wydaje się nie spieszyć z rozwiązywaniem swoich śledztw. Miłośnik potrawki cielęcej, wina i różnych alkoholi (z wyjątkiem szampana). Nałogowy palacz fajki. Lubi wdychać atmosferę (miejsca przestępstwa), chłonąć wydarzenia, a wszystko to, aby »złapać cug« śledztwa".

Maigret to w pewnym sensie odpowiednik Herculesa Poirota z powieści Agathy Christie. To, co różni go od jego brytyjskiego odpowiednika (choć Belga z pochodzenia), to jego silne umocowanie w strukturach paryskiej policji. Ten atut – w odróżnieniu od Poirota, który musi posiłkować się Scotland Yardem niejako z „drugiej ręki" – pozwalał mu korzystać z całej sprawności francuskiego aparatu policyjnego.

Rowan Atkinson jako komisarz Jules Maigret FOT. MATERIAŁY PRASOWE

I to właśnie w powieściach Simenona o Maigrecie najczęściej pojawia się gmach z ulicy 36 Quai des Orfèvres. Maigret zazwyczaj nie używa osobiście siły (od tego ma podwładnych), ale gdy trzeba, potrafi być brutalny i nie waha się sięgać po broń. Ma świadomość, że policja musi niekiedy stosować metody „przyciśnięcia" przesłuchiwanego, ale nie toleruje tępego sadyzmu. W ostatniej brytyjskiej wersji przygód Maigreta, którego akcja dzieje się w 1955 r., czyli 10 lat po wojnie, ostro reaguje, gdy ktoś z podwładnych sugeruje, by podejrzanemu „spuścić łomot".

„W tym gmachu już za dużo katowano ludzi" – odpowiada cierpko komisarz, nawiązując do niedawnego okresu okupacji hitlerowskiej w Paryżu. Ważną rolę w powieściach odgrywa jego żona, Henrietta Maigret, która potrafi bardzo często zainspirować męża trafną uwagą na temat któregoś z aspektów sprawy. W tym sensie przypomina nieco doktora Watsona, który też niekiedy naiwną wzmianką zwraca uwagę swego mistrza Sherlocka Holmesa na istotę rozwiązywanej zagadki. W charakterystycznym kapeluszu z nieodłączną fajką i w krajobrazie powojennej Francji komisarz Maigret stał się archetypem francuskiego inteligentnego gliniarza. Policjanta, który wygrywa używaniem mózgu, a nie posiadaniem twardych pięści.

KOMISARZ ALFRED FICHET

O ile Maigret jest zasadniczy i obcesowy, o tyle postać komisarza Ficheta odgrywana przez Charles'a Vanela w filmie „Widmo" z 1955 r. to jedna z najciekawszych kreacji we francuskich powojennych kryminałach. Fichet to starszy pan, funkcjonariusz policji tuż przed przejściem na emeryturę. Swym sposobem bycia usypia czujność podejrzanych. Ujmuje ich serdecznym, wręcz fafułowatym zachowaniem. W „Widmie" uczepia się on kobiety, przekonany, że razem z kochanką męża zgładziły despotycznego partnera i powoli rozgryza, co naprawdę się stało. Co rusz zapewnia podejrzaną, że śledztwo jest już zasadniczo zakończone i pozostaje tylko parę formalnych pytań. Dobrodusznie uspokaja swoją ofiarę, sugerując, że nikt

eprasa.pl f863a161d9

w ogóle nie bierze pod uwagę możliwości morderstwa.

Nigdy nie podnosi nawet głosu. I w jakiś dziwny sposób sprawia nawet wrażenie, jakby po cichu współczuł doprowadzonej do ostateczności sprawczyni domniemanego zabójstwa. Ale w niczym nie zmienia to jego determinacji, aby sprawę wyjaśnić i zło ukarać. Po prostu komisarz Fichet żyje zbyt długo, by nie wiedzieć, że są w życiu sytuacje, gdy rozpacz prowadzi do mordu.

Czy to czegoś państwu nie przypomina? Tak. To przecież styl bycia i myślenia niepozornego por. Columbo z Los Angeles. Policjanta, który w wielu wypadkach sprawia wrażenie, jakby chciał się wręcz zaprzyjaźnić ze sprawcą morderstwa.

I nic dziwnego, że niektórzy historycy filmu i telewizji podejrzewają, że to postać komisarza Ficheta na równi z sylwetką literacką śledczego Porfirego Pietrowicza ze „Zbrodni i kary" Dostojewskiego mogła zainspirować scenarzystów serialu „Columbo" do wymyślenia postaci policjanta o włosko brzmiącym nazwisku. Zresztą w amerykańskim serialu znalazła się swoista aluzja do filmu „Widmo". Serialowy Columbo jeździ bardzo rzadkim w Ameryce francuskim kabrioletem Peugeot 403. Model ten trafił na rynek francuski w 1955 r., tym samym, w którym miała miejsce premiera filmu „Widmo". „To wiele wyjaśnia" – jak by powiedział por. Columbo.

KOMISARZ CLAUDE LEBEL

W politycznym thrillerze „Dzień Szakala" z 1973 r. – stworzonym według powieści Fredericka Forsytha pod tym samym tytułem – ten francuski policjant wykreowany jest na głównego adwersarza brytyjskiego skrytobójcy. Perfekcyjnego dżentelmena używającego pseudonimu Szakal. Anglika wynajęła terrorystyczna organizacja OAS do zgładzenia prezydenta Francji Charles'a de Gaulle'a. Z pozoru Lebel, grany przez francuskiego aktora Michaela Lonsdale'a, nie nadaje się na rywala dla kogoś w rodzaju Jamesa Bonda. Nosi niedopasowane garnitury i upaprane czymś spodnie. Jego twarz ozdabia staromodny wąs i w ogóle wygląda jak duży, niezgrabny niedźwiedź. A jednak gdy francuski minister spraw wewnętrznych zaalarmowany doniesieniami o planowanym zamachu na prezydenta Francji pyta szefa paryskiej policji, kto może złapać skrytobójcę, ten bez chwili wahania mówi: „Najlepszy jest komisarz Lebel".

Jean-Claude Bouillon jako komisarz Paul Valentin FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Michael Lonsdale jako komisarz Claude Lebel FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kapitalna jest scena w filmie, kiedy będący na urlopie Lebel oddaje się w swoim podparyskim domku pasji hodowania gołębi. Z rolą zbawcy Francji nie kojarzy go nawet jego własna żona. Gdy minister spraw wewnętrznych wysyła po Lebela do jego domu limuzynę, przerażona tym faktem małżonka wydaje się być przekonana, że mąż musiał zrobić jakieś głupstwo. Obawia się, że czarny peugeot przyjechał zabrać męża na „ochrzan" do ministra.

Podobnie w lekko tylko skrywany sposób pogardzają nim szefowie służb specjalnych francuskiego wywiadu zagranicznego czy armii francuskiej. Gdy tylko dochodzą do wniosku, że komisarz wykonał za nich brudną pracę, i są w stanie już sami złapać „Szakala", natychmiast odsuwają niezgrabnego policjanta od śledztwa, w lekceważący sposób dziękując mu za współpracę. A jednak to Lebel będzie musiał w kluczowym momencie rozwoju wydarzeń być znów ściągnięty do dowodzenia akcją. Obwieszeni orderami generałowie ze szlacheckimi tytułami okazują się kompletnymi durniami.

„Dzień Szakala" to studium pracy detektywa śledczego, którego rutyna wygrywa z pomysłowością i profesjonalizmem zawodowego mordercy. W innej kapitalnej scenie potrafi wyciągnąć z hotelowej pokojówki informację, że w łóżku pewnej hrabiny spały dwie osoby, a nie jedna, i że musiał być to „Szakal". „Zawsze sprzątając łóżko, wiem, czy spały w nim dwie osoby, a nie jedna" – wyjaśnia fachowym tonem sprzątaczka. A komisarz jest na tyle doświadczonym śledczym, by na ten szczegół zwrócić uwagę. Detal, który wielu policyjnych zadufańców uznałoby za mało istotny. A to właśnie z takich szczegółików Lebel uplótł pętlę, która w końcu zacisnęła się na szyi perfekcyjnego zabójcy. Choć Forsyth jako Anglik nie omieszkał pokazać, jak bardzo Francuzom pomogły tajne służby Zjednoczonego Królestwa – inna sprawnie działająca maszyneria państwowa.

Lebel punkt po punkcie żmudnie odkrywa personalia zabójcy. W finałowej scenie to on wyrywa z rąk ugodzonego kulą policjanta pistolet maszynowy i rozstrzeliwuje snajpera, zanim ten odda kolejny strzał do francuskiego prezydenta. Ale nie ta efektowna scena jest istotą filmu. Głównym bohaterem zbiorowym filmu jest sprawny francuski aparat policyjno-administracyjny. Aparat, bez którego komisarz Lebel nie byłby nawet w małym stopniu tak sprawny, jak to się zdarzyło w filmowym scenariuszu. Setki policjantów zwracających uwagi na porzucone przez „Szakala" samochody, zapamiętujących, kto z cudzoziemców wsiadł na prowincjonalnej stacji do pociągu, lub potrafiących w parę godzin sprawdzić, czy poszukiwany nie nocował w którymś z tysięcy paryskich hoteli.

Te cztery postacie symbole francuskiej policji przytoczone w tym tekście to przypomnienie zjawiska, które dla Polaków jest dosyć egzotycznym doświadczeniem. Efektywnej struktury państwa, która osiąga swoją sprawność w wyniku wysokich standardów fachowości i większej niż w innych krajach odporności na korupcję czy nepotyzm. Oczywiście jest to obraz aparatu państwa w epoce rządów gen. de Gaulle'a, gdy etos służby był bardzo wyśrubowany.

Ale ten republikański korpus urzędniczy czyni do dziś Francję zaskakująco silną w momentach kryzysów. My z polskiej perspektywy możemy tylko tej cnoty Republiki Francuskiej jedynie zazdrościć.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f863a161d9

Wszystko, co najlepsze

Krzysztof Masłoń

Zmarły w wieku 77 lat Tadeusz Woźniak przed czterema laty otrzymał nagrodę imienia innego wielkiego barda, Przemysława Gintrowskiego „Za Wolność w Kulturze"

Był uznanym kompozytorem, twórcą muzyki do ponad 100 spektakli teatralnych, pisał dla filmu, tworzył musicale i niezliczone piosenki dla uznanych wykonawców (m.in. Krystyny Prońko, Elżbiety Adamiak, Michała Bajora, Zbigniewa Wodeckiego), w pracy wykorzystywał rozbudowane i najnowocześniejsze instrumentarium, a przecież przylgnęła do niego etykieta barda, nieco rozpoetyzowanego faceta z gitarą, artysty osobnego, na pewno wyjątkowego. Janusz R. Kowalczyk opatrzył go epitetem minstrela. Nam niech wystarczy bard.

Zaczynał jako bigbiciarz w latach 60., pionierskiej dekadzie tej muzyki jeszcze nad Wisłą nienazywanej rockiem. Pod pseudonimem Daniel Dan śpiewał w warszawskim zespole Dzikusy, lansując swoje pierwsze przeboje: „Na dobre i złe" i „Stale to samo". Już pod swoim nazwiskiem wykonywał następnie wiersze Leśmiana, Gałczyńskiego i Tuwima – ze swoją muzyką. Współpracował wtedy z grupą Czterech, nagrywając z nią wielkie hity tamtej epoki: „Hej, Hanno" (z tekstem Agnieszki Osieckiej) i sławnego „Zegarmistrza światła", którym wygrał (ex aequo z piosenką Bogusława Meca do tekstu Jonasza Kofty „Jej portret") Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu w 1972 r.

Słowa „Zegarmistrza światła" wyszły spod pióra Bohdana Chorążuka, poety, z którym Woźniak nawiązał ścisłą współpracę, pisząc wiele świetnych utworów, o mądrym, refleksyjnym przesłaniu, często optymistycznym, co wciąż w twórczości estradowej należy do rzadkości. A tymczasem bard w utworze „Z dobrych przeczuć" zapewniał:

A niebo z chmur się przetrze
Po największej burzy
A wszystko, co najlepsze
Może się powtórzyć.

Nazywano go polskim Donovanem, młodzi – ze szczególnym uwzględnieniem płci pięknej – szaleli za nim, starszych bulwersował wprawdzie burzą długich włosów i hipisowskimi ciuchami, ale musiał zarażać entuzjazmem, jak w „Smaku i zapachu pomarańczy":

Naokoło kipi życie
I ja mam się znakomicie
Wszyscy niosą oczy jasne
Trotuary wprost za ciasne.

„Zegarmistrzem światła" pół wieku temu podbił Tadeusz Woźniak Polskę, nie spodobał się on jednak – czego właściwie można się było spodziewać – „specjalistom od śpiewu i mas", którzy uparli się, by zdezawuować tekst mówiący w prostych słowach o śmierci i Bogu:

A kiedy przyjdzie także po mnie
Zegarmistrz Światła purpurowy,
by mi zabełtać błękit w głowie,
to będę jasny i gotowy.
Spłyną przeze mnie dni na przestrzał,
zgasną podłogi i powietrza.
Na wszystko jeszcze raz popatrzę
i pójdę, nie wiem gdzie – na zawsze.

Te osiem wersów wywracano na nice, czepiając się głównie „zabełtania błękitu w głowie". Na próżno rozsądni ludzie, jak Piotr Kuncewicz, przypominali, że skoro Wierzyński mógł pisać o tym, że zielono ma w głowie, to dlaczego Chorążuk nie może mieć w głowie błękitu. Wierzyński był niecenzuralny, a Chorążuka wprawdzie partyjne środowisko, najdelikatniej mówiąc, nie akceptowało. A kiedy w telewizyjnej dyskusji poeta Tadeusz Mocarski, nie wytrzymując już natężenia płynących bredni, dobitnie stwierdził, że „jeżeli komuś myli się koń z koniakiem, but z butonierką i bełt z bełtaniem, to taki ktoś jest po prostu idiotą", mógł już zacząć się pakować do wyjazdu z Warszawy.

Te językoznawcze, pożal się Boże, spory szczęśliwie nie doprowadziły do zakazu emitowania „Zegarmistrza…" w radiu, a do tego w latach wszechwładnej cenzury był ledwie krok. W końcu za wymierzoną w Ludowe Wojsko Polskie, akurat zajęte interwencją w bratniej do niedawna Czechosłowacji, uznano niebacznie nagraną na płycie inną piosenkę Tadeusza Woźniaka, tym razem do słów Bogdana Loebla „To będzie syn".

W latach 70. stworzył Tadeusz Woźniak – wystawiane na scenach jak Polska długa i szeroka, nagrane następnie przez Wifon jako podwójny album – „Lato Muminków". Widowisko wyreżyserował Andrzej Maria Marczewski, adaptując znaną powieść Astrid Lindgren, a teksty piosenek wykonywanych m.in. przez Krystynę Prońko, Bożysławę Kapicę, zespoły Gawęda oraz Andrzej i Eliza, a także oczywiście przez samego Tadeusza Woźniaka i jego syna Piotra, napisał Bohdan Chorążuk. W nagraniu płyty wzięła udział śmietanka polskich aktorów. Narratorem był Gustaw Holoubek, Muminkiem – Mieczysław Czechowicz, Tatusiem Muminka – Zygmunt Kęstowicz, Mamusią – Ryszarda Hanin. No to była czysta rozkosz, a kto nie słyszał Andrzeja Stockingera w roli Paszczaka, ten nie ma pojęcia o tym, jakie cuda mogą zrobić ci, którym Bóg dał ponadprzeciętny talent.

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

Podobne perełki wychodziły spod ręki Tadeusza Woźniaka jeszcze wielokrotnie. Sam też umiejętnie korzystał z cudzego dorobku artystycznego, podejmując współpracę z artystami z najwyższej półki. Tak było z „Balladą o Potęgowej" Edwarda Stachury, do której muzykę – w wersji wykonywanej przez Woźniaka – skomponował Adam Sławiński. A już w XXI w. na potrzeby serialu „Plebania", w którym zresztą wystąpił, grając samego siebie, opowiedział nam, słowami Bohdana Chorążuka, co dzieje się „Pośrodku świata":

Na tej ziemi, pod tym niebem,
życie nasze toczy się.
Dzień jak co dzień, dzień po dniu,
wciąż się dzieje życia cud. ©℗

eprasa.pl f863a161d9

Gene Hackman jako filmowy Harry Caul

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Sumienie Harry'ego

Piotr Gociek

Małe arcydzieło Francisa Forda Coppoli znów na dużym ekranie

Czy narzędzia mają uczucia? Powodzenia w rozmowie z młotkiem albo obcęgami. Wymyślony przez Iana Fleminga agent James Bond miał być w jego powieściach ślepym narzędziem do wykonywania ważnych dla imperium brytyjskiego zadań. Uczłowieczać zaczęli go dopiero filmowcy. Nie każdy jest dobrym kandydatem na narzędzie. Bohaterowie powieści Johna Le Carré buntują się, gdy odkrywają coś jeszcze oprócz oczekiwanej od nich skuteczności: moralność.

Harry Caul, bohater filmu „Rozmowa" (1974) Francisa Forda Coppoli, jest narzędziem; przynajmniej tak sam chciałby siebie widzieć. W jednej z pierwszych scen filmu strofuje swojego współpracownika, który przejawia zainteresowanie tematem podsłuchiwanej rozmowy. To nie ma znaczenia – poucza Caul – liczy się jakość nagrania. Dla zawodowców ważna jest tylko biegłość w swoim fachu. Caul jest biegły i nieźle na tym zarabia. Zarazem dusi w sobie ciężką traumę, która popchnie go do działania. Z niezbyt dobrym skutkiem. Coppola proponuje nam tragedię, a nie pocieszającą opowieść o oczyszczającej sile wyrzutów sumienia i pokuty.

Analizy krytyków skupiają się zwykle na dwóch elementach: to dramat Caula oraz początki świata totalnej inwigilacji. Pierwsza kwestia jest oczywista, bo Gene Hackman w roli głównej stworzył jedną z lepszych kreacji w długiej karierze. Dzięki jego maestrii przejmujemy się losem bohatera, o którym trudno powiedzieć, by był dobrym człowiekiem. Druga interpretacja też nie budzi wątpliwości, także dziś armia wynalazców pracuje dniem i nocą nad nowymi metodami podsłuchu i inwigilacji. Bawić nas mogą staroświeckie zabawki używane w „Rozmowie", ale zasada się nie zmieniła: technologiczny wyścig nigdy się nie kończy, a ofiarą może stać się każdy.

Specjaliści od kina Coppoli wskazują jeszcze, że „Rozmowa" to kontrapunkt w jego rozpisanej na wiele tytułów opowieści o rodzinie (wspomnijmy trylogię „Ojciec chrzestny"). Niedola bohatera „Rozmowy" wynika m.in. z tego, że jest człowiekiem bez rodziny. Nie bez powodu fragment dialogu podsłuchiwanej pary powtórzony jest (z magnetofonu), gdy Harry Caul otwiera się przed przygodnie poznaną kobietą. Słowa współczucia wobec nieprzytomnego

eprasa.pl f863a161d9

bezdomnego – o tym, że każdy z tych nieszczęśników to przecież czyjeś dziecko, ktoś, kto był kiedyś kochany przez bliskich – to zarazem opis sytuacji Caula, człowieka bez bliskich, popadającego w indukowaną samotnością i wyrzutami sumienia paranoję.

ŚWIAT ZA KURTYNĄ

Film Coppoli oglądany ponownie po półwieczu od premiery (znów na ekranach kin, w wersji cyfrowo odświeżonej) nadal intryguje. Upływ czasu nie tylko nadał mu szlachetnej patyny należnej klasyce, lecz także wydobył na wierzch kwestie niegdyś lekceważone. Choćby refleksję nad zasadami funkcjonowania ukrytego świata – refleksję przy okazji której odkrywamy, że owe zasady nie istnieją.

Harry Caul nie jest mieszkańcem zwykłego świata, nie jest taki sam jak my, zwykli zjadacze chleba. Żyje w krainie po drugiej stronie lustra, gdzie wszystko jest inne. Coppola wprost podpowiada nam tę interpretację. W pierwszych partiach filmu dwie dziewczyny przechadzające się po Union Square w San Francisco stają na chwilę, by poprawić makijaż. Przeglądają się w szybie furgonetki, która jest zarazem lustrem weneckim. Nie wiedzą, że w samochodzie, po drugiej stronie, obserwują je Caul i jego pomocnik.

Kim w tej krainie po drugiej stronie lustra jest dumny ze swej niezależności i swego fachu mistrz podsłuchów? Nikim ważnym, choć jemu samemu wydaje się inaczej. Pierwsze długie ujęcie „Rozmowy", przejście od boskiej perspektywy oka ogarniającego tłum na Union Square do zbliżenia na Hackmana, od razu podpowiada interpretację: oto mrówka między innymi mrówkami. Czasem tylko może na niej spocząć spojrzenie tych, którzy rządzą światem.

Kto rządzi światem? Kto jest za kurtyną? Pytają o to zwolennicy teorii spiskowych, ale gdy je nieco przeformułować, staje się pytaniem metafizycznym: Co kryje się za zasłoną, która oddziela nas od prawdy? Philip Dick szukał za nią absolutu, odkrywając demiurga – jego gnostycyzm prowadził do konkluzji, że nasz świat jest dziełem fałszywego boga. Świat ten pełen jest rozmaitych iluzji, szatan jest „kłamcą i ojcem kłamstwa". Harry Caul jest człowiekiem, który próbuje odnaleźć siłę w wierze, ale okazuje się do tego niezdolny. Wykonuje gesty: figurka Matki Bożej jest ostatnią, którą rozbije, poszukując podsłuchu we własnym mieszkaniu. Napomina innych, by nie wzywali imienia Jezusa nadaremno. Idzie wreszcie do spowiedzi, ale nie potrafi otworzyć swej duszy i wyznać grzechu; próbuje kluczyć, mówiąc ogólnikowo, że być może kiedyś przyczynił się do czegoś złego.

Bez wątpienia Caul grzeszy pychą jak każdy, kto przedkłada doskonałość nad moralność. Doskonałość nie może być wymówką, choć takie jest środowisko, w którym Caul funkcjonuje: ludzie bez skrupułów, dla których inwigilowani ludzie nic nie znaczą. Jednak poczucie władzy jest złudne. Dla tych, którzy naprawdę pociągają za sznurki, Harry Caul i jemu podobni są równie mało istotni jak wyznaczane im do rozpracowania cele. Caul przekona się o tym w chwili, gdy przestanie być przydatny i sam stanie się celem.

Oglądając „Rozmowę", trudno nie przypomnieć sobie filmu „Powiększenie" Michelangelo Antonioniego z 1966 r. William Friedkin miał nawet powiedzieć o filmie Coppoli, że to kiepska podróbka „Powiększenia". Peter Bogdanovich narzekał z kolei, że Coppola obiecywał film hitchockowski, ale zupełnie mu nie wyszło. Kilka lat później, w roku 1981, Brian De Palma, uzdolniony naśladowca Hitchcocka, połączył te tropy, kręcąc film „Wybuch", w którym dźwiękowiec zaczyna podejrzewać, że przypadkowo zarejestrował na taśmie dowody morderstwa. Są to opowieści o śledztwie prowadzonym przez przypadkowych świadków (jak w „Oknie na podwórze" Hitchcocka), ale niosą też pytanie o ukryte przed nami mechanizmy wprawiające świat w ruch. Czasem na chwilę zasłona zostaje uchylona. Co jest po drugiej stronie?

Antonioni poszedł dalej, kwestionując to, co widział/czego nie widział jego bohater, oraz to, co widzimy/ czego nie widzimy, oglądając „Powiększenie". Czy w ogóle doszło do morderstwa? Czy naprawdę istniał trup? Czy na zdjęciu widać broń? Im bardziej próbujemy się przybliżyć do odpowiedzi, tym mniej rozumiemy. Wreszcie zostajemy z niczym, ale nie znaczy to, że nie było warto podjąć tej próby. Bo poddano jej nie tylko bohatera „Powiększenia", lecz także nas, widzów.

FRANCIS FORD COPPOLA
„ROZMOWA"
1974

POZA DOBREM I ZŁEM

Coppola jest dosłowny, bo wskazuje zleceniodawców feralnego podsłuchu i podpowiada powody, dla których wprawiono całą intrygę w ruch: mamy tu tajemniczą korporację, jej właściciela, ludzi, którzy dla niego pracują, a także tych, którzy chcą go władzy pozbawić. Można więc oglądać „Powiększenie" jako thriller. Ale można oderwać się od tego wytłumaczenia i potraktować firmę oraz jej ludzi jako symbol. Czego? Tego, wszystkiego, co dzieje się tam, dokąd nasz wzrok nie sięga. Za zasłoną. W świecie poza dobrem i złem, gdzie nie ma grzechu, kary i pokuty, jest za to sprawczość i skuteczność. Harry Caul jest idealnym obywatelem tej krainy, ale tylko tak długo, jak długo godzi się ze swoją rolą narzędzia. Przestaje nim być w chwili, gdy wyhoduje w sobie wyrzuty sumienia.

Byłaby więc „Rozmowa" także traktatem o tym, w którą stronę zmierza świat pozbawiony moralnego kompasu. W którym człowiek ma być jedynie owadem działającym wedle funkcji, którą mu przydzielono: robotnik, wojownik, zbieracz (w tym zbieracz informacji – mistrz podsłuchów) itd., pozbawionym jednak prawa kwestionowania decyzji. Poczucie, że najważniejsze dla naszego życia ustalenia zapadają w miejscach, o których nic nie wiemy – za drzwiami, których nawet nie wiemy gdzie szukać – jest dziś w świecie powszechne. Politycy głoszą kult skuteczności za wszelką cenę, a skrupuły zostawiają naiwnym idealistom, których entuzjazm można co najwyżej wykorzystać w kampanii wyborczej. Ideałem współczesnego pracownika jest singiel do wynajęcia na umowę czasową. Podwykonawca u podwykonawcy. Harry Caul to idealny człowiek nowoczesny. Trzeba tylko pilnować, by narzędzie nie wyhodowało sobie sumienia. A gdyby jednak mu się udało, skierować gniew na niezliczone cele zastępcze. Byle nie przeciw tym, którzy za kurtyną stoją u szczytu schodów.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f863a161d9

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

max

Ikoną być

W jednej z recenzji kinowego debiutu nazwano ją „kserokopią Jane Fondy". Po występie w „Bonnie i Clydzie" stała się ikoną mody: w Paryżu powitali ją widzowie wystrojeni jak para zabójców z filmu Penna. Na planie „Chinatown" nieustannie kłóciła się z Polańskim – rolę negocjatora wziął na siebie Jack Nicholson. Gdy błysnęła rolą zimnej królowej mediów bez skrupułów w „Sieci" (jedyny Oscar w jej karierze), zarzucano jej, że tą rolą cofnęła feminizm o pół wieku. Kiedy genialnie podrobiła na ekranie Joan Crawford („Najdroższa mamusia"), omal nie zniszczyło to jej kariery.

Największym walorem dokumentu Laurenta Bouzereau jest sama jego bohaterka – Faye Dunaway, dziś już po osiemdziesiątce, ale wciąż o bystrym umyśle i ostrym języku. Dalej otacza ją aura niezwykłości: jedno spojrzenie, jedno zdanie, jedno żachnięcie się przez kamerą i już wiemy, że mamy do czynienia z aktorką wyjątkową.

Jej opowieść pozbawiona jest złudzeń, bo też i sama Faye nie jest ani głupiutką gąską, ani sztuczną kreacją Hollywood. Przeczytała więcej książek od niejednego reżysera, który ją prowadził, jej mentorem był dramaturg William Alfred („Mój zastępczy ojciec" – jak wspomina gwiazda), aktorstwa uczył ją Elia Kazan. Talent i blask pokazała na scenie, kariera filmowa była tylko naturalną konsekwencją: ktoś musiał prędzej czy później dostrzec tę zjawiskowo piękną dziewczynę.

Krytycy próbują objaśnić jej karierę przez kontekst historyczny – że niby miała szczęście, bo jej najgłośniejsze filmy trafiały w swój czas – a to w epokę kontrkultury, a to aferę Watergate. To trochę krzywdzące. Aby zostać ikoną, musisz trafić na swój czas, to fakt, ale najpierw trzeba w sobie mieć materiał na symbol.

Po latach widać, że Hollywood nie bardzo wiedziało, jak wykorzystać jej talent, sama więc musiała stawiać sobie nowe wyzwania. Przed kamerą szczerze opowiada o sukcesach i klęskach, o adoptowaniu dziecka, o chorobie dwubiegunowej. Raz widzimy, jak podczas rozmowy czyni znak krzyża – nawróciła się na katolicyzm w 1996 r. i jest głęboko wierząca, ale akurat tej części historii Faye Dunaway nie opowiedziano. Szkoda, bo pewnie mówiłaby równie otwarcie jak o romansie z Marcellem Mastroiannim. ©℗

★★★★☆☆
REŻ. LAURENT BOUZEREAU
„FAYE"
USA 2024

dokumentalny

NOWE SERIALE: „THOSE ABOUT TO DIE"

prime video

Krew na piasku, śmierć na arenie plus wyścigi rydwanów i polityczne intrygi. Czyli serial o starożytnym Rzymie inspirowany powieścią Daniela P. Mannixa, z której kiedyś garść pomysłów zaczerpnął Ridley Scott, kręcąc „Gladiatora". Anthony Hopkins jako cesarz Wespazjan, 150 mln dol. budżetu i Roland Emmerich („Dzień Niepodległości") jako reżyser. Całość liczy 10 odcinków. ©℗

Piotr Gociek

- ***sezon 1 „Those About to Die", USA 2024***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- ***sezon 1 „Bandyci czasu"*** *(„Time Bandits"), USA 2024* tv+
- ***sezon 1 „Aukcja"*** *(„Bargain"), Korea Południowa 2024* sky SHOWTIME
- ***sezon 2 „Will Trent", USA 2024*** Disney+

eprasa.pl f863a161d9

Włóczęgi południa

KINO

Coraz trudniej uciec od cywilizacji. Demokracja zadała śmiertelny cios legendzie Bieszczadów. Dziś na Tarnicę wejdziesz po schodach, w Chatce Puchatka nie przenocujesz i zbliża się moment, gdy do źródeł Sanu będzie można dojechać elektryczną hulajnogą. Inwestycje w infrastrukturę sprawiły, że do każdego miejsca w Polsce można dotrzeć w miarę szybko i sprawnie. Amatorzy romantycznej wędrówki, kandydaci na nomadów XXI w. muszą więc szerzej rozwinąć skrzydła. Kasia i Robert sprzedali dom pod Warszawą i kamperem pognali na południe. Trwającą już cztery lata eskapadę relacjonują w sieci jako The Big Five Family, zabrali ze sobą bowiem trzech nieletnich synów. Ostatnio widziano ich w Kalifornii. Film Agnieszki Kokowskiej eksploatuje wcześniejsze etapy podróży: głównie turecki i marokański. Kino drogi to samograj, ale dokument obserwacyjny jest niewdzięcznym tworzywem. Zwykle więcej obiecuje, niż daje. Widza, przywykłego do skondensowanej intrygi tudzież pocztówkowych widoków, zaskoczy ta wiązanka przypadkowych epizodów, rozmów niedokończonych i sporadycznych interakcji z cudzoziemskim otoczeniem. O bohaterach dowiadujemy się zbyt mało, by kibicować ich poczynaniom lub uznać ich za pomyleńców. „Tylko dzisiaj się liczy" – deklaruje Robert. Chcecie czegoś więcej? Musicie zajrzeć do bloga. ©℗

★★★☆☆☆
REŻ. AGNIESZKA KOKOWSKA
„W STRONĘ SŁOŃCA"
POLSKA 2024

Wiesław Chełmniak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SKRZYDŁA U STÓP

prime video

Skoro po 100 latach znicz olimpijski znów płonie w Paryżu, pora przypomnieć sobie „Rydwany ognia". To najlepszy film o letnich igrzyskach, nie licząc wyklętej „Olimpiady w Berlinie" Riefenstahl. Jeżeli trąci myszką, to dlatego, że w 1924 r. sport diametralnie różnił się od współczesnego. Rządzili nim dżentelmeni w słomkowych kapeluszach, wmawiający reszcie świata, że amatorstwo jest cacy, a zawodowstwo be. Lekkoatletów nie zżerała żądza pieniądza, mieli inne motywacje. Pierwszy z bohaterów filmu to szkocki kaznodzieja, który „biega jak dziki zwierz". Drugi jest ambicjonerem przekonanym, że cały świat jest przeciwko niemu, i dlatego musi w Paryżu zwyciężyć. Złośliwcy twierdzą, że „Rydwany ognia" zawdzięczają sławę przede wszystkim muzyce Vangelisa. To potwarz, ale reżyser debiutant nigdy już nie wzniósł się tak wysoko. Całkiem jak sportowiec, który tylko raz w karierze zdobył złoty medal. ©℗

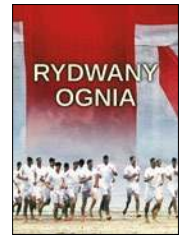

★★★★★☆
REŻ. HUGH HUDSON
„RYDWANY OGNIA" („CHARIOTS OF FIRE")
WIELKA BRYTANIA 1981
wyst. Ian Charleson, Ben Cross, Ian Holm

ZŁOTA MILA

max

Angielska odpowiedź na „Kac Vegas", trochę mądrzejsza od oryginału. Pięciu byłych kumpli jednoczy siły, by jeszcze raz poczuć smak młodości. Wiedzą już bowiem, że dorosłe życie to pasmo zawodów i upokorzeń. Wiek męski okazał się wiekiem klęski. Nawet dla tych, którzy pozakładali rodziny i dobrze zarabiają. Gary, zwany Królem, zachował wolność, lecz zatrzymał się w rozwoju. Wciąż jeździ fordem z 1989 r. i słucha muzyki z kaset magnetofonowych. Kto wychował się na hitach z epoki pani Thatcher, łezkę uroni. Pomysł Gary'ego na zbiorową terapię jest prosty – trzeba wrócić do rodzinnego miasteczka i zaliczyć szlak hańby wiodący przez tuzin pubów. Szwejk pewnej nocy odwiedził 28 lokali, ale on miał mocną głowę. Nagła zmiana konwencji, z komedii na hardcore'owe SF sprawia, że historii piwnych muszkieterów brakuje sensownej puenty. Na prawdziwy koniec naszego świata musimy jeszcze trochę poczekać. ©℗

★★★☆☆☆
REŻ. EDGAR WRIGHT
„TO JUŻ JEST KONIEC" („THE WORLD'S END")
WIELKA BRYTANIA 2013
wyst. Simon Pegg, Nick Frost, Martin Freeman

Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „NOBODY WANTS TO DIE"

★★★★☆☆

W XXIV w. nieśmiertelność jest tylko kwestią ceny. Ludzkość opanowała technikę transferu świadomości do banków pamięci i między ciałami. Ale świat, w którym można żyć wiecznie, to ponure miejsce, w którym niekoniecznie chce się żyć. Gra przygodowa w klimacie neo-noir stworzona przez wrocławskie studio wciąga wykreowanym światem, zatrzymuje dobrze napisaną fabułą i pozostaje w pamięci za sprawą wiarygodnie wykreowanych bohaterów. Kosztuje śmieszne jak na dzisiejsze standardy pieniądze. Brać i grać. ©℗ ***Radosław Wojtas***

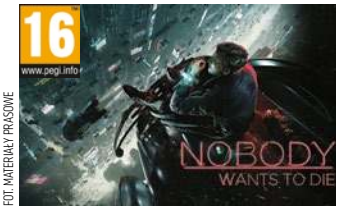

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *przygodowa, FPP*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Critical Hit Games; Plaion/Koch Media*

eprasa.pl f863a161d9

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Zbrodnia nie ma ceny

Tytuł tej wartościowej publikacji ukazującej się w przededniu 80. rocznicy Powstania Warszawskiego może zmylić niejednego czytelnika, spodziewającego się po książce opowieści o 100 powstańczych artefaktach czy rekwizytach, tymczasem są one tutaj jedynie (i aż) punktem wyjścia do przedstawienia historii 63 dni 1944 r., jednych z najbardziej tragicznych w całych naszych dziejach. I całego kontekstu: społecznego, wojskowego i politycznego.

Kluczowy dla takiej narracji staje się, cytowany i skomentowany przez autorów, słynny rozkaz nr 19 Naczelnego Wodza gen. Kazimierza Sosnkowskiego z 1 września 1944 r., skierowane do żołnierzy Armii Krajowej słowa prawdy, za które zapłacił utratą stanowiska: „Warszawa czeka – pisał Naczelny Wódz, od początku zresztą przeciwny wszczynaniu Powstania, kiedy jednak wybuchło, działający na jego rzecz ze wszystkich sił. – Nie na czcze słowa pochwały, nie na wyrazy uznania, nie na zapewnienia litości i współczucia. Czeka ona na broń i amunicję. Nie prosi ona, niby ubogi krewny, o okruchy ze stołu pańskiego, lecz żąda środków walki, znając zobowiązania i umowy sojusznicze. Warszawa walczy i czeka […]. Jeśliby ludność stolicy dla braku pomocy zginąć musiała pod gruzami swych domów, jeśliby przez bierność, obojętność czy zimne wyrachowanie wydana została na rzeź masową – wówczas sumienie świata obciążone będzie grzechem krzywdy straszliwej i w dziejach niebywałej […]. Od lat pięciu zarzuca się systematycznie Armii Krajowej bierność i pozorowanie walki z Niemcami. Dzisiaj oskarża się ją o to, że bije się za wiele i za dobrze. Każdy żołnierz polski powtarzać musi sobie w duchu słowa Wyspiańskiego […] »podłość, kłam; znam, zanadto dobrze znam«".

Świadkami historii, w ujęciu autorów „Powstania Warszawskiego w 100 przedmiotach", stają się flaga z Prudentiala, a także worek na jęczmień, zupa plujka i statek „Bajka", czekolada Wedla i urna z prochami książek z Biblioteki Krasińskich, motopompa wykorzystana do ataku na budynek PAST-y i granat Filipinka. Mamy także np. hasło „»Chwat« – zdobyczne działo pancerne", kryjące opowieść o zdobytej przez powstańców broni pancernej. Nie zawsze udawało się ją spożytkować. Na przykład zdobyte w walce z Niemcami działo samobieżne, wyremontowane i gotowe do boju, tkwiło bezczynnie na dziedzińcu Poczty Głównej, gdyż po wyjazdu „Chwata", jak je nazwano, potrzebna była rozbiórka kilku barykad, a na to nie zgadzał się dowódca sił powstańczych. Spod gruzów zbombardowanego gmachu poczty wydobyto działo dopiero w 1946 r.; „w 1950 r. pocięto na kawałki i wysłano do huty. Do dzisiaj przetrwał tylko fragment jednego z kół jezdnych".

Niektóre ocalałe z apokalipsy przedmioty wskazują, że w tamtym miejscu i czasie usiłowano żyć, powiedzmy, że normalnie. Powstańcza obrączka przypomina, że podczas Powstania Warszawskiego zawarto 256 związków małżeńskich. Ślubów udzielali księża kapelani; było ich 150, zginął co trzeci. Odprawiali msze na warszawskich podwórkach, na których jedna po drugiej powstawały kapliczki i domowe ołtarzyki. To miasto, wcześniej bardziej laickie niż religijne, nagle zwróciło się do Boga. Bo i w kim mogło pokładać nadzieję?

Symbolem męczeństwa Warszawy stała się opisana w jednym z rozdziałów „Powstania Warszawskiego w 100 przedmiotach" figura Chrystusa dźwigającego krzyż przed kościołem św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Czytając o niej, trudno nie wspomnieć całkiem niedawnych ekscesów hołoty, w imię źle pojętej wolności dopuszczających się w tym miejscu aktów profanacji, świętokradztwa, obrazy tego, co nieśmiertelne.

Lektura książki, jak zresztą całej literatury powstańczej, jest zadaniem niełatwym. W języku brakuje bowiem słów, które byłyby w stanie oddać heroizm i męczeństwo i powstańców, i cywilnej ludności stolicy. To, co się działo na Woli, Ochocie, Czerniakowie i właściwie wszędzie – w całej Warszawie – jest wieczną hańbą dla sprawców tej bezprzykładnej zbrodni. I nie ma ceny, którą mogliby spłacić winy dziadów i ojców ci, których imię nieprzypadkowo pisano po wojnie z małej litery.

Samej decyzji o wywołaniu powstania nie da się obronić. Generał Władysław Anders słusznie powtarzał, że „kiedy brak broni, nie daje się rozkazu do natarcia". Ale tym, którzy wykonywali ten rozkaz, należą się wieczna cześć i chwała. A przede wszystkim pamięć. ©℗

★★★★★☆

TERESA KOWALIK, PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI „POWSTANIE WARSZAWSKIE W 100 PRZEDMIOTACH" FRONDA, WARSZAWA 2024

eprasa.pl f863a161d9

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wieczny car

To nie kryzys, to rezultat" – chciałoby się zakrzyknąć po lekturze nowej książki Macieja Pieczyńskiego. Dzisiejsza nieludzka, barbarzyńska Rosja jest, jaka jest, nie dlatego, że nagle stało się z nią coś złego. To efekt długiego procesu kształtowania specyficznych relacji przywódca – poddani, w którym to procesie Stalin był jedną z postaci kluczowych. Rozdział o „pięciu Stalinach", którzy stworzyli Rosję (Putin miałby być najnowszym), jest jednym z najciekawszych w tej opowieści.

Wątków do polecenia jest tyle, że nie zmieszczą się wszystkie w krótkiej recenzji. Zaczynając od końca: są i nieliczne głosy przeciw kultowi Stalina, a zatem (choć nie zawsze) także przeciw współczesnemu kształtowi ruskiego miru. Niektórych znamy (Dmitrij Bykow), większość poznamy dzięki Pieczyńskiemu, który przygląda się resztkom dysydenckiej kultury czy niszowym przedstawieniom teatralnym.

Książka nosi podtytuł „Obraz czerwonego cara we współczesnej publicystyce, literaturze i teatrze rosyjskim". Najciekawsza jest w punktach stycznych Stalin-Putin. Dlaczego obecny czerwony car raz chwali, a raz gani tyrana? Dlaczego przez długie lata radykalni Wielkorusowie widzieli w Putinie cherlawego nieudacznika i dlaczego zmienili zdanie, wysławiając go dziś jako wielkiego przywódcę?

Z morza faktów wyłaniają się kluczowe pytania o mechanizmy napędzające powstawanie współczesnych rosyjskich mitów. Mitów niebezpiecznych, bo stanowiących paliwo wojennych zbrodni i międzynarodowej agresji.

Intryguje mnie bardzo wątek powstania „mitycznego Stalina", postaci zupełnie oderwanej od faktów i historii, czegoś/kogoś na kształt „ducha czasów", którego Rosja zawsze potrzebuje. Podobnemu procesowi zdaje się być dziś poddana postać Putina, o którym nie wiemy przecież nawet, czy jeszcze żyje, czy to on podejmuje decyzje. Nieważne, jakie są fakty, nieważne, czy Putin jest już tylko sumą własnych sobowtórów czy może jeszcze istnieje (ale w jakim kształcie: wciąż aktywnego satrapy czy może rosyjskiego odpowiednika zdziecinniałego Bidena?).

Jeśli czerwony car jest jedynie niezbędną dla istnienia imperium emanacją Rosji, to zawsze będzie istniał. Czy w postaci Stalina, czy Putina – to sprawa drugorzędna. Ciekawsze jest – podpowiada Bykow – kto kryje się w cieniu, dzierżąc prawdziwą władzę, schowany za mitem. ©℗

★★★★★☆
MACIEJ PIECZYŃSKI „STALIN WIECZNIE ŻYWY"
INSTYTUT PILECKIEGO 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Sto najważniejszych fotografii walczącej Warszawy. Selekcji dokonał fotoreporter Chris Niedenthal, a wskazane przez niego kadry poddano procesowi koloryzacji i rekonstrukcji cyfrowej.

AUTORZY RÓŻNI „KOLOR POWSTANIA 1944" PIW

Temat numeru oczywisty sierpniową porą tego roku: „Powstanie Warszawskie (1944–2024)". Piszą m.in. Maciej Urbanowski, Justyna Baran i Ewa Hoffman-Piotrowska. Jest i poetyckie pożegnanie Ernesta Brylla.

KWARTALNIK „NOWY NAPIS" (ROK 6, NR 22) INSTYTUT LITERATURY

Wytrawny znawca przestrzeni posowieckiej tym razem próbuje przybliżyć „kuszącą nieuchwytność Kazachstanu": reportaż, opowieść historyczna, próba spojrzenia w możliwe scenariusze przyszłości.

WOJCIECH GÓRECKI „WIECZNE PAŃSTWO" CZARNE

Nowa edycja biografii legendarnego piłkarza, rozszerzona o rozdział napisany przez amerykańskich przyjaciół Deyny (Małgorzata Kałuża i Janusz Marciniak) i uzupełniona niepublikowanymi dotąd zdjęciami. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

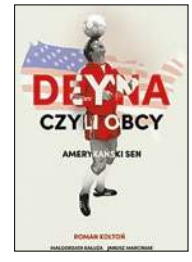

ROMAN KOŁTOŃ „DEYNA, CZYLI OBCY" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „KSIĘGA LABIRYNTÓW"

Dziesięć lat od zaginięcia córki ojciec znów podejmuje beznadziejną, zdawałoby się, próbę jej odnalezienia. Zagadki się mnożą. Kto wykonał dziwny telefon, nakłaniając bohatera do rozgrzebania dawnej traumy? Czy Wendy rzeczywiście żyje wewnątrz tajemniczego labiryntu? Gdzie to jest – w naszym czy w innym świecie? Intrygująca opowieść autora serii „Łasuch". ©℗

Piotr Gociek

JEFF LEMIRE „MAZEBOOK. KSIĘGA LABIRYNTÓW" EGMONT 2024

eprasa.pl f863a161d9

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Pokolenie apokalipsy

Wystawa „Do potomnego" w 80. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego to kolejna ekspozycja w Muzeum Literatury w Warszawie poświęcona literatom pokolenia wojennego. „Zbiory Muzeum są systematycznie wzbogacane o pamiątki ze spuścizny twórców debiutujących w latach wojny. Opiekujemy się ich rękopisami, bezcennymi zbiorami fotografii, pracami plastycznymi, pamiątkami, często bardzo osobistymi. Mówią do nas jednym głosem: pokoleniowe więzi osobiste były dla nich ważniejsze niż różnice ideologiczne czy środowiskowe" – piszą autorzy.

Rękopisy, dokumenty, fotografie przypominają takie postaci jak Krzysztof Kamil Baczyński, Tadeusz Gajcy, Zdzisław Stroiński. „Pozostawili testament dla następnych pokoleń, dla nas, idących przez swój czas, szczególnie wybrzmiewający w przesłaniu »Do potomnego« Tadeusza Gajcego, który to utwór jest inspiracją dla tytułu wystawy". ©℗

FOT. OLGA WYBODOWSKA/MUZEUM LITERATURY

GDZIE? ***Muzeum Literatury w Warszawie***
KIEDY? ***do 8 września***

FOT. MUZEUM HISTORII KATOWIC

CHŁOPSKI GUST, PAŃSKA MODA

Strój ludowy w dialogu tradycji z nowoczesnością. „Na wystawie zaprezentujemy noszone niegdyś przez mieszkańców wsi stanowiących dziś dzielnice Katowic i miast ościennych stroje. Pojawią się również inspirowane nimi projekty – na wskroś nowoczesne, nie zawsze – na pierwszy rzut oka – w oczywisty sposób nawiązujące do historycznego wzorca" – pisze kurator wystawy Magdalena Toboła-Feliks. Pokazano kształtowanie się stroju ludowego, jego ewolucję, rozkwit, a także – zanikanie. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Historii Katowic***
KIEDY? ***do 15 września***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Hard rock PESEL

Tytuł 23. studyjnego albumu – jak wyjaśnił perkusista Ian Paice – „symbolizuje ideę, że w świecie, który staje się coraz bardziej złożony, wszystko ostatecznie upraszcza się do jednej, zunifikowanej esencji. Wszystko równa się jeden".

Recenzja entej płyty Deep Purple nie ma sensu. Fani oraz dziennikarze w wieku słusznym, wychowani na trójkowych audycjach, przyjęli ją z zachwytem. Co więcej, uznali, że jest to album dorównujący klasykom grupy. To zdecydowanie przesada. Nowy gitarzysta, Simon McBride, wprawdzie wniósł ożywczą energię, ale do oryginalności Blackmoore'a mu daleko. Gilan nie wyciąga już należycie. Na szczęście producent Bob Ezrin jest najwyższej klasy profesjonalistą, więc płyta brzmi, jakby była nagrana pół wieku temu.

Prawda, sprowadzona do esencji, jest taka, że to, czego słuchaliśmy między 13. a 25. rokiem, będziemy zawsze kochać. Co więcej, w zależności od naszego PESEL-u będziemy toczyć zażarte boje, udowadniając, że prawdziwą muzykę tworzyli: Purple, Depeche, Metallica, Radiohead czy Coldplay. Młodość jest piękna bezdyskusyjnie, a z nią związana jest muzyka. Dzisiejsi młodzi nie chcą nawet wiedzieć o istnieniu Purple. My, dziadersi, im współczujemy, bo za naszych czasów i wódka lepiej smakowała. ©℗

★★★★☆
DEEP PURPLE
„=1"
EAR MUSIC

★★★★★☆
PAULINA PRZYBYSZ
„SPACE EP2024"
CALM COURAGE

Na minialbumie Paulina rapuje, miesza polski z angielskim, ale też staromodny soul ze współczesnym electro dance. Jednocześnie dryfuje w kosmosie i rozmyśla o przyziemnych sprawach. Jest czuła, a momentami celnie wulgarna. Piętnaście minut wartych inwestycji.

★★★★☆☆
ROBERT CICHY I GOŚCIE
„SPACER PO WARSZAWIE"
NARODOWE CENTRUM KULTURY

Robert Cichy, kompozytor i producent, zaprosił przyjaciół na spacer ulicami Warszawy. Startujemy na ulicy Nowolipki z Anią Dąbrowską, by następnie z Baranovskim, Nykiel, Gawlińskim i innymi dotrzeć do ulicy Miłej. Fajny spacer. ©℗

eprasa.pl f863a161d9

BARYKADY '44

Barykady – mimowolni widzowie

ZAGŁADY WARSZAWY!

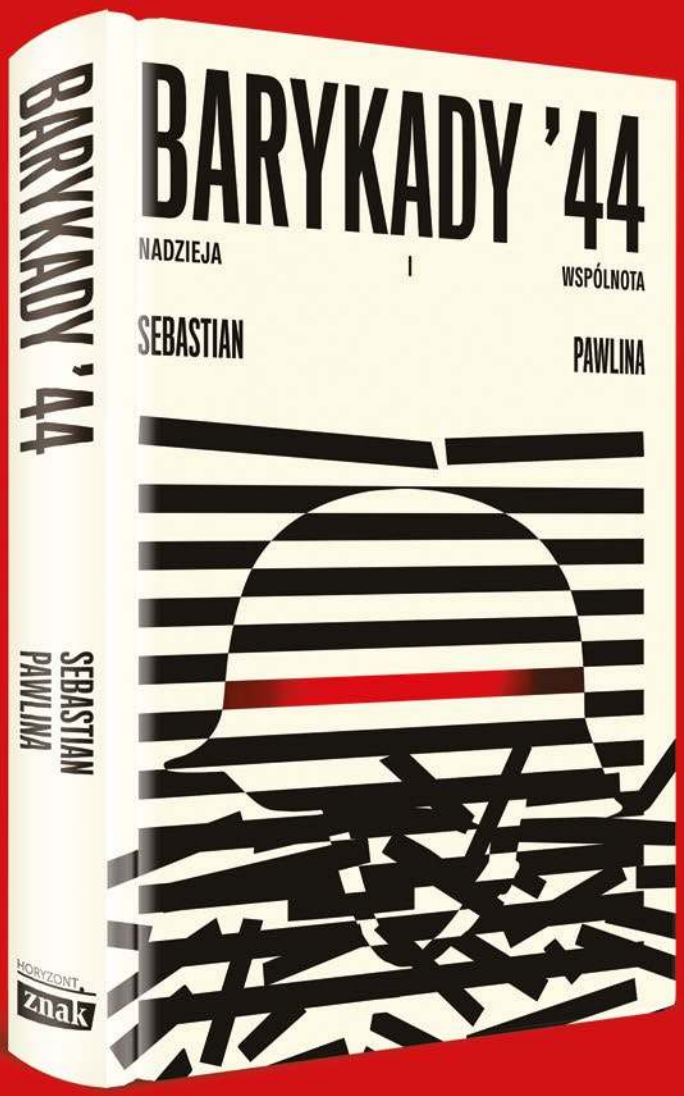

Już w sprzedaży!

eprasa.pl f863a161d9

Polscy hierarchowie wydają się nie zauważać nadchodzących problemów FOT. EPISKOPAT.PL

Głęboki sen Episkopatu

Paweł Chmielewski

Polskie władze nie wahają się bez przyczyny przetrzymywać księdza w areszcie. Ustawa po ustawie próbują rozmontować katolicki porządek prawny. Jeszcze gorzej jest w Kościele powszechnym. Tymczasem polski Episkopat zachowuje się tak, jakby dookoła panował niemal całkowity spokój

Kościół katolicki w Polsce straci w tym roku dwóch biskupów, którzy – pomimo wszystkich otaczających ich kontrowersji – potrafili, przynajmniej od czasu do czasu, zająć konkretne i wyraziste stanowisko, sprzeciwiając się różnym patologiom życia społecznego i kościelnego. 24 lipca wiek emerytalny osiągnął metropolita Krakowa, abp Marek Jędraszewski, do niedawna wiceprzewodniczący Konferencji Episkopatu Polski. Okres jego posługi w Krakowie był naznaczony wieloma potężnymi problemami, związanymi zwłaszcza z dość, by tak rzec, sztywnym sposobem wykonywania władzy biskupiej. Jeszcze większe wątpliwości budzi postawa, którą hierarcha prezentował w przeszłości w Poznaniu, gdzie stanął w obronie dobrego imienia abp. Juliusza Paetza, oskarżanego o kontakty seksualne z klerykami.

Trudno jednak zaprzeczyć, że krakowski metropolita w ostatnich latach był jednym z naprawdę nielicznych biskupów w naszym kraju, którego słowa powszechnie czytano i komento-

eprasa.pl f863a161d9

wano. Arcybiskup Jędraszewski potrafił wypowiadać się ostro i celnie, wykuwając nawet poręczne hasła wymierzone w niebezpieczne dla Polski i Kościoła ideologie. Zrobił tak w przypadku narracji zakłamującej ludzką płciowość i seksualność (słynna „tęczowa zaraza") czy wobec radykalnej kulturowej propagandy wrogiej posiadaniu dzieci (piętnując modę na tzw. singlizm). Arcybiskup nieustannie wplatał w swoje homilie istotne wątki polityczne, historyczne i społeczne.

Z perspektywy dyktatury relatywizmu stanowiło to rzecz jasna wielki skandal, bo wielu lewicowców chciałoby doprowadzić do sytuacji, gdzie kapłan nie ma w ogóle prawa wypowiedzieć się publicznie na jakikolwiek istotny dla kraju temat, ale postawa Marka Jędraszewskiego odpowiadała zdrowemu katolickiemu podejściu, które nakazuje Kościołowi żywo troszczyć się o dobro wspólne we wszystkich jego wymiarach. Nawet jeżeli były metropolita Krakowa będzie wciąż zabierać głos, to siłą rzeczy nie wywoła już równie silnego echa.

19 października wiek emerytalny osiągnie z kolei abp Stanisław Gądecki, szef KEP w latach 2014–2024. Jestem krytyczny wobec niektórych działań metropolity Poznania, zwłaszcza gdy idzie o charakter dialogu z judaizmem, który konsekwentnie promował. Jednak nie można odmówić Gądeckiemu podjęcia wielu ważnych inicjatyw w obronie doktryny katolickiej: na obu synodach o rodzinie starał się zbudować przeciwwagę dla niemieckich propozycji zniszczenia spójności nauki moralnej Kościoła, wielokrotnie wypowiadał się bardzo negatywnie o „drodze synodalnej" Kościoła za Odrą, w lutym 2022 r. pisząc nawet bezprecedensowy „list braterskiej troski" do szefa Episkopatu Niemiec, czym zapoczątkował całą serię analogicznych listów na świecie. Dwie kadencje Gądeckiego w roli szefa KEP nieomal pokryły się ze względnie spokojnym z perspektywy Kościoła okresem rządów Prawa i Sprawiedliwości; najbardziej burzliwym czasem były niewątpliwie lata pandemii COVID-19. Arcybiskup skierował do przedstawicieli polskich władz sporo pism z protestem przeciwko restrykcjom nakładanym na kościoły. Nie zrobił tego wprawdzie wystarczająco wcześnie, ale – obiektywnie rzecz biorąc – ograniczenia sanitarne w Polsce, być może w części dzięki jego staraniom, choć bardzo poważne, były mniej dotkliwe niż w wielu innych krajach europejskich.

TRUDNO O ENTUZJAZM

Cóż kiedy obaj znikają z życia publicznego? W marcu tego roku zmieniły się władze Episkopatu. Nowym szefem został metropolita Gdańska abp Tadeusz Wojda, a wiceprzewodniczącym – metropolita Wrocławia, abp Józef Kupny. Ich wybór został przez większość komentatorów przyjęty albo bardzo negatywnie, albo chłodno. Ja należałem do tej drugiej grupy publicystów, wychodząc z założenia, że nie byłoby właściwe z góry przekreślać nowego kierownictwa KEP.

O entuzjazm było jednak trudno z dwóch zasadniczych przyczyn. Po pierwsze, wobec Tadeusza Wojdy od dawna kierowano oskarżenia o domniemane zaniedbania w przypadku wykorzystywania seksualnego. Być może zarzuty okażą się ostatecznie całkowicie bezpodstawne, ale jest oczywiste, że tego rodzaju sprawa nadaje się do względnie prostego rozgrywania biskupa, np. wymuszając milczenie albo choćby nadmierną ostrożność w działaniach i wypowiedziach.

Druga sprawa to problem gotowości nowych władz KEP do stawania w obronie Kościoła w obliczu lewicowych ataków na Kościół i państwo. Tadeusz Wojda jako metropolita Białegostoku (rządził tam w latach 2017–2021, przed objęciem Gdańska) zachowywał się w tym względzie całkiem dobrze, zdecydowanie krytykując marsz LGBT oraz zgadzając się na to, by Fundacja Życie i Rodzina Kai Godek zbierała pod kościołami podpisy na rzecz inicjatywy zakazującej tęczowych parad. W Gdańsku takiej postawy już jednak zabrakło. Huczna parada równości przeszła w tym mieście choćby w maju tego roku, ale arcybiskup głośno nie protestował. Bez komentarza pozostawił też wybryk ks. prof. Adama Świeżyńskiego, który jako pierwszy polski kapłan pobłogosławił pary LGBT; Świeżyński jest formalne inkardynowany w Gdańsku. Nadbałtycka atmosfera, niewolna od wspomnianych oskarżeń, najwyraźniej wpływa łagodząco na poglądy.

W przypadku Józefa Kupnego z gotowością do walki również nie jest najlepiej. Wprawdzie hierarcha potrafił z jednej strony deklarować, że „nie ma zgody" Kościoła na ideologię gender, z drugiej jednak lubi wypowiadać się na wrażliwe tematy nader koncyliacyjnie. Przykładowo: w trakcie ataków na kościoły po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w 2020 r. publikował komunikaty „przeciwko nienawiści", przy czym miało się wrażenie, że nienawistni mieliby być raczej ich obrońcy, a nie napastnicy; w tym roku zachwalał nawet dawny „kompromis aborcyjny". Dwa lata po ogłoszeniu przez Franciszka kontrowersyjnej adhortacji „Amoris laetitia" o Komunii Świętej dla rozwodników w powtórnych związkach przekonywał, że Franciszek w gruncie rzeczy chce dobrze i w tej sprawie nie ma jakoby prostych odpowiedzi…

KSIĄDZ W ARESZCIE I ŻYCIE POCZĘTE

Kościół w Polsce potrzebuje dziś tymczasem zdecydowania i jednoznaczności. Tego brakuje choćby w sprawie ks. Michała Olszewskiego, sercanina aresztowanego na początku kwietnia w związku z rzekomymi nieprawidłowościami dotyczącymi pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości. Niegodziwość, z którą go potraktowano, jest jawna i rażąca, zarówno gdy idzie o skandaliczne warunki, w których się znalazł, jak i o skrajnie niesprawiedliwe pozbawienie go wolności w ramach aresztu tymczasowego, tak jakby chodziło o groźnego mordercę. W obronie księdza stanęło jego własne zgromadzenie, ale Konferencja Episkopatu Polski – już nie. Do dnia, w którym oddałem do druku ten tekst, nie pojawiło się dosłownie żadne oświadczenie w tej sprawie, a przecież nie o to chodzi, by przesądzać o winie lub niewinności aresztowanego, ale by zaprotestować przeciwko metodom, które stosuje wobec niego aparat państwowy. 9 lipca o zajęcie jakiegoś stanowiska do abp. Tadeusza Wojdy wystąpili nawet trzej biskupi, a konkretnie: Artur Ważny z Sosnowca, Adam Wodarczyk z Katowic i Robert Chrząszcz z Krakowa. Nie pomogło. Ktoś mógłby sugerować, że szef KEP prowadzi jakieś zakulisowe działania w obronie ks. Olszewskiego i dlatego nie zabiera głosu, ale musiałyby być one

eprasa.pl f863a161d9

doprawdy głęboko zakulisowe, skoro nie wie o nich nawet część biskupów.

A przecież sprawa aresztowanego sercanina to tylko wierzchołek prawdziwej góry lodowej problemów, z którymi musi mierzyć się dziś Kościół w Polsce. Najważniejsza jest sprawa ochrony życia dzieci poczętych. Na włosku wiszą losy porządku prawnego, który udało się w Polsce ustanowić po wyroku Trybunału sprzed bez mała czterech lat. W Sejmie odrzucono wprawdzie projekt Lewicy legalizujący pomocnictwo w dzieciobójstwie, ale głosowane będą kolejne projekty proaborcyjne. Najbardziej niebezpieczny jest ten, który zgłosiła Trzecia Droga. Sprowadza się do „cofnięcia" ochrony życia do stanu sprzed wyroku TK, to znaczy do ponownego dopuszczenia w Polsce zabijania dzieci podejrzanych o chorobę. Wydaje się, że ten projekt może liczyć na większość sejmową, a trudno przewidzieć, jak zachowa się prezydent. Andrzej Duda deklaruje wprawdzie, że jest wierzącym katolikiem, i rzeczywiście wielokrotnie dawał temu wyraz. Jednak po wybuchu radykalnych protestów lewicowych jesienią 2020 r. zgłosił projekt ustawy dopuszczający aborcję w przypadku stwierdzenia przez lekarzy nieuleczalnych chorób albo wad dziecka prowadzących do jego śmierci. Z kolei w grudniu 2023 r. podpisał ustawę o finansowaniu procedury in vitro z budżetu państwa.

Konferencja Episkopatu Polski pod nowym zarządem wydała wprawdzie list 16 czerwca tego roku, w którym opowiedziała się za pełną ochroną życia, ale ta sprawa wymaga czegoś więcej – przede wszystkim wyraźnego napiętnowania takiej postawy, którą prezentuje np. marszałek Szymon Hołownia. Lider Polski 250 z jednej strony utrzymuje, że jest katolikiem, a z drugiej wspiera część ustawodawstwa proaborcyjnego, twierdząc, że… tak naprawdę w ogóle nie wie, kiedy zaczyna się życie. Dokładnie tego samego argumentu używa w Stanach Zjednoczonych skrajnie proaborcyjny Joe Biden. Nie można pozostawiać takich postaw bez komentarza.

Aborcja jest głównym, ale nie jedynym punktem rewolucyjnej agendy, którą gotowi są poprzeć tzw. letni katolicy. W kolejce czekają ustawa o związkach partnerskich z możliwością przysposobienia dziecka partnera, projekt walki z mową nienawiści, a zatem z wolnością wypowiadania się na temat obiektywnych praw natury czy cytowania Pisma Świętego, dalej – czysto totalitarna walka z klauzulą sumienia, polegająca na próbie zmuszenia lekarzy do zabijania dzieci w szpitalach, a farmaceutów do wydawania zabójczych środków poronnych. To, co politycznie dzieje się dziś w Polsce, jest bezprecedensowym zamachem na katolicki porządek społeczny. Nawet jeżeli powszechna obecność podobnych rozwiązań w innych krajach Europy zdaje się czynić całą tę agendę jakby łagodniejszą, to przecież nie zmienia to podstawowego faktu: mamy do czynienia z jawnym podważeniem fundamentalnych praw i wolności, na których straży Kościół zawsze stał. Biskupi, chciałoby się rzec, powinni uznać zwalczanie tej antykatolickiej ofensywy za swoje pierwszorzędne zadanie. Ma się jednak wrażenie, że cały czas górę bierze walka o interesy ekonomiczne duchowieństwa, która, choć ważna, jest jednak całkowicie drugorzędna.

Kiedy Tusk przeforsuje związki partnerskie, ratunkiem będzie tylko odważna postawa Kościoła

RELATYWIZM NA HORYZONCIE

Wydarzenia w kraju powinny zresztą ustąpić wydarzeniom w samym Kościele. Na początku lipca Stolica Apostolska opublikowała nowy dokument synodalny, który ma ustawić w odpowiednim świetle debatę biskupów i świeckich w Rzymie jesienią tego roku. Będą tam również Polacy. Plany, które chce zrealizować Watykan, są niezwykle poważne. Pisałem o nich wielokrotnie na łamach „Do Rzeczy", a najnowszy dokument potwierdza, niestety, najgorsze obawy.

Franciszek i jego zaplecze cały czas prą do ustanowienia relatywistycznej zasady „różnorodności kulturowej" w Kościele, tak by w poszczególnych regionach można było kształtować liturgię, dyscyplinę, teologię i duchowość zgodnie z lokalnymi uwarunkowaniami. Łączy się to z chęcią ustabilizowania tzw. kościelnych ciał kontynentalnych. Nie lubię teorii spiskowych, ale w tym wypadku doprawdy trudno oprzeć się dziwnemu wrażeniu: Watykan przygotowuje grunt pod budowę obdarzonego własnym autorytetem „Kościoła Europejskiego" dokładnie w tym samym czasie, w którym lewicowe elity Unii Europejskiej zabrały się do procesu zmiany traktatów i stworzenia unijnego superpaństwa. Taki kontynentalny byt quasi-państwowy będzie, rzecz jasna, potrzebować wspólnego głosu religijnego – i „Kościół Europejski" może to zagwarantować. Dokumenty synodalne przewidują, że tego rodzaju gremium będzie musiało – to nie żart – brać pod uwagę opinię „świeckich instytucji".

Innymi słowy, droga do unijnego cezaropapizmu staje się otwarta, choć tym razem mielibyśmy do czynienia raczej z jakimś – proszę wybaczyć złośliwy nowotwór słowny – eurokratosynodalizmem. Kiedy Donald Tusk przeforsuje już związki partnerskie, zniesie klauzulę sumienia i wprowadzi prawo o mowie nienawiści, tylko odważna postawa władz Kościoła będzie ratunkiem dla księży odmawiających udziału w ceremonii homomałżeństwa połączonego z adopcją dzieci. Jednak w „Kościele Europejskim", który ma własny autorytet doktrynalny i konsultuje swoją politykę ze świeckimi instytucjami, biskupi nie będą mogli zajmować przecież homofobicznego stanowiska. Dokument synodalny przewiduje zresztą, że decyzje biskupów muszą… respektować konsensus większości, a konsensus w Europie będzie – jakżeby inaczej? – europejski, to znaczy zgodny z liberalną propagandą brukselskich elit.

Jest zatem co robić, ale po kilku miesiącach od zmian w Episkopacie zrobiono niewiele. Wiem, wiem: wakacje, upał, pielgrzymki. Lewicowi rewolucjoniści na szczęście też lubią przymknąć oko na walkę o realizację celów klimatycznych i przepalić trochę kerozyny w drodze na jakieś rajskie wyspy. Wkrótce jednak wrócą i zabiorą się do roboty. Mam nadzieję, że polscy biskupi dotrzymają im w pracowitości kroku, w przeciwnym wypadku – cóż, spotkamy się wszyscy w euro-Kościele.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl f863a161d9

Filip Memches

Ten straszny „populizm”

Rzecznik Parlamentu Europejskiego Jaume Duch Guillot prezentuje wyniki eurowyborów, 10 czerwca 2024 r.

FOT. ALAIN ROLLAND/EP/EU

Widmo krąży po Europie – widmo „populizmu”. To oczywiście tylko ironiczna parafraza słynnego pierwszego zdania „Manifestu Partii Komunistycznej” Karola Marksa i Fryderyka Engelsa. Jednak słowa te oddają źródło obaw, które żywi – złożony z „ludowców” („chrześcijańskich demokratów”), socjalistów i liberałów – establishment Unii Europejskiej

Mimo że po ostatnich wyborach do Parlamentu Europejskiego establishment UE zachował w nim pakiet kontrolny, będzie się musiał wciąż mierzyć z szerokim spektrum prawicy narodowej, która postulując suwerenność państw członkowskich UE, występuje przeciw: budowie europejskiego federalnego superpaństwa, pobłażliwemu – politycznie poprawnemu – traktowaniu masowej imigracji z Afryki i Azji oraz Zielonemu Ładowi.

Szkopuł w tym, że „populiści” nie stanowią w Europie monolitu. Nie dlatego, że różnią się ideologicznie. Powód jest zupełnie prozaiczny. Chodzi o geopolitykę. I to ona może zdecydować o dalszym kształtowaniu się podziałów na politycznej mapie Unii, a nie konflikt establishmentowej bandy trojga z „populistami”.

Po czerwcowych wyborach do PE ukonstytuowały się w nim poszczególne frakcje, choć proces ten z natury rzeczy jest dynamiczny, więc nie został zakończony. Na razie trzecie miejsce pod względem liczby europosłów przypada w europarlamencie nowej grupie – Patriotom dla Europy (PfE). Postrzegana ona jest jako utworzone według klucza regionalnego stronnictwo „habsburskie”, ponieważ założona została przez polityków czołowych ugrupowań z Węgier, Austrii i Czech.

Wiodąca rola w niej przypadła szefowi węgierskiego rządu, czyli Viktorowi Orbánowi jako liderowi Fideszu. Pozostała dwójka inicjatorów to Herbert Kickl, przewodniczący Austriackiej Partii Wolności (FPÖ), oraz były premier Czech – Andrej Babiš, który stoi na czele formacji ANO. W skład PfE weszły też m.in.: hiszpański VOX, który wcześniej należał do Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (razem z Prawem i Sprawiedliwością), a także ugrupowania będące w poprzedniej kadencji – tak jak austriaccy „wolnościowcy” – członkami Tożsamości i Demokracji, czyli włoska Liga oraz francuskie Zjednoczenie Narodowe (RN). Na tle tych przepływów wyróżnia się ANO, które przeszło z frakcji establishmentowej – Odnowić Europę.

WSPÓŁPRACA I WAŚNIE

Powołanie Patriotów dla Europy to niewątpliwie olbrzymi sukces Orbána. Fidesz od wiosny roku 2021 był w europarlamencie niezrzeszony w żadnej frakcji. Teraz zaś jego przywódca wyrasta na ważnego gracza w PE, gromadząc wokół siebie polityków, których się obawia unijny establishment. Wśród nich wymienić trzeba przede wszystkim liderkę RN, Marine Le Pen.

Jednak wśród PfE zabrakło jednej znaczącej formacji, która mocno się kojarzy z europejskimi „populistami”. To Alternatywa dla Niemiec (AfD). Tyle że trudno się spodziewać, aby przystąpiła do Patriotów dla Europy. A to dlatego, że jest zwaśniona właśnie ze Zjednoczeniem Narodowym.

Awantura wybuchła tuż przed tegorocznymi wyborami do europarlamentu. Otóż AfD została wykluczona z Tożsamości i Demokracji, a za decyzją tą stała sama Marine Le Pen. Powodem tego ruchu była wypowiedź ówczesnego europosła Alternatywy – Maximiliana Kraha, który w wywiadzie udzielonym włoskiemu dziennikowi „La Repubblica” oznajmił, że w III Rzeszy nie każdy członek SS był przestępcą.

Ta wypowiedź została potraktowana przez francuskich nacjonalistów jako bagatelizowanie zbrodni ciążących na niemieckim narodowym socjalizmie.

eprasa.pl f863a161d9

A trzeba odnotować, że przywódczyni RN bardzo się stara, żeby nie powtarzać wizerunkowych błędów swojego ojca, Jeana-Marie Le Pena – niegdyś lidera Frontu Narodowego, czyli partii będącej poprzedniczką Zjednoczenia Narodowego. Polityk ten bowiem bulwersował polityczny i medialny mainstream Francji takimi stwierdzeniami, jak choćby to, że komory gazowe były zaledwie szczegółem w dziejach drugiej wojny światowej (za tę wrzutkę zresztą stanął przed sądem).

Czy jednak to, co powiedział Krah, nie stanowiło wyłącznie pretekstu do rozbratu AfD z RN? Być może odpowiedź na to pytanie pada w tekście, który się ukazał pod koniec maja bieżącego roku w serwisie internetowym magazynu „Sezession" – czasopisma uchodzącego za tubę niemieckiej „skrajnej prawicy". Aferę z Krahem skomentował czołowy publicysta tego medium Götz Kubitschek.

Jego zdaniem napięcia między nacjonalistami niemieckimi a resztą europejskich „populistów" rosły od długiego czasu. Kubitschek przywołał wydarzenie, które – według niego – stanowi właściwy trop do zrozumienia tego, z jakiej przyczyny Alternatywa została usunięta z Tożsamości i Demokracji.

Chodzi o Konferencję Konserwatywnej Akcji Politycznej (CPAP). Impreza ta odbyła się 25 i 26 kwietnia bieżącego roku w Budapeszcie. I tak na zaproszenie Viktora Orbána do stolicy Węgier przybyli prominentni politycy prawicy „populistycznej" z Europy i USA (z Polski gościł m.in. Mateusz Morawiecki). Znamienne jednak – na co zwrócił uwagę Kubitschek – że w Budapeszcie zabrakło przedstawicieli AfD i Zjednoczenia Narodowego.

W polskich mainstreamowych mediach, które straszą „populistami" (i tymi znad Wisły, i tymi z zagranicy), kwietniowa CPAP została zrelacjonowana jako zlot „ruskich onuc". Na przykład OKO.press obwieściło, że budapeszteńska konferencja zgromadziła polityków z ugrupowań „nastawionych pozytywnie do Rosji lub wręcz z nią współpracujących".

Jakże zdziwiony byłby Kubitschek, gdyby coś takiego przeczytał. Niemiecki publicysta zinterpretował bowiem całe wydarzenie zgoła inaczej – jako spotkanie realizujące agendę amerykańskich konserwatystów, dla których wrogami są Federacja Rosyjska oraz Chińska Republika Ludowa. Przy czym Kubitschek bynajmniej nie miał na myśli tracących wpływy w Partii Republikańskiej antykremlowskich jastrzębi ze środowiska tzw. neokonserwatystów, lecz jak najbardziej nadających ton tej formacji polityków związanych z Donaldem Trumpem. A ich koniem trojańskim w UE jest – w przekonaniu niemieckiego publicysty – nie kto inny jak gospodarz CPAP w Budapeszcie – Viktor Orbán. Swoją drogą (o tym Kubitschek już nie pisze) liczy on przecież na to – i ma ku temu powody – że Trump niebawem wróci do Białego Domu.

DWIE OPCJE

W tekście niemieckiego publicysty zarysowany został następujący obraz sytuacji: państwa europejskie mają do wyboru dwie opcje geopolityczne – atlantycką i eurazjatycką. Ta pierwsza oznacza strategiczne podporządkowanie Stanom Zjednoczonym, czyli uznanie, że są globalnym hegemonem, druga zaś – strategiczną niezależność od USA, przekładającą się na bliską współpracę z Rosją i ChRL, aby ukrócić hegemonię Ameryki i budować „świat wielobiegunowy". Kiedy zaś mowa o strategii, chodzi o takie dziedziny, jak energetyka czy zbrojenia.

Powołanie Patriotów dla Europy to niewątpliwie olbrzymi sukces premiera Węgier Viktora Orbána

Kubitschek uważa, że małe państwa położone między Niemcami a Rosją (w domyśle wśród nich jest też Polska) tworzą wspierany przez USA geopolityczny klin. Jego celem jest utrzymywanie nowej żelaznej kurtyny oddzielającej Unię od Federacji Rosyjskiej. Orbán zaś wybrał opcję atlantycką – podobnie jak zrobiła to szefowa włoskiego rządu i liderka Braci Włochów, Giorgia Meloni, która także uczestniczyła w budapeszteńskiej imprezie. Ta część prawicy występuje przeciw narzucaniu Europie kierunku rozwoju przez blok Francji i Niemiec. Tymczasem zamiarem Marine Le Pen było utworzenie po ostatnich wyborach do PE wielkiej frakcji europarlamentarnej, w której znalazłby się również Fidesz. Grupa taka miałaby znacząco umocnić pozycję prawicy narodowej na scenie europejskiej.

Szkopuł w tym – twierdzi niemiecki publicysta – że politycy europejscy biorący udział w CPAP w Budapeszcie postawili liderce RN warunek: jeśli chce z nimi tworzyć wielki europejski projekt, to musi wybrać opcję atlantycką, a więc opowiedzieć się przeciw koncepcji sojuszu francusko-niemieckiego pojętego jako paktu na rzecz opcji eurazjatyckiej. A to oznaczało wywarcie nacisku na Le Pen, żeby zerwała z Alternatywą, do czego nadarzyła się okazja, gdy Maximilian Krah udzielił wywiadu „La Repubblice".

Skoro liderka Zjednoczenia Narodowego znalazła się w jednej wielkiej frakcji europarlamentarnej razem z Orbánem, a AfD powołało w PE odrębną małą grupę (Europę Narodów Suwerennych), to można przyjąć, że tekst Kubitschka okazał się proroczy. Z pewnością wywody niemieckiego publicysty to głos osoby zaangażowanej – kogoś, kto chce wpływać na kurs Alternatywy – więc nie są one obiektywnym opisem stanu rzeczy. Niemniej ten tekst należy potraktować zarazem jako świadectwo tego, że to geopolityka, a nie ideologia określa stanowisko poszczególnych ugrupowań „populistycznych".

Przecież opcja eurazjatycka jest rozważana serio od wielu lat nie tylko w kręgach AfD czy – patrząc szerzej – niemieckiej „skrajnej prawicy", lecz także wśród potępiających „populistów" elit Berlina i Paryża. A można przyjąć, że w praktyce była realizowana choćby wtedy, gdy kładziono niemiecko-rosyjskie gazociągi na dnie Bałtyku. Ponadto wystarczy przypomnieć głoszoną przez Emmanuela Macrona koncepcję „autonomii strategicznej" UE.

Rzecz jasna, teza Kubitschka o tym, że Viktor Orbán wdraża opcję atlantycką, jest dużym uproszczeniem. To polityk, który gra na wielu fortepianach – także tym niemieckim – bo w takim podejściu do kwestii międzynarodowych po prostu upatruje interesu Węgier – co zresztą spotyka się z niezrozumieniem w Polsce. I chyba taka wielostronność akurat teraz Marine Le Pen odpowiada, choć nie zawsze tak było (kiedyś jednak hołdując typowemu francuskiemu antyamerykanizmowi, opowiadała się ona za opcją

eprasa.pl f863a161d9

Rozkład mandatów w europarlamencie

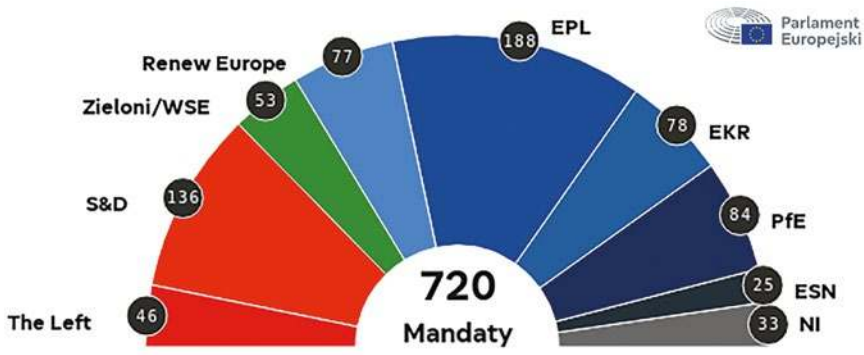

Grupy polityczne w Parlamencie Europejskim	Liczba mandatów	% mandatów
EPL – Grupa Europejskiej Partii Ludowej (Chrześcijańscy Demokraci)	188	26,11%
S&D – Grupa Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów w Parlamencie Europejskim	136	18,89%
PfE – Patrioci dla Europy	84	11,67%
EKR – Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy	78	10,83%
Renew Europe – Grupa Renew Europe	77	10,69%
Zieloni/WSE – Grupa Zielonych/Wolne Przymierze Europejskie	53	7,36%
The Left – Grupa Lewicy w Parlamencie Europejskim – GUE/NGL	46	6,39%
ESN – Europa Suwerennych Narodów	25	3,47%
NI – posłowie niezrzeszeni	33	4,58%

RYS. MART. ŹRÓDŁO: VERIAN NA ZLECENIE PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO

Zgodnie z regulaminem Parlamentu grupa polityczna składa się z co najmniej 23 posłów wybranych w co najmniej siedmiu państwach członkowskich.

eurazjatycką). Z pewnością jednak – i tu Kubitschek ma rację – Orbánowi blisko do Donalda Trumpa, który zasiadając w Białym Domu, sprawiał trudności i Rosji, i komunistycznym Chinom.

Ten bowiem, będąc prezydentem USA, podjął geopolityczną rywalizację z ChRL (i pod tym względem w jakimś sensie kontynuował linię Baracka Obamy). Niemiec zaś wówczas nie rozpieszczał i wskazywał manowce opcji eurazjatyckiej (stąd awersja Kubitschka do niego). Występował przecież choćby przeciw ukończeniu budowy Nord Stream 2 (popierał wprowadzenie amerykańskich sankcji na firmy kładące ten gazociąg). Zarzucał Niemcom, że zawarły one umowę w dziedzinie energetyki z Rosją, a z drugiej – że oczekują, iż Stany Zjednoczone będą militarnie je chronić przed zagrożeniem rosyjskim.

Inna rzecz, że – wracając do afery z Maximilianem Krahem – Alternatywa (wbrew oskarżeniom, które są wysuwane przeciw temu ugrupowaniu) nie jest partią neonazistowską. To formacja starego niemieckiego nacjonalizmu, kojarzonego z nazwiskami takich polityków, jak król Prus Fryderyk II Wielki, kanclerz II Rzeszy Otto von Bismarck czy kanclerz, minister spraw zagranicznych republiki weimarskiej Gustav Stresemann. Narodowi socjaliści byli oponentami tego nurtu politycznego, ponieważ pozbawiony on był charakteryzującego ich radykalizmu (choćby cech nienawistnie antysemickich) i jawił im się jako coś nieznośnie zramolałego.

Natomiast zawiłości, o których mowa w niniejszym tekście, nie mieszczą się w schematach, do których przyzwyczaiły nas media wspierające unijny establishment. Chodzi o przekazy dnia przedstawiające frakcje europarlamentarne jako skonsolidowane „internacjonalistyczne" podmioty ideologiczne.

WSPÓŁPRACA MIMO RÓŻNIC

I rzeczywiście tak jest w przypadku ugrupowań establishmentowych, które są za budową europejskiego federalnego superpaństwa i deprecjonują narodowe partykularyzmy. Zwolennicy tych partii przeżywają dysonans poznawczy, gdy okazuje się, że pokrewne ideologicznie formacje mogą się w jednej kwestii geopolitycznej zgadzać, a w innej – nie.

Przykładem są stosunki między PiS a Fideszem. W wielu sprawach te dwa ugrupowania stoją po tej samej stronie barykady (choćby sprzeciwiają się dyktatowi instytucji unijnych), ale są takie pola, na których występują między nimi rozbieżności. To przede wszystkim polityka wobec Kremla (Polacy pozostają z Rosjanami w relacjach zimnowojennych, Węgrzy próbują się z nimi układać). Ale rozdźwięki są naturalne – wynikają one z tego, że polska perspektywa geopolityczna różni się od węgierskiej.

Tymczasem w polskiej debacie publicznej ten fakt jest na użytek topornej propagandy wspierającej unijny establishment (w tym należących do niego polskich polityków) zakłamywany. Dzieje się tak wtedy, gdy porozumienia między Prawem i Sprawiedliwością a Fideszem w absurdalny sposób piętnowane są jako zdradzieckie dogadywanie się z „kumplem Putina" (chodzi o Viktora Orbána).

W europarlamentarnych frakcjach „internacjonalistycznych" jest zaś zgoła inaczej. Nie uchodzi eksponować swoich narodowych odrębności, bo przecież trzeba budować jedną wspólną Europę. W efekcie partia, które ma w jakiejś europarlamentarnej „rodzinie" najmocniejszą pozycję, narzuca jej swój narodowy punkt widzenia. Niemiecka chadecja w Europejskiej Partii Ludowej jest już przypadkiem banalnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f863a161d9

Wojciech Golonka

Jesteśmy w najbardziej niepewnym momencie wojny na Ukrainie

Rozejm czy eskalacja?

FOT. ADOBE STOCK

Z różnych porównań dla działań wojennych na Ukrainie, których można by dokonać, najbardziej obrazowym i wskazanym wydaje mi się nazwanie tej zachodzącej, od ponad dwóch lat, eskalacji, na razie bez dalszych konsekwencji, grą, nomen omen, w rosyjską ruletkę. „Grze" tej, jeśli można tak nazwać chojrackie igranie ze śmiercią, towarzyszą ogromne napięcie i lęk, które po chybionym spuście ustępują miejsca uldze rodzącej fałszywe poczucie pewności siebie, potęgowanej przez wielokrotność rund, które nie doprowadziły do felernego strzału, a w konsekwencji następuje możliwa bagatelizacja samej „zabawy" – aż do śmiertelnego razu.

Aby uniknąć nieporozumienia, chcę na wstępie zaznaczyć, że wybierając tak mocny obraz – mocny dla głów niespitych na umór, w innym razie jest to zapewne fantastyczna rozrywka – doskonale zdaję sobie sprawę, że eskalacja militarna jest naturalną konsekwencją woli odparcia rosyjskiej inwazji przez Ukrainę i jej zachodnich partnerów. Innymi słowy – już na wstępie ktoś mógłby dość sensownie zadać pytanie: „Jeśli nie eskalacja, to co? Czy Ukraińcy mają po prostu się poddać?". Sęk w tym, że to zrozumiałe i poniekąd słuszne pytanie nie bierze pod uwagę całego spektrum problemu, a zwłaszcza nie zmienia tego, że gra w rosyjską ruletkę bywa śmiertelna. Wspomniane szersze spektrum to przede wszystkim rozróżnienie, co eskalacja oznacza dla samej Ukrainy, dla Rosji, dla partnerów Ukrainy, w tym dla państw przyfrontowych, na różnych płaszczyznach (zasobów ludzkich, ekonomicznych, infrastrukturalnych etc.).

Summa summarum chodzi o dwa pytania, które po dwóch i pół roku wojny są tym bardziej zasadne: jakie realne, a nie urojone cele (którymi karmiono nas aż do niestrawności) w zakresie obrony integralności kraju są w zasięgu ukraińskich sił zbrojnych, po pierwsze; a po drugie: jaka jest cena do zapłaty za osiągnięcie tychże celów przez Ukrainę i jej zachodnich partnerów.

Te pytania, ma się rozumieć, nigdy nie padają w takiej formie w debacie publicznej, jeśli w ogóle ona zachodzi, nie tylko dlatego, że potencjalne odpowiedzi są w szczegółach merytorycznie wymagające i niejednoznaczne, lecz także dlatego, że tak postawione pytania podważają wprost niemal codziennie słyszalny od zachodnich przywódców przekaz: „Rosja nie może wygrać tej wojny za żadną cenę"; „Ukraina musi za wszelką cenę tę wojnę wygrać", bez w ogóle definiowania, co ta „wszelka cena" może oznaczać w praktyce.

Tymczasem podobne zdefiniowanie „ceny", siłą rzeczy implikujące rozeznanie perspektywy eskalacji i mierzenia jej konsekwencji, jest podstawowym wymogiem roztropności, o czym zdroworozsądkowo przypomina nam Ewangelia: „Który król, mając wyruszyć, aby stoczyć bitwę z drugim królem, nie usiądzie wpierw i nie rozważy, czy w dziesięć tysięcy ludzi może stawić czoło temu, który z dwudziestoma tysiącami nadciąga przeciw niemu? Jeśli nie, wyprawia poselstwo, gdy tamten jest jeszcze daleko, i prosi o warunki pokoju" (Łk 14, 31–32).

TRUDNY MOMENT WOJNY

Oczywiście można by odpowiedzieć, właśnie z perspektywy dwóch i pół roku wojny, że jest to zmartwienie głównie teoretyczne: mimo eskalacji wojna się przecież nie rozlała na ościenne kraje, a skoro sam prezydent Zełenski mówi o perspektywie rozmów pokojowych, wtórując zapowiedziom Donalda Trumpa, który jako prezydent USA in spe zamierza tę wojnę zakończyć, to tym bardziej nie ma powodu, aby ten konflikt wyrwał się obecnie spod kontroli.

Otóż wbrew podobnemu rozumowaniu z różnych powodów skłaniam się do twierdzenia, że jesteśmy obecnie w najbardziej niepewnym etapie wojny,

eprasa.pl f863a161d9

właśnie jeśli chodzi o jego możliwości eskalacyjne.

Po pierwsze, od strony czysto militarnej, jakkolwiek zabrzmi to dla wielu prowokująco i w ogóle makabrycznie, Rosjanie nie zdecydowali się dotychczas na ataki mogące zmiażdżyć Ukrainę, a jeśli komuś brakuje porównania, to wojna ta, na tle wojny w Gazie, pozostaje, ze swymi okropieństwami, bardziej „humanitarnym" konfliktem od poczynań „najbardziej humanitarnej armii świata" w Palestynie, cytując słowa ambasadora Izraela. Innymi słowy: tzw. opinia publiczna nie zdaje sobie sprawy, w jakie piekło może się ta wojna jeszcze przerodzić.

Po drugie, abstrahując od nieznanej przyszłości, teraźniejsze fakty potwierdzają, że nadal tkwimy w logice eskalacyjnej. Naprawdę bardzo mało poświęcono uwagi faktowi wspólnych ćwiczeń chińsko-białoruskich tuż za naszą granicą, gdy tymczasem ich znaczenie jest porażające: po dwóch i pół roku wojny Chiny gotowe są bronić Białorusi, być może także zluzować tamtejsze rosyjskie jednostki celem zwiększenia możliwości operacyjnych sił Federacji Rosyjskiej, a w każdym razie dają NATO jak najjaśniej do zrozumienia, że nie pozostałyby obojętne w przypadku rozlania się wojny ukraińskiej. W tej optyce gen. Skrzypczak mógłby sobie dowolnie galopować do Królewca, a w rzeczywistości prędzej ujrzałby pancerne siły białorusko-chińskie na Alejach Jerozolimskich w Warszawie. Ma się rozumieć, podobny sygnał ze strony Chin jest elementem stabilizacyjnym, ale trzeba właśnie stanowczo podkreślić, że jest on wynikiem eskalacji: otóż mówiono nam, że wspieranie wojny ma odsunąć rosyjski imperializm od naszej granicy, a oto dziś, dwa i pół roku później, wiemy, że po drugiej stronie Bugu równie dobrze mogą stacjonować chińskie kontyngenty.

Po trzecie, logika eskalacyjna bynajmniej nie zniknęła z ust polityków, z Polską na czele, którą, po raz kolejny, hamują nawet same Stany Zjednoczone, jak w przypadku powracających w nieco zmienionej formie pomysłów chronienia ukraińskiego nieba przez polskie siły zbrojne. Podobny zimny prysznic nie przeszkadza jednak szarej eminencji naszej dyplomacji, nad którą Donald Tusk zdaje się nie mieć większej kontroli w nawoływaniu, aby wszystkie kraje zezwoliły na używanie przekazywanej przez nie broni do uderzeń wewnątrz rosyjskiego terytorium, tak jakby nie wiązało się to z działaniami odwetowymi zwiększającymi cierpienia narodu ukraińskiego, tak jakby podobne uderzenia były możliwe bez technicznego wsparcia NATO – to jest: tak jakby nie przybliżały nas do możliwego casus belli.

Po czwarte, wcale nie jest powiedziane, że plany pokojowe Donalda Trumpa dojdą do skutku – nie wiadomo nawet czy, mimo sprzyjających sondaży, powróci on do Białego Domu – a możliwe odwrócenie się Ameryki od tego konfliktu nie oznacza automatycznie, że Europa nie pozostanie z tym problemem sama.

Odnośnie zaś do „pokojowych" deklaracji prezydenta Zełenskiego, po zablokowaniu przez Ukrainę rosyjskich dostaw ropy na Słowację i Węgry przez rurociąg Przyjaźń, równie dobrze można je, delikatnie rzecz ujmując, nazwać mało klarownymi i niespójnymi.

Po piąte, jak słusznie zaznaczył ostatnio gen. Komornicki, i była to alarmująca krytyka, politycy w Polsce w ogóle nie mają planu na wypadek rozpadu państwa ukraińskiego, którego z góry w tej wojnie wykluczyć nie można, a oznaczałby on dla nas poważne turbulencje, od kryzysu humanitarnego na wielką skalę do możliwego dalszego konfliktu zbrojnego, tym razem z naszym udziałem.

POLSKA OBSTAWIA WCIĄŻ WYNISZCZENIE ROSJI

W końcu jest jeszcze najmniej widoczny, a najbardziej decydujący czynnik natury psychologicznej. Historia niejednokrotnie pokazywała, że elity uważające, że panują nad sytuacją, były spektakularnie zmiecione przez podsycane przez nie konflikty. Franciszek Józef i Mikołaj II podpalili Europę na niewyobrażalną do dziś skalę, pożar ten zaś bezpardonowo obrócił ich monarchie w zgliszcza, a powierzone ich władaniu ludy naznaczył cierpieniem i śmiercią.

Francuska lewica, znana jako Front Ludowy, ochoczo, choć potajemnie, ingerowała w wojnę domową w Hiszpanii, zupełnie zaniedbując przygotowanie kraju na potencjalną konfrontację z III Rzeszą w 1940 r. Front Ludowy salwował się ucieczką, głosując przekazanie pełni władzy nad krajem marszałkowi Pétainowi.

Zauważmy przy tym, że podobne hekatomby przytrafiły się ludziom wciąż po części zakorzenionym w rzeczywistości narzucającej pewne prawa i hamulce. Co zaś powiedzieć o ludziach nieuznających w ogóle praw natury? Albowiem nie brak dziś szaleńców, również na poziomie decydentów, dla których obecny świat jest ponoć przejawem opresji (w postaci np. istnienia tylko dwóch płci, wyższości człowieka nad zwierzęciem i światem roślin itd.), a skoro ten rzekomo gruntownie niesprawiedliwy świat nie chce dać się wystarczająco szybko zreformować i naprawić, to równie dobrze można go, w ostateczności, puścić z dymem, bo jako taki nie zasługuje on na istnienie.

Czy trzeba także wspominać, choć brzmi to zupełnie niewiarygodnie, że nie brak wśród podpór izraelskiej prawicy wyznawców kabały, dla których równie dobrze można podpalić świat i zalać go chaosem, byle przyspieszyć nadejście „mesjasza" mającego zaprowadzić pokój i panowanie Izraela nad światem? Czy podobne uwarunkowania również są pod naszą kontrolą eskalacyjną?

Piszę o tych różnych czynnikach, aby wskazać, że Polska, sama z siebie, nie jest na kursie stabilizacji w naszym regionie, zapewniającej nam bezpieczeństwo: mimo zmieniającej się w Warszawie władzy stały obrany przez nas kurs sprowadza się do zakładu obstawiającego wyniszczanie Rosji przez jeszcze większe wyniszczanie Ukrainy, co na razie skutkuje zwiększaniem potencjału bojowego Rosji, zużywaniem zachodnich rezerw różnego rodzaju i, rzeczywiście, wykrwawianiem Ukrainy.

Na tym obranym kursie jest znacznie więcej niewiadomych niż ostoi, choć nie są one zupełnie niewiadome – wiadomo, że niektóre z tych możliwości mają wręcz śmiertelny potencjał, podobnie jak nabój w rosyjskiej ruletce, choć nie wiadomo, czy zostanie on akurat załadowany. Mniejsza o przyczyny upojenia przesłaniającego nam realistyczny ogląd rzeczy: choć nie będzie w tym naszej zasługi, to w naszym interesie jest, aby ktoś, choćby Donald Trump czy Xi Jinping, zabrał nam w końcu tę niebezpieczną zabawkę z ręki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f863a161d9

Z Danielem Lisem, autorem reportaży i redaktorem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Paryż 1924

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Pomimo wojny toczonej w swych granicach Ukraina wystartuje w najbliższych igrzyskach olimpijskich. Polska przed 104 laty – w zbliżonych okolicznościach – zrezygnowała z udziału w imprezie...

DANIEL LIS: W roku 1920 przygotowania do wysłania naszej ekipy na igrzyska w Antwerpii były bardzo zaawansowane. Jeszcze 5 lipca jedna z gazet informowała, że Polskiemu Komitetowi Igrzysk Olimpijskich w zgłaszaniu zawodników pomaga belgijska ambasada i kto z Polaków ma zapewniony start. Wkrótce potem rząd Władysława Grabskiego pożyczył od Komitetu przyznaną na wyjazd subwencję, a pieniądze przeznaczył na udział dyplomatów w konferencji w Spa. Wkrótce niedoszli olimpijczycy podążyli na front. Gdy 14 sierpnia trwała w Belgii ceremonia otwarcia sportowych zmagań pod Warszawą, toczyła się już najważniejsza bitwa wojny polsko-bolszewickiej. Z tego powodu ostatecznie debiutowaliśmy na olimpijskiej arenie dopiero cztery lata później – w Paryżu.

Myśląc o tym dziś, trudno nie mieć skojarzeń z sytuacją Ukrainy. Trzeba jednak pamiętać, że Rosja rozpoczęła aneksję Krymu ponad dekadę temu – w Soczi rozgrywano jeszcze organizowane przez nią igrzyska paraolimpijskie. Dwa lata temu, podczas uroczystej ineuguracji zimowych igrzysk w Pekinie, prezydent MKOl Thomas Bach drżącym głosem apelował do polityków – również Władimira Putina obecnego na trybunach – by dotrzymywali zobowiązań i „dali pokojowi szansę". Rosyjska inwazja na Ukrainę zaczęła się cztery dni po zakończeniu tamtych zawodów.

Przygotowania polskiej reprezentacji do startu w Paryżu (w Chamonix zresztą także) natrafiały na wiele trudności.

PKIO nigdy nie odzyskał pożyczonych przez rząd Grabskiego niemal 50 tys. franków belgijskich. Nie wykorzystał też czterech lat na zbieranie nowych funduszy. Władze sportowe były angażowane do innych zadań, m.in. organizowały mecze piłkarskie na Śląsku przed plebiscytem w 1921 r., by pokazać młodym robotnikom, że nie tylko Niemcy odnoszą sukcesy sportowe. Wojciech Korfanty po wygranej Pogoni Lwów z zespołami Diana Kattowitz (5:0) i Beuthener SuSV (3:2) dziękował piłkarzom za „zyskanie 20 tys. nowych głosów dla wspólnej sprawy".

Zbiórki pieniężne nie przynosiły spodziewanych efektów. Postępował kryzys gospodarczy, rosła inflacja. W grudniu 1922 r. „Przegląd Sportowy" kosztował 560 marek polskich, rok później – 300 tys. marek, w połowie lutego 1924 r. – 1,3 mln. Działacze sportowi nie mieli doświadczenia, musieli improwizować. I byli skłóceni – centralni z lokalnymi, olimpijscy ze związkowymi – a także geograficznie; linie podziałów często przebiegały wzdłuż granic zaborów. W tamtym czasie Polacy przyglądali się sobie i zastanawiali, co jest

eprasa.pl f863a161d9

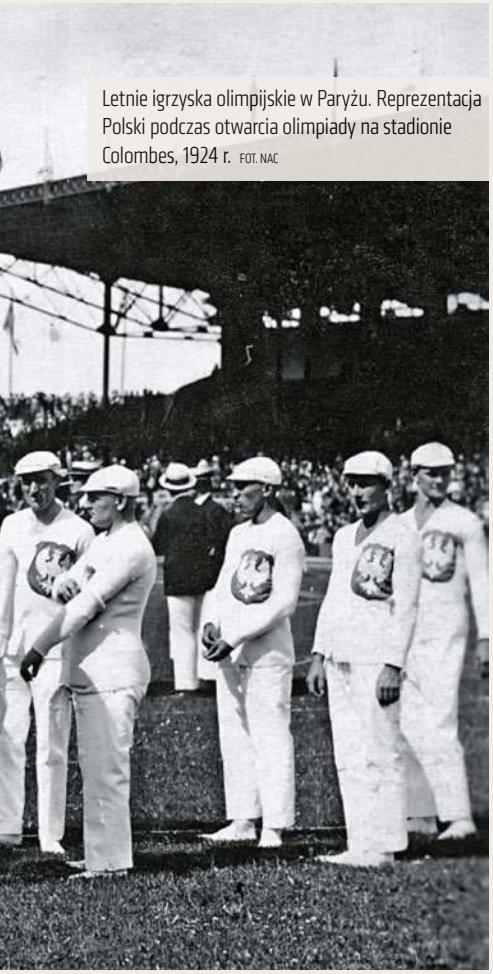

Letnie igrzyska olimpijskie w Paryżu. Reprezentacja Polski podczas otwarcia olimpiady na stadionie Colombes, 1924 r. FOT. NAC

cechą narodową, a co wpływem niewoli. To, że ostatecznie udało się zebrać kapitał na wyjazd do Paryża, wiceprezes PKOl Stanisław Polakiewicz podsumował zdaniem: „Widać, że w naszym charakterze narodowym to już leży: działać sprawnie pod obuchem ostateczności".

Jak (czym) Biało-Czerwoni docierali na miejsce startu i gdzie kwaterowali?

Podróż koleją – przeważnie na twardych ławach trzeciej klasy – zabierała co najmniej dwa, trzy dni. Wiązała się z wieloma przesiadkami, a często również ze spóźnieniami. Polski sztandar w Chamonix niósł Kazimierz Smogorzewski, paryski korespondent „Gazety Warszawskiej" [jedyny polski dziennikarz, który przeprowadził wywiad z Adolfem Hitlerem – zamieszczony na łamach „Gazety Polskiej" 26 stycznia 1935 r. – przyp. T.Z.Z.], ponieważ żaden z zawodników nie dotarł na czas. Panczenista Leon Jucewicz biegł na start prosto z pociągu, po tygodniowej eskapadzie z Estonii, gdzie trenował. Jeźdźcy najpierw jechali na zawody do Lucerny. W Czechosłowacji i Austrii co chwila zatrzymywano ich do kontroli. W Tyrolu mieli wrażenie, że urzędnik skarbowy chowa się za każdym kamieniem. Wiele tych historii udało mi się odtworzyć dzięki barwnym relacjom prasowym.

Sto lat temu postawiono też pierwszą w dziejach wioskę olimpijską. Choć jej standard był niski i na zdjęciach przypomina scenografię taniego westernu, to Polski nie było stać na umieszczenie w niej swych reprezentantów. Tańsze okazały się pomieszczenia historycznej Szkoły Polskiej w paryskiej dzielnicy Batignolles, gdzie sportowcy tłoczyli się po kilkunastu w małych i dusznych klasach, spali na twardych łóżkach, z wypchanymi słomą wałkami zamiast poduszek. Mówiło się wówczas, że Polacy pojechali do nadsekwańskiej metropolii po naukę – dodajmy, że dotyczyło to nie tylko zawodników, lecz także działaczy.

Nasz pierwszy indywidualny medalista olimpijski poznał jeździectwo w Legionach Polskich?

Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, niespełna 20-letni Adam Królikiewicz [dziadek aktora, scenarzysty i pisarza, Cezarego Harasimowicza – przyp. T.Z.Z.] zgłosił się do kawalerii – chociaż sam dosiadał wcześniej jedynie konia na biegunach! Imponowały mu stroje jeźdźców, a jego umiejętności hipicznych nikt nie sprawdził, bo legioniści musieli oddać konie austriackim władzom wojskowym, by nie obciążać transportu, i ze Lwowa przywieźli tylko siodła. Królikiewicz pierwszy raz wsiadł na wierzchowca po niespełna dwóch tygodniach, gdy próbował przeżyć swą pierwszą bitwę. Wspominał, jak potem chodził „okrakiem z lepiącą się do żywego ciała zakrwawioną bielizną". Choć z ułanami Pierwszej Brygady przeszedł całą kampanię wojenną, to po niej nadal uważał się za słabego jeźdźca. To się zmieniło dopiero, kiedy trafił na kurs dla oficerów kawalerii. Długo twierdził, że to jego ukochany koń – Jasiek – uczył go skakania przez przeszkody, a nie odwrotnie.

DANIEL LIS „PIERWSZA DRUŻYNA" AGORA SA 2024

Adama Papée na planszę też skierowała Bellona?

Przeprowadził się ze Lwowa do Krakowa, kiedy jego ojca, Fryderyka, mianowano dyrektorem Biblioteki Jagiellońskiej. Syn profesora był łobuzem: podpalał ogłoszenia w westybulu szkoły, rozlewał cuchnące płyny podczas lekcji, przypinał na tablicy wywieszki z epitetami na profesorów, uczestniczył w burdach w parkach i dzielnicy żydowskiej. Gdy miał 13 lat (był rok 1908), trafił na kurendę o kursie szermierki prowadzonym przez Konrada Winklera, teoretyka sztuki i początkującego malarza. Ojciec uznał, że Adamowi takie zajęcie się przyda. Szesnaście lat później do Paryża pojechali obaj – i Papée, i Winkler.

Premierowy triumfator plebiscytu na najpopularniejszego sportowca kraju mógł wystąpić nie tylko w letnich igrzyskach?

Wacław Kuchar pochodził z wielodzietnej, bardzo usportowionej rodziny. Jego ojciec, Ludwik, był założycielem i sponsorem Pogoni Lwów. Wacław od dziewiątego roku życia ćwiczył gimnastykę, a od 15. występował w piłkarskiej reprezentacji Lwowa. Posmakował lekkoatletyki, latem grał w tenisa, zimą w tenisa stołowego, pływał, boksował, uprawiał narciarstwo, a nawet łyżwiarstwo figurowe. Na pierwsze igrzyska zimowe w Chamonix (1924 r.) miał jechać jako panczenista, jednak z powodu biurokracji nie udało mu się tam dotrzeć. Odnalazłem szczegółową relację Kuchara z tamtych dni i dziś powiedzielibyśmy, że był niczym bohater Kafkowski, co jest o tyle ciekawe, że działo się to w ostatnich miesiącach życia Franza Kafki, gdy jego powieści jeszcze nie znano. Postrzegam igrzyska nie tylko poprzez sport. Widzę w nich też wydarzenie polityczne i społeczne – spotkania ludzi z różnych kultur odzwierciedlają epokę. Sytuacja Kuchara dobrze to oddaje. Sam pojechał do Paryża jako zawodnik futbolowej – jak wtedy mówiono – „reprezentatywki".

Za występ w Paryżu najbardziej oberwało się właśnie polskim futbolistom?

Krytykowano ich jeszcze, zanim wyjechali z Krakowa. Gdy wracali ze Sztokholmu i Paryża, pojawiały się

eprasa.pl f863a161d9

podsumowania typu: „trzy mecze – trzy klęski – stosunek bramek 17:2 na naszą niekorzyść – oto krótki bilans obecnego tournée polskiej drużyny". To zestawienie liczb robi wrażenie, lecz staram się patrzeć na graczy nie tylko przez pryzmat ich wyników w konkretnych spotkaniach, lecz także całych biografii. A te są poruszające, bo w losach piłkarzy odbija się wcześniejsza i późniejsza historia: ktoś przeżyje Auschwitz, ktoś zginie w lwowskim getcie, ktoś inny – w Katyniu.

Wydaje mi się, że najmocniejsze ciosy – przynajmniej od korespondentów – otrzymali jednak nie piłkarze, ale bokserzy.

Z czego wynikały niepowodzenia reprezentantów na ringu, strzelnicy czy torze wioślarskim?

Wpłynęły na to rozmaite czynniki, chociaż dominował brak doświadczenia. Lekkoatletów zjadła trema, osiągali gorsze rezultaty niż w kraju. Paryskie igrzyska dla wielu stanowiły debiut w międzynarodowej imprezie sportowej. To spotkało szermierzy, którzy szybko przegrali, niemniej byli zachwyceni tym, jak wielką wiedzę zdobyli, i odgrażali się w prasie, że z niej skorzystają (i tak się stało – osiem lat później, w Amsterdamie, zdobyli medale).

Strzelcy byli utalentowani, lecz już wtedy na zawodach używano specjalistycznej broni, a Polacy pojechali z arsenałem pochodzącym z magazynów wojskowych. Godzinę przed finalnym startem Marian Borzemski za ostatnie franki kupił nowy amerykański pistolet i celność strzałów znacznie poprawił.

Wioślarze pojechali bez własnej łódki, ale był to czas, gdy nawet polskie kluby nie miały jak ze sobą rywalizować – przewożenie łodzi koleją było zbyt kosztowne.

Bokser Tomasz Konarzewski wspominał, że w stolicy Francji stoczył zaledwie czwartą walkę w życiu i dopiero tam dowiedział się, co to znaczy lewy prosty. Sekundował mu kolarz Franciszek Szymczyk, którego rady ograniczały się do powtarzania: „Koteczku, bij mocno!".

Wanda Dubieńska, córka premiera II RP Juliana Nowaka, zmieniła sportową specjalizację?

Pierwsza polska olimpijka była wszechstronną sportsmenką. Do Antwerpii miała pojechać jako tenisistka, jeszcze przed pierwszą wojną wywalczyła mistrzostwo Krakowa i Galicji w tej dyscyplinie. Ponadto pływała, jeździła konno, na łyżwach i nartach. Do Paryża przybyła jako florecistka, ową konkurencję poznała, gdy była nastolatką. Kobiety nie miały wtedy wielu dyscyplin do wyboru, a na łamach prasy toczyły się dramatyczne dyskusje pod hasłem: „Czy kobiecy sport jest estetyczny?". Pierre de Coubertin, twórca nowożytnych igrzysk, był przeciwnikiem dopuszczenia do udziału w nich pań, a jego poglądy na tę sprawę niespecjalnie ewoluowały. Niektóre wypowiedzi barona czyta się dziś z zakłopotaniem.

Personaliów Edwarda Bryzemejstra próżno szukać w encyklopedii żeglarstwa...

Jedynie w teorii wszyscy olimpijczycy zapisują się w historii. Zależało mi, żeby odkurzyć tych zapomnianych. Bryzemejster zostawił po sobie ciekawe wspomnienia, pokazujące, że problemy organizacyjne zdarzają się wszędzie. Dobre wyniki osiągnęli zapaśnicy Wacław Okulicz-Kozaryn i Leon Rękawek, jednak ich występy marginalizowano, gdyż dyscypliny uprawiane częściej przez robotników i rzemieślników niż inteligentów traktowano z pobłażaniem. O Okuliczu przynajmniej pisano, że jako policjant był „postrachem dla szumowin i wyrostków nadwiślańskich", ale o Rękawku nie wiadomo dziś prawie nic.

Wicemistrzostwo naszego kwartetu kolarskiego wzbudziło sensację?

Szczególnie informacja o pokonaniu w półfinale Francuzów. To był ostatni dzień igrzysk. Na stadionie w Colombes trwały zawody jeździeckie w skokach przez przeszkody. Podobno, gdy przed megafony ogłoszono, że do finału zmagań cyklistów wchodzą Polacy, a nie gospodarze, na trybunach zaległa cisza. W porównaniu z Polską Francja była kolarskim eldorado, co drugi robotnik jeździł tam rowerem do fabryki. W Polsce stawiano bardziej na jeźdźców, którzy mieli już na dorobku międzynarodowe trofea, lecz – poza Królikiewiczem – na paryskich igrzyskach nie odnieśli sukcesów. Dopiero po igrzyskach kolarze byli stawiani za wzór jako ci, „co najmniej hałasu robili przed wyjazdem, ale za to może najsumienniej i najsolidniej się szykowali do walki".

Kilku naszych sprinterów sprzed stulecia – konkurujących z bohaterami sportretowanymi potem w sławnym filmie „Rydwany ognia", okraszonym muzyką Vangelisa – trafiło za metą do mediów.

I w prasie sportowej robili też wiele dla promowania idei olimpijskiej w Polsce, np. Zygmunt Weiss czy Aleksander Szenajch. Z kolei Władysław Dobrowolski [ojciec aktora i satyryka Jerzego Dobrowolskiego – przyp. T.Z.Z.] w 1933 r. nagrał „Kurs gimnastyki dla zdrowia i zachowania linii metodą płyt gramofonowych Syrena-Electro", zalecany przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. To zestaw ćwiczeń z komendami i odliczaniem instruktora, w tle orkiestra gra marsze, polonezy i walczyki. Czterdzieści lat później Jane Fonda promowała tak aerobik. Tyle że przy pomocy kaset wideo.

Paryż 1924 przykuwał uwagę prasy II RP?

Owszem. Gdy pisałem swoją poprzednią książkę, „Stulecie przeszkód", skupiałem się na wybranych zawodnikach i igrzyskach na przestrzeni stulecia. Ciekawie było obserwować następujące zmiany. W Berlinie (1936 r.) nie trzeba było już długo czekać na obszerne relacje z zawodów. W Monachium w roku 1972 telewizja śledziła każdy ruch sportowców, zarówno w trakcie zawodów, jak i zamachu terrorystycznego na ekipę Izraela. W Atlancie w 1996 r. Internet stanowił nowinkę, a w pandemicznym Tokio (2021 r.) każdy olimpijczyk mógł zamienić się w dziennikarza, ujawniając kulisy imprezy poprzez media społecznościowe.

Gdy jesienią 1919 r. powołano Polski Komitet Igrzysk Olimpijskich, wiele gazet nie miało nawet działu sportowego. W 1924 r. sytuacja zmieniła się diametralnie. Wagę wydarzenia podkreślało to, że obecność Polski na igrzyskach miała pokazać, iż nasz kraj znów istnieje. I w odróżnieniu choćby od Związku Sowieckiego, gdzie w tamtym czasie drwiono z burżuazyjnego święta sportu, jest częścią cywilizowanego świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Daniel Lis – redaktor książek non-fiction, absolwent Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Opublikował książki: „Jakoś to będzie. Szczęście po polsku" (współautorstwo), „Stulecie przeszkód. Polacy na igrzyskach" oraz najnowszą: „Pierwsza drużyna".

eprasa.pl f863a161d9

DODATEK SPECJALNY

80. rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego

FOT. ARCH. STACHIEWICZA/AAN

PARTNER DODATKU:

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Powstańczy bój o wolną Polskę

dr Karol Nawrocki
prezes Instytutu Pamięci Narodowej

Przesłanie akcji „Burza", a potem Powstania Warszawskiego było jasne: Polacy chcą sami stanowić o sobie i nie godzą się na zastąpienie jednej niewoli inną

Elżbieta Redkowiak „Ela" dobrze zapamiętała to sierpniowe popołudnie. „Słychać było strzały i ta radość, że już się zaczęło, że jesteśmy w wolnej Polsce" – mówiła po latach. „Pamiętam, że na trzecim piętrze w kamienicy ktoś powiesił białego orła. Naturalnie wszyscy zaczęli klaskać" – wspominała.

Tamtego 1 sierpnia 1944 r. 19-letnia Redkowiak zameldowała się na zbiórce przy ul. Złotej. W rozpoczynającym się Powstaniu Warszawskim brała udział jako sanitariuszka. Takich jak ona, świeżo po maturze, w wyznaczonych punktach stawiło się wówczas wielu. „Młodzież […] się rwała do walki" – przyznawała potem „Ela".

Nie tylko młodzież z nadzieją czekała na ten dzień. Choć w roku 1939 Wojsko Polskie nie było w stanie przeciwstawić się podwójnej napaści – najpierw Niemców, a później również Sowietów – nasi rodacy nigdy nie pogodzili się z utratą państwowości. Już 27 września 1939 r., gdy jeszcze broniła się Warszawa, powstała konspiracyjna Służba Zwycięstwu Polski – „z zadaniem prowadzenia dalszej walki o utrzymanie niepodległości i całości granic". Dzieło SZP przejął wkrótce Związek Walki Zbrojnej, przemianowany w lutym 1942 r. w Armię Krajową.

Doktor Karol Nawrocki, prezes Instytutu Pamięci Narodowej
FOT. MIKOŁAJ BUJAK

Wysiłki Polskiego Państwa Podziemnego – fenomenu w okupowanej Europie – zmierzały do przygotowania powstania powszechnego. Miało ono wybuchnąć w chwili załamania potęgi Rzeszy. Jednak w roku 1943, po klęskach Wehrmachtu pod Stalingradem i Kurskiem, coraz bardziej realny stawał się scenariusz, że okupację niemiecką zastąpi wejście na ziemie polskie Sowietów – tych samych, którzy jeszcze kilka lat wcześniej sprzymierzyli się z Adolfem Hitlerem, zagarnęli połowę terytorium RP i rozpętali tam ludobójczy terror.

W tych warunkach dowódca AK gen. Tadeusz Komorowski „Bór" wydał 20 listopada 1943 r. rozkaz o rozpoczęciu akcji „Burza". Jej plan zakładał podejmowanie walki z wycofującymi się Niemcami i ujawnianie się wobec wkraczających Sowietów, by w ten sposób zamanifestować suwerenne prawa Rzeczypospolitej.

„Burza" rozpoczęła się na początku 1944 r. na Wołyniu, gdzie przeciwko Niemcom dzielnie walczyła tamtejsza 27. Dywizja Piechoty AK. W lipcu, w ramach operacji „Ostra Brama", Armia Krajowa wespół z Sowietami zdobyła Wilno. Jeszcze w tym samym miesiącu oswobodzony z niemieckich rąk został Lwów. Wszędzie jednak rozgrywał się podobny scenariusz: Sowieci szybko zdejmowali biało-czerwone flagi i rozbrajali oddziały AK. Wielu oficerów zostało uwięzionych, a szeregowych żołnierzy przymusowo wcielano do komunistycznej Armii Berlinga.

Powstanie Warszawskie było ostatnią dramatyczną próbą odzyskania polskiej suwerenności. Planowane na kilka dni zakończyło się militarną porażką po przeszło dwóch miesiącach heroicznej walki – prowadzonej przy bierności Sowietów i tylko symbolicznym wsparciu zachodnich aliantów. Mimo wielkich ofiar i zburzenia przez Niemców dumnego miasta pamięć o tym bohaterskim zrywie do dziś promieniuje na całą Polskę.

Osiemdziesiąt lat od wybuchu Powstania Warszawskiego wciąż jeszcze możemy się spotykać z jego uczestnikami i słuchać ich świadectw. Gdy w Godzinę „W" znów zawyją syreny, oddajmy hołd tym, którzy stanęli do walki o wolną Polskę.

eprasa.pl f863a161d9

Rząd Stanisława Mikołajczyka bez większych sukcesów zabiegał o realną pomoc dla walczącej Warszawy

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Powstanie Warszawskie w polityce mocarstw

dr Robert Spałek (Oddziałowe Biuro Badań Historycznych IPN w Warszawie)

Powstanie Warszawskie wybuchło bez porozumienia z sojusznikami zachodnimi, mimo to polska strona liczyła, że premier brytyjski Winston Churchill i prezydent USA Franklin D. Roosevelt wesprą powstańców pomocą wojskową, a dodatkowo nakłonią do niej sowieckiego przywódcę – Józefa Stalina. Tymczasem dla mocarstw anglosaskich Rzeczpospolita była w tym momencie już tylko słabym i uciążliwym petentem, skłóconym ze Związkiem Sowieckim, czyli z najważniejszym sprzymierzeńcem świata antyfaszystowskiego, zarazem państwem, które brało na siebie główny ciężar walki z Niemcami

Jak dalece różny był stosunek polskich i zachodnich elit politycznych do reżimu bolszewickiego, świadczyło zachowanie Churchilla, gotowego machnąć ręką na sowiecki mord na Polakach w Katyniu. Brytyjczyk tłumaczył: „Na wojnie wszystko się zdarza". I na początku 1944 r. oznajmił polskiemu premierowi Stanisławowi Mikołajczykowi, że Polacy muszą porozumieć się z Sowietami, bo bez tego nie mogą liczyć na pomoc wyspiarzy w jakiejkolwiek sprawie.

Pod koniec lipca ambasador Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie powiadomił brytyjskiego ministra spraw

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl f863a161d9

zagranicznych o prawdopodobnym rychłym wybuchu walk w Warszawie, dlatego prosił o wysłanie tam brygady spadochronowej, przeprowadzenie lotniczych zrzutów broni i amunicji oraz zbombardowanie lotnisk niemieckich rozlokowanych wokół stolicy. Odpowiedź na tę prośbę brzmiała: „Rząd Jego Królewskiej Mości nie może nic zrobić". Co gorsza, Polacy zaczęli oszukiwać samych siebie. Do kraju wysłano depeszę wprowadzającą w błąd dowództwo AK, z której wynikało, że brytyjska pomoc dla powstańców będzie możliwa.

Mikołajczyk poleciał z Londynu do Moskwy i 3 sierpnia rozmawiał ze Stalinem. Próbował m.in. uzgodnić zasady współdziałania między AK a Armią Czerwoną, która – jak się wydawało – miała niebawem zająć Warszawę. Dyplomaci

Churchill 4 sierpnia poinformował Stalina, że lotnictwo brytyjskie dokona zrzutów nad Warszawą

amerykańcy i angielscy naciskali, by negocjując, przyjął wszystkie warunki i żądania Moskwy, co w praktyce sprowadzałoby się do ustąpienia prawomocnego Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie i oddania władzy w ręce ludzi wyznaczonych przez Stalina.

Churchill postanowił naciskać Sowietów i 4 sierpnia poinformował przywódcę ZSRS, że lotnictwo brytyjskie dokona zrzutów zaopatrzeniowych nad Warszawą. Nazajutrz w depeszy zwrotnej Stalin studził jego zapał, radził, by nie ulegać optymistycznym interpretacjom rzeczywistości, bo Polacy przesadzają i nie mają czym walczyć. „Nie mają oni ani artylerii, ani lotnictwa, ani czołgów" – pisał – gdy tymczasem „Niemcy wystawili cztery dywizje pancerne".

Kilka dni później sowiecki dyktator zapowiedział Mikołajczykowi, że ewentualna pomoc ze strony Moskwy dla walczących nastąpiłaby wówczas, gdyby udało się uzgodnić techniczne zasady współpracy między powstańcami a dowództwem frontu Armii Czerwonej. Niezrażony pokrętną dyplomacją moskiewską polski premier zaszarżował i zdawkową odpowiedź Stalina przedstawił w prasie jako obietnicę przyrzeczoną Polakom, po czym z takim pozytywnym przekazem wrócił do Londynu. Wkrótce jednak, 12 i 13 sierpnia, moskiewskie radio i tamtejsza prasa nadały komunikat, z którego wynikało, że Polacy nie poczynili żadnych prób, aby „zawczasu powiadomić i uzgodnić z dowództwem sowieckim jakiekolwiek wystąpienia w Warszawie", dlatego – jak oświadczano – wszelkie pretensje zachodnich sojuszników wobec ZSRS o nieudzielenie pomocy AK są „nieporozumieniem lub oszczerstwem".

MYŚLENIE ŻYCZENIOWE

Z walczącej i krwawiącej Warszawy napływały do polskiego rządu coraz bardziej stanowcze komunikaty, w których żądano efektywnej pomocy dla kraju. Było to pokłosiem myślenia życzeniowego. Po pierwsze, uwierzono, że polskie władze w Anglii mają bezpośredni wpływ na sytuację międzynarodową, a po drugie, że Churchill pozostaje samo-

eprasa.pl f863a161d9

Załoga B-24 Liberatora z 1586. Eskadry Specjalnego Przeznaczenia po powrocie z lotu ze zrzutami dla Warszawy

FOT. DOMENA PUBLICZNA

dzielny i sprawczy oraz że chce i może dyrygować Stalinem i Rooseveltem. Nic z tych rzeczy. Ambasador brytyjski przy rządzie polskim opowiadał: „Polakom jest niezwykle trudno pojąć trudności, z jakimi borykamy się, i nie mogą wybić sobie z głowy przekonania, że […] wystarczy, żeby tylko [Wielka Brytania] przycisnęła Stalina, a dostanie, co zechce".

Mimo to nadal próbowano. Najpierw sztab brytyjski poinformował Sowietów, że sam nie da rady pomóc walczącym Polakom, prosi więc o spełnienie ich prośby, a następnie ambasador brytyjski z podobnie bezskutecznym apelem zwrócił się do sowieckiego ministerstwa spraw zagranicznych (według komunistycznej nomenklatury: do ludowego komisariatu spraw zagranicznych). Wreszcie 14 sierpnia ambasador USA w ZSRS William A. Harriman wystąpił do tegoż ministerstwa z propozycją współdziałania mającego polegać na przygotowaniu lotów wahadłowych, w których to samoloty sprzymierzonych miałyby dokonywać zrzutów broni i zaopatrzenia nad Warszawą, po czym lądować na przygranicznych terenach ZSRS, gdzie dokonywano by przeglądu technicznego maszyn, tankowano paliwo, pobierano

Z walczącej i krwawiącej Warszawy napływały do polskiego rządu coraz bardziej stanowcze komunikaty

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl f863a161d9

ładunki bombowe, a następnie wykonywano lot powrotny. Dzień później Harriman razem z ambasadorem brytyjskim Archibaldem C. Kerrem zostali przyjęci przez sowieckiego wiceministra spraw zagranicznych i usłyszeli, że nie dostaną zgody na loty wahadłowe.

Zaniepokojony Mikołajczyk wysłał depeszę do Stalina i tym razem otrzymał już jednoznacznie odmowną odpowiedź. Stalin 16 sierpnia przesłał też kilka słów Churchillowi. Powstanie nazwał „awanturą warszawską" i odciął się od jakiegokolwiek jej wsparcia. Następnego dnia rząd sowiecki powiadomił Amerykanów, że mogą co prawda prowadzić własną akcję pomocową dla walczącego miasta, ale po wykonanych zrzutach nie dostaną zezwolenia na międzylądowanie na terytorium ZSRS – nawet w przypadku uszkodzenia samolotów.

Mocarstwa popadły w konflikt wewnętrzny. Roosevelt i Churchill we wspólnie nadanej depeszy próbowali pouczać Stalina, że jego obstrukcja wywoła oburzenie międzynarodowej opinii publicznej. Ta argumentacja mogła tylko ubawić dyktatora ludobójcę, który pozostał nią niewzruszony. W konsekwencji na początku września brytyjski premier rozważał możliwość wstrzymania pomocy morskiej dla ZSRS, ale ostatecznie skończyło się na rozważaniach. Stalinowi przesłał zaś strofującą go, oficjalną uchwałę brytyjskiego gabinetu wojennego: „Działalność Pańskiego Rządu […] wydaje się nam być w niezgodzie z duchem współpracy aliantów".

Powstanie trwało dłużej, niż ktokolwiek początkowo przypuszczał, a Niemcy, choć mogli, nie stłumili go. Fakt, że miasto krwawiło, okazał się dla Sowietów korzystny, gdyż uważali Warszawę za centrum polskiego antykomunizmu. Co istotne, także Niemcom opłacał się ten przestój, bo – jak mylnie sądzili – prowadził on do uwiązania Armii Czerwonej na tym odcinku frontu.

Przywódca ZSRS zmienił postępowanie w drugiej dekadzie września. Czerwonoarmiści nagle zaczęli wspierać powstańców zrzutami broni i żywności, a także osłoną lotniczą, ponadto zajęli warszawską Pragę. Podległe im dywizje polskie dowodzone przez ppłk. Zygmunta Berlinga (mianowanego przez Sowietów generałem) podjęły nieudane, okupione krwią próby utworzenia przyczółków na lewym brzegu Wisły i wsparcia powstańców.

Decyzja Stalina o zarzuceniu ofensywy na stolicę Polski nie była aktem jednorazowym, ale procesem. Przywódca ZSRS obawiał się kompromitacji politycznej w wypadku nieudanego osadzenia w Warszawie prosowieckiego quasi-rządu, czyli Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, sformowanego w rzeczywistości w Moskwie. Warszawa liczyła w 1944 r. blisko milion mieszkańców, była siedzibą dowództwa AK i – jak zauważył autor monografii „Kto wydał wyrok na miasto" Andrzej Leon Sowa – nawet stalinowski aparat represji (NKWD) nie był w stanie zapewnić swojego przywódcy, że nie dojdzie w niej do zamachu na rząd uzurpatorów. A to byłoby duże propagandowe niepowodzenie Stalina, który usilnie przekonywał Churchilla i Roosevelta, że AK i rząd polski nie stanowią faktycznej siły politycznej w swoim okupowanym kraju.

Rozsądniejsze okazało się więc zakotwiczenie PKWN w Lublinie i czekanie na rozwój wypadków. Dlatego jeszcze 21 lipca, czyli półtora tygodnia przed wybuchem powstania, Stalin nakazał przegrupować marsz. Konstantemu Rokossowskiemu wojska i zamiast na Siedlce, leżące na drodze do stolicy, skierować podstawową sowiecką siłę uderzeniową (siły pancerne) w kierunku Lublina.

Końcowy akt procesu został dopełniony 20 sierpnia. Stalinowcy zmienili plany generalne, wybrali nowe, aktualnie istotniejsze dla przebiegu wojny cele strategiczne i skierowali się na południe, rozpoczynając w ten sposób operację przejęcia pól naftowych i opanowania Rumunii w celu przeciągnięcia jej na stronę antyhitlerowską (co nastąpiło 24 sierpnia).

POŁOWICZNE SUKCESY

Podsumowując, polska polityka międzynarodowa i dyplomacja poniosły przy okazji powstania wiele porażek. Względne osiągnięcia wyrastały bezpośrednio z przewyższających je klęsk. Rząd Rzeczypospolitej z częściowym powodzeniem zabiegał o uznanie żołnierzy AK przez amerykańskich i angielskich sojuszników za kombatantów reprezentujących Siły Zbrojne RP, co ostatecznie doprowadziło 3 września do wydania przez rzecznika niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych oświadczenia o uznaniu osób walczących w Warszawie za jeńców wojennych, którym przysługują takie prawa, jak gwarantowane przez konwencje międzynarodowe żołnierzom regularnych armii. W innym wypadku jeńcy byliby traktowani niczym bandyci. Sowieci nie uznali sojuszniczych ustaleń w tej sprawie i tak właśnie – jak do bandytów – odnosili się do żołnierzy AK. Inna rzecz, że deklaracja niemieckiego ministerstwa też miała charakter selektywny i w stosowanej przez Niemców praktyce prawom kombatanckim podlegali tylko powstańcy (wyłączono z niej żołnierzy AK z pozostałych terenów).

16 sierpnia Stalin przesłał kilka słów Churchillowi. Powstanie nazwał „awanturą warszawską" i odciął się od jakiegokolwiek jej wsparcia

Połowiczny był też sukces powietrznego wsparcia Warszawy. Z istniejących zestawień wynika, że w sierpniu i we wrześniu wystartowało do przeprowadzenia zrzutów 170 samolotów z Włoch oraz jednorazowo (18 września) 110 z południowo-wschodniej Anglii (w ramach jednodniowej akcji 8. Armii Powietrznej USA). Razem zrzucono od ok. 200 do ponad 230 ton broni i zaopatrzenia, z czego powstańcy mieli odebrać między 50 a 90 ton (a więc w najlepszym, ale mało prawdopodobnym wypadku odebraliby ok. 45 proc. zrzutów). Za zaginionych uznano 147 lotników, w tym 59 z Polskich Sił Powietrznych. Straty wyniosły 30 samolotów, z czego 11 z polskiej eskadry.

Liczba lotów sowieckich pozostaje nieznana, przyjmuje się najczęściej, że samoloty Polikarpow zrzuciły ok. 150 ton zaopatrzenia, w tym 100 ton razowych sucharów, kaszy jaglanej, białego tłuszczu i amerykańskich konserw. Pakunki zawinięte w jutowe worki były pozbawione spadochronów, przez co ich część ulegała zniszczeniu przy uderzeniu z ziemią.

eprasa.pl f863a161d9

Kobiety Powstania Warszawskiego

– ciche bohaterki walki o wolność

Od prawej: Julia Doktorowicz Hrebnicka i Rysia Lutostańska – łączniczki „Radosława" FOT. ZBIORY RODZINNE

Magdalena Poręba
(Oddziałowe Biuro Edukacji Narodowej IPN w Warszawie)

[...] Najczęściej pisze się o walkach, barykadach, strzelaniu, odwadze, ale rzadko mówi się, że powstanie, że w ogóle wojna to ciężka praca. Nieraz nudna, nieraz męcząca praca, która zwala z nóg. To moje zatrzymanie się na powstaniu. Na całe życie. Wewnętrzne zatrzymanie się na tym najważniejszym, najpiękniejszym i najbardziej doniosłym okresie w moim życiu. Już nigdy nic nie będzie takie. To jest coś niepowtarzalnego i nieporównywalnego z niczym innym, co było potem [...]. ***Teresa Sułowska-Bojarska***

Kobiety szły do powstania, zostawiając za sobą dotychczasowe życie, często pod innym nazwiskiem, a imię zastępując pseudonimem. Pozostawiały w domach rodziny, dzieci – nie wiedząc, czy jeszcze kiedyś je zobaczą albo czy ich dom przetrwa najbliższą noc. Większość z nich miała po kilkanaście lat, więc ryzykowały to, co miały najcenniejsze – własną przyszłość. Czy w kraju pod okupacją, gdzie śmierć czaiła się na każdym rogu ulicy, czekała je jakakolwiek przyszłość?

ŁĄCZNICZKI SPOZA STOLICY

Wiele z walczących w Powstaniu Warszawskim kobiet było przyjezdnych, w stolicy znalazły się w wyniku przypadku lub konieczności. Taka była historia Marii Przytuły, która przed wybuchem wojny mieszkała razem z rodzicami i dwojgiem rodzeństwa w Kaliszu. Wraz z niemiecką okupacją rodzina

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl f863a161d9

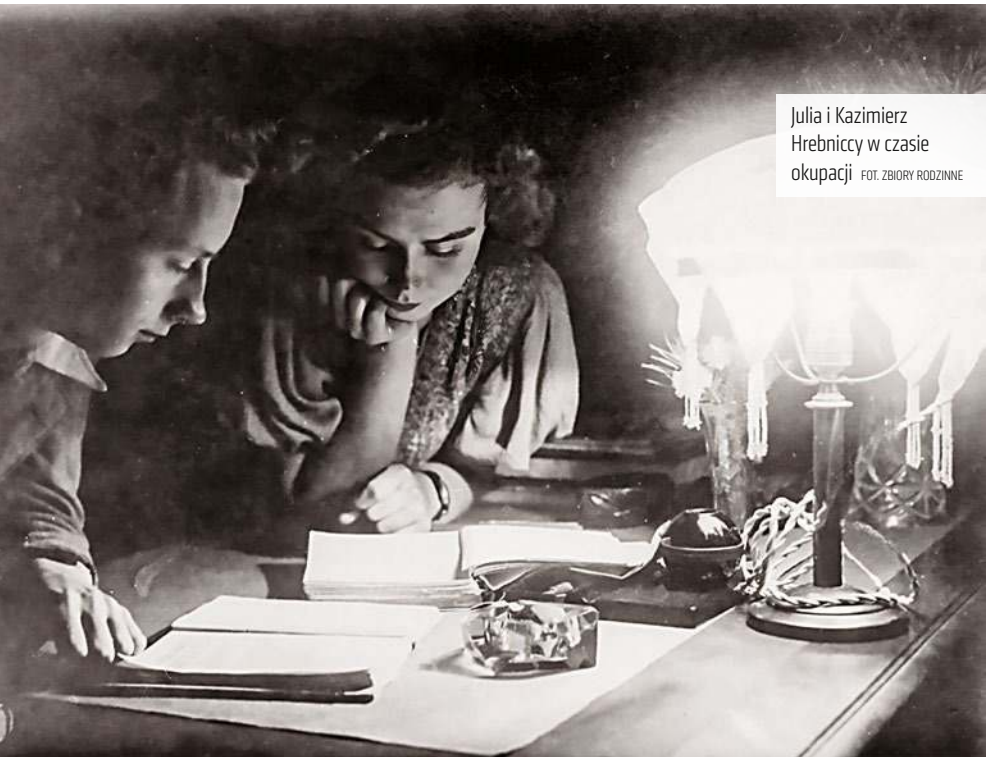

Julia i Kazimierz Hrebniccy w czasie okupacji FOT. ZBIORY RODZINNE

Przytułów w wyniku eksmisji straciła mieszkanie. Nie mając się gdzie podziać, przyjechali do Warszawy, aby się zatrzymać u dalszych krewnych.

W szkole Maria zaangażowała się w działalność konspiracyjną w Narodowych Siłach Zbrojnych. Matka Marii wiedziała o poczynaniach córki, jednak nie zdecydowała się ingerować. Na decyzję dziewczyny wpływ zapewne mógł mieć jej ojciec – weteran Legionów i wojny polsko-bolszewickiej.

Poza Warszawą urodziła się również Julia Doktorowicz-Hrebnicka. Los do Warszawy sprowadził ją z daleka, bo aż z Petersburga. Ojciec Julii, z wykształcenia geolog, prowadził badania na północnych terenach Rosji. Poza Julią Hrebniccy mieli jeszcze troje dzieci. Po wybuchu drugiej wojny światowej Julia szybko zaangażowała się w działalność konspiracyjną, najpierw jako kolporterka prasy podziemnej. Następnie odbyła szkolenie w zakresie obsługi materiałów wybuchowych oraz odczytywania map.

Obie walczyły w powstaniu. Julia miała wtedy 29, a Maria 21 lat. Maria służyła pod nazwiskiem Woroniecka i posługiwała się pseudonimami Maryna albo Marysia. Pełniła funkcję łączniczki bojowej i sanitariuszki w kolumnie Motorowej „Wydra" Grupy Bojowej „Krybar". Uczestniczyła w ataku na Uniwersytet Warszawski, prawdopodobnie jako łączniczka przechodziła kanałami. Na jednym z ocalałych zdjęć pozuje wraz z oddziałem, trzymając zdobyczny karabin maszynowy.

Julia Doktorowicz-Hrebnicka FOT. ZBIORY RODZINNE

Część uczestniczek Powstania Warszawskiego angażowała się w walkę z najeźdźcą całymi rodzinami, ale zdarzały się też takie, które na przekór prośbom i zakazom uciekały z domu, aby walczyć

Julia, w powstaniu „Elżbieta", została przydzielona do Zgrupowania „Radosław" jako łączniczka sztabowa. Jej zadanie polegało na utrzymywaniu łączności między dowódcą a jego żołnierzami walczącymi na pierwszej linii. Ranna przebywała w szpitalu na Starówce, w którym już pozostała mimo ewakuacji, żeby zaopiekować się ciężko rannymi. Uniknęła śmierci z rąk niemieckich, gdyż przebywający w szpitalu ranni żołnierze Wehrmachtu zaświadczyli o dobrej opiece medycznej. Ponownie została ranna w wyniku wybuchu bomby, który spowodował zawalenie się stropu budynku.

Przeżyły powstanie, przeżyły wojnę. Jedna pozostała w kraju, druga na obczyźnie. Obydwie zostały odznaczone Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari. Maria po upadku powstania przebywała w niemieckich obozach jenieckich. Po wyzwoleniu pozostała na Zachodzie, najpierw w Anglii, potem w Afryce Północnej, by ostatecznie po licznych podróżach, w czasie których mocno angażowała się społecznie, osiedlić się w Stanach Zjednoczonych. Do ojczyzny nie wróciła, chociaż bardzo chciała. Marzyła o powrocie do wolnego kraju. Zmarła w 1989 r.

Julia w wyniku odniesionych ran straciła stopę. Po upadku powstania została ewakuowana z ciężko rannymi do Pruszkowa. Po zakończeniu wojny zaangażowała się w pracę zawodową w Państwowym Instytucie Geologicznym. Zmarła w Warszawie w 1970 r., również nie doczekawszy ujrzenia ojczyzny, o jaką walczyła.

PRZECIW STEREOTYPOM

Podobnych historii było wiele. Niektóre z uczestniczek były znacznie młodsze. Inne bardziej doświadczone. Część z nich angażowała się w walkę z najeźdźcą całymi rodzinami, ale zdarzały się też takie, które na przekór prośbom i zakazom uciekały z domu, aby walczyć. Wiele kobiet przynajmniej częściowo zostało przysposobionych do pracy w sanitariacie lub łączności, ale zdarzały się sytuacje, w których nieprzeszkolone ochotniczki dołączały najczęściej do prac

eprasa.pl f863a161d9

gospodarczych. Wiele nazwisk zapisało się na kartach historii, niestety pozostały również takie, których nigdy nie uda się poznać.

Mimo poniesionego przez kobiety ogromnego wysiłku wojennego w świadomości społecznej panuje przekonanie, że wojna pozostaje domeną mężczyzn. To panowie przywdziewają mundury i z bronią w ręku udają się na front. Kobieta w oczach wielu na zawsze pozostanie zbyt wątła i krucha, niepasująca do obrazu wojennej zawieruchy. Te głęboko zakorzenione stereotypy w żadnej mierze nie oddają jednak rzeczywistości.

Kobiety uczestniczyły w całokształcie walki wyzwoleńczej, tworząc samodzielne organizacje i oddziały wojskowe walczące zbrojnie na barykadach i funkcjonujące zwłaszcza na zapleczu, gdyż skutki konfliktu uderzały przede wszystkim w ludność cywilną. Tworzyły infrastrukturę Polskiego Państwa Podziemnego, kształtowały postawy patriotyczne w swoich rodzinach, dźwigały na swoich barkach ciężar codziennej egzystencji, wychowując przyszłe pokolenie Polaków, biorąc przy tym nierzadko czynny udział w walce z okupantem.

Wiele młodych harcerek zginęło w patrolach zbierających rannych z pola walki lub jako sanitariuszki w szpitalach i punktach ratowniczych, podczas odgruzowywania zasypanych, w patrolach łączności przenoszących rozkazy i meldunki

Warto zauważyć, że kobiety stanowiły wówczas 50 proc. polskiego społeczeństwa. W Powstaniu Warszawskim liczyły ok. 20 proc. ogółu powstańców. Wiele z nich zginęło, wypełniając powierzone zadania. Los kobiet był trudniejszy i bardziej niebezpieczny, ponieważ pracowały w służbach i najczęściej bez broni.

Kobiety pełniły funkcje autorek, redaktorek, kolporterek prasy powstańczej i obrończyń zabytków kultury. Wiele młodych harcerek zginęło w patrolach zbierających rannych z pola walki lub jako sanitariuszki w szpitalach i punktach ratowniczych, podczas odgruzowywania zasypanych, w patrolach łączności przenoszących rozkazy i meldunki czy np. podczas kopania ziemniaków pod ostrzałem czy niesienia żywności powstańcom na pierwszą linię walki. Problemami społecznymi były brak lokali i trudności w zakresie wyżywienia. I tu ogromna rola przypadła kobietom, które tworzyły i prowadziły kuchnie zbiorowego żywienia. Sypiały często po dwie–trzy godziny dzienne w ogromnym stresie, często głodne i zmęczone. Znajdowały mimo to czas w ramach akcji Pomoc Żołnierzowi, śpiewały żołnierzom piosenki powstańcze, pisały wiersze, organizowały przedstawienia teatralne.

Maria Przytuła
FOT. ZBIORY RODZINNE

Z POGARDĄ ŚMIERCI

Na słowa uznania zasługują siostry zakonne, które wzięły udział w działaniach powstańczych. Gasiły pożary, ratowały rannych, brały udział w budowaniu umocnień. Często ginęły pod gruzami bombardowanych świątyń.

Niebezpieczna była rola łączniczki – wykonującej zadanie bez broni, obciążonej meldunkami, pokonującej zajęte przez Niemców tereny. One też obsługiwały łączność kanałową. Od utrzymania kanału zależała często obrona dzielnic. Były przewodniczkami kanałowymi żołnierzy i cywilów, przenosiły amunicję, broń i sprzęt. Przeszkolone technicznie obsługiwały także techniczne środki łączności, zwłaszcza jako telefonistki, radiotelegrafistki i szyfrantki.

Wiele kobiet po upadku powstania wyszło ze szpitalami powstańczymi lub zostawało z rannymi, których czekała śmierć, i często razem z nimi ginęły rozstrzeliwane przez SS. Dla wielu z nich dyshonorem było skryte, bez munduru i opaski AK, opuszczenie Warszawy z ludnością cywilną, choć taki rozkaz otrzymały.

[...] Z pogardą śmierci rywalizują między sobą, aby otrzymać najtrudniejsze i najbardziej zagrażające życiu zadania. Dają wspaniały przykład umiłowania walki o wolność i walki o Polskę. Spokojny o swą przyszłość może być kraj, gdy na arenę życia państwowego Polski masowo wkraczają te wspaniałe typy kobiet – zjawisko na pewno niespotykane na przestrzeni wieków [...].
płk Antoni Chruściel „Monter”

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl f863a161d9

Powstanie Warszawskie

jako element ogólnopolskiej akcji „Burza"

dr Damian Sitkiewicz (Oddziałowe Biuro Badań Historycznych IPN w Warszawie)

O zbrojnym wystąpieniu przeciwko okupantom w podziemiu niepodległościowym myślano już u schyłku 1939 r. Wraz z rozrostem struktur konspiracyjnych i ze zmieniającą się dynamicznie sytuacją polityczną w okupowanej Polsce wstępne hasło o powstaniu uszczegóławiano, tworząc z czasem jego koncepcję. Kluczowy wpływ na nią miał front niemiecko-sowiecki, który po klęskach Niemiec pod Stalingradem i Kurskiem w 1943 r. coraz bardziej przesuwał się w kierunku międzywojennej granicy RP

Wziąwszy pod uwagę wiele uwarunkowań, w tym zwłaszcza międzynarodowych, po przeprowadzeniu licznych studiów, rząd RP w Londynie 27 października 1943 r. przesłał do dowódcy AK i pełnomocnika rządu „Instrukcję rządu dla kraju". Zasadniczy jej zapis wskazywał, że decyzję dotyczącą powstania mógł podjąć jedynie rząd w Londynie, zakładając zarazem, iż w przypadku przywrócenia stosunków dyplomatycznych z ZSRS instrukcja przewidywała ujawnienie się polskiej administracji i wojska. Gdyby zaś stosunków nie nawiązano – zamierzano prowadzić prace konspiracyjne, uwzględniając ewentualną samoobronę przed sowieckim terrorem.

Po przeprowadzeniu konsultacji z pracownikami KG AK i Delegatury Rządu RP na Kraj stworzono podstawy planu militarnego (operacyjnego), któremu nadano kryptonim Burza. Sprecyzowano go w rozkazie nr 1300/III z 20 listopada 1943 r., wydanym przez komendanta głównego AK gen. Tadeusza Komorowskiego ps. Bór. Przewidywano w nim wzmożoną akcję dywersyjną, polegającą na wszczęciu licznych lokalnych działań militarnych skierowanych przeciwko

eprasa.pl f863a161d9

W pierwszych dniach walki dowodzeni przez płk. Antoniego Chruściela „Montera" powstańcy opanowali obszerne części Dolnego Mokotowa, Starego Miasta, Śródmieścia i Żoliborza, lecz nie zdołali zająć obiektów strategicznych, takich jak mosty na Wiśle, lotnisko czy dworce, które pozostawały w rękach Niemców

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Niemcom, we współdziałaniu taktycznym z Armią Czerwoną, w celu opanowania obszarów operacyjnych oraz odtworzenia tam legalnych ośrodków władz polskich. Zakładano przy tym ujawnienie konspiracji – zarówno cywilnej, jak i wojskowej – wobec wkraczających oddziałów ZSRS i kolaborującej z nimi armii gen. Zygmunta Berlinga. „Burza" miała być uruchamiana stopniowo – w miarę przesuwania się frontu na zachód. Generał T. Komorowski uważał, że brak wystąpienia czynników wojskowych reprezentujących RP i jej legalne władze wobec Sowietów dowodziłby, iż wszelkie działania AK i polskiego podziemia byłyby postrzegane jako kolaboracja z nimi.

Armia Czerwona, która posuwała się na zachód, wypierając niemiecki Wehrmacht, w nocy z 3 na 4 stycznia 1944 r. dotarła do przedwojennej granicy RP w okolicach miasta Sarny na Wołyniu. W tej sytuacji do akcji „Burza" przystąpili żołnierze z okręgu AK „Wołyń". Na tym terenie przeciw Niemcom i członkom organizacji UPA walczyła 27. Dywizja Piechoty AK. Kolejne działania prowadzone w ramach akcji „Burza" podjęto w związku z rozpoczętą 22 czerwca 1944 r. na froncie białoruskim ofensywą Armii Czerwonej (operacja „Bagration").

Żołnierze AK, współdziałając w Sowietami, w ramach prowadzonej od 7 do 13 lipca 1944 r. operacji „Ostra Brama", całkowicie wyparli wojsko niemieckie z Wilna. Ujawniły się zarazem polskie władze cywilne i wojskowe, występując przed Sowietami jako gospodarze. Bezpośrednio po zakończeniu akcji blisko 6 tys. żołnierzy AK zostało rozbrojonych, a polska ludność poddana represjom. Rozpoczął się sowiecki terror. W pozostałych okręgach AK scenariusz był podobny, ale w wielu miejscach żołnierze się nie ujawniali.

Gdy latem 1944 r. Armia Czerwona osiągnęła linię Wisły, zaczęto rozważać kwestię rozpoczęcia akcji zbrojnej w Warszawie. Nadmieńmy, że istniały dwie koncepcje walki: w pierwszej pomijano stolicę jako miejsce prowadzenia walk, w drugiej – to właśnie Warszawa miała stanowić główny teatr wojny na froncie wschodnim przed odejściem Armii Czerwonej na zachód. I to właśnie ta ostatnia wygrała. Uchwała rządu RP w Londynie z 25 lipca 1944 r. pozostawiała kwestię wybuchu powstania w gestii władz Polskiego Państwa Podziemnego, KG AK oraz dowództwa Okręgu Warszawskiego AK.

Na podstawie rozkazu dowódcy AK powstanie w Warszawie wybuchło 1 sierpnia 1944 r. o godz. 17. W pierwszych dniach walki dowodzeni przez płk. Antoniego Chruściela „Montera" powstańcy opanowali obszerne części Dolnego Mokotowa, Starego Miasta, Śródmieścia i Żoliborza, lecz nie zdołali zająć obiektów strategicznych, takich jak mosty na Wiśle, lotnisko czy dworce, które pozostawały w rękach Niemców. Wśród ludności cywilnej zapanował entuzjazm. Obecne było poczucie odzyskania wolności i niepodległości. Na budynkach umieszczano biało-czerwone flagi. Cywile poprzez udzielanie pomocy rannym, budowanie barykad na ulicach czy dostarczenie żywności wspierali czynnie żołnierzy. Podziemne wojsko cierpiało na braki w uzbrojeniu i amunicji, a także broni ciężkiej. Niemcy dysponowali ogromną przewagą w sprzęcie, w tym bronią pancerną, artylerią, lotnictwem, miotaczami ognia, wyrzutniami rakiet oraz sterowaną zdalnie nową bronią, taką jak wypełnione materiałami wybuchowymi goliaty i tajfuny. Do tłumienia powstania Niemcy użyli ok. 50 tys. żołnierzy różnych formacji.

Niemcy dopuścili się wielu zbrodni na mieszkańcach miasta, z których najbardziej brutalna była rozpoczęta 5 sierpnia 1944 r. rzeź Woli. Wówczas to oddziały SS i policji pod dowództwem SS-Gruppenführera Heinza Reinefartha dopuściły się zamordowania blisko 50 tys. warszawiaków.

14 sierpnia 1944 r. gen. Tadeusz Komorowski wydał oddziałom terenowym rozkaz wyjścia z odsieczą walczącej Warszawie, lecz w obliczu koncentracji wojsk niemieckich decyzja była spóźniona, a rozkaz trudny do zrealizowania. Ofensywa Armii Czerwonej na warszawskim kierunku operacyjnym z przyczyn politycznych i wojskowych została zahamowana. W niewielkim stopniu na sytuację powstańców wpływ miały alianckie loty zaopatrzeniowe.

Po 63 dniach walki – 2 października 1944 r. – podpisano akt kapitulacji. W czasie Powstania Warszawskiego zginęło ok. 18 tys. powstańców, ok. 180 tys. cywilnych mieszkańców stolicy. Straty niemieckie szacuje się na 16 tys. zabitych. Wojskowym sukcesem operacji „Burza" i Powstania Warszawskiego było odtworzenie sił zbrojnych i zadanie dotkliwych strat Niemcom na terenie całego kraju. Z punktu widzenia politycznego ważne było pokazanie Sowietom, że Polacy są gospodarzami na swojej ziemi i mają prawo do samostanowienia.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl f863a161d9

Bohaterki wśród bohaterów

Heroines among heroes

Wystawa w 80. rocznicę powstania warszawskiego

An exhibition commemorating the 80th anniversary of the Warsaw Uprising

26.07 – 16.08.2024
Krakowskie Przedmieście 60A
Warszawa
Skwer Hoovera

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
Oddział w Warszawie

Muzeum Powstania Warszawskiego

FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ
ARCHIWUM I MUZEUM POMORSKIE ARMII KRAJOWEJ ORAZ WOJSKOWEJ SALUDY POLEK

DZIEJE.PL
PORTAL HISTORYCZNY

PRZYSTANEK HISTORIA

eprasa.pl f863a161d9

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Fałszywi powstańcy

Czy już wszystko wiemy o Powstaniu Warszawskim? Oczywiście nie. Co jakiś czas trafiają się „jakieś nowe" dokumenty, ustalenia tożsamości pod pseudonimem itd. Jednak równolegle jego historia uzupełniana jest mitami i wprost kłamstwami. Oto przykład. W publikacjach historyków i publicystów na Zachodzie pojawiło się niezwykłe odkrycie – rzekoma Międzynarodowa Żydowska Brygada Pomocnicza Armii Ludowej. Dowodzić nią miał jedyny nie-Żyd, „oficer AL" tow. Jan Fotek. Wiedzę o Brygadzie rozpowszechnił w świecie w 2004 r. sędziwy już wówczas Edward Kossoy, prawnik mieszkający w Szwajcarii, specjalizujący się w sprawach odszkodowawczych dla ofiar Holokaustu.

Przeprowadził następujący wywód. Oto żydowska jednostka powstańcza miała liczyć aż 150 ludzi. Na początku, przez kilka pierwszych dni powstania, była jednostką pomocniczą na Starówce, budowała barykady. Wkrótce to się jednak zmieniło, bo otrzymała broń i dzielnie walczyła z Niemcami, aż do… 23 września 1944 r.! Wtedy poniosła tak wielkie straty, że nagle przestała istnieć.

Dziwne jest to wszystko? Oczywiście tak. Skąd się wzięła taka jednostka? Kto ją tak solidnie wyposażył w broń (której przecież nie było, miała wartość większą niż żywność)? I przede wszystkim – gdzie konkretnie walczyła? W zachowanych dokumentach z powstania (bardzo licznych) odnotowane są nawet drobne wydarzenia, ale najmniejszej wzmianki nie ma o takiej jednostce! W dodatku powstanie na Starym Mieście upadło po miesiącu walk. Gdzie w takim razie owa Brygada miała jeszcze ponad trzy tygodnie walczyć?

Nie ma o niej żadnych informacji w pamiętnikach i wspomnieniach, i relacjach. Może w takim razie jednak jest coś w dokumentach o AL? Całość tej grupy według stanu na 30 sierpnia 1944 r. wynosiła zaledwie 157 osób, ale to były tzw. tyły (kucharze, łącznicy), „grupa bojowa" zaś liczyła tylko 35 osób, mając broni jak na lekarstwo: pięć karabinów, dwa pistolety maszynowe, sześć pistoletów. To uzbrojenie zaledwie na sekcję, nawet nie na drużynę!

Czyli jest fałsz, który kiedyś nie mógłby zaistnieć, ale kilkadziesiąt lat po powstaniu możliwe jest już wszystko, nawet największa bzdura?! Nie tylko Kossoy jest tu winny. Sprawa została wymyślona w ZBoWiD już w latach 70., komunistyczni „kombatańcy" chcieli mieć bowiem swą historię. Sprawa wymknęła się spod kontroli i pojawiły się setki nowych… bohaterów. Władze ZBoWiD urwały jednak łeb tej aferze, ale bez konsekwencji, aby nie dawać argumentów Wolnej Europie do szkalowania Polski Ludowej. Fałszerze zostali jednak uczestnikami powstania. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ostatnie małżeństwo króla

Zygmunt August mógł rozpaczać po śmierci Barbary Radziwiłłówny, ale miał dopiero 31 lat i jego obowiązkiem było zapewnić przyszłość dynastii. Dwa lata po śmierci Radziwiłłówny poślubił więc rodzoną siostrę swojej pierwszej żony Katarzynę Habsburżankę. Koronacja nowej królowej miała miejsce na Wawelu 30 lipca 1553 r.

Zygmunt August, wybierając sobie kolejną żonę, nie miał wielkiego manewru. Ze względów wyznaniowych nie wchodziła w rachubę część księżniczek niemieckich, a poza tym król Polski i wielki książę Litwy raczej nie mógł poślubić córki podrzędnego dynasty. Na luteranizm przeszli także władcy Danii, podobnie jak szwedzcy Wazowie, których zresztą uważano za nuworyszy, gdyż koronę nosili zaledwie ćwierć wieku.

Katarzyna Austriaczka w chwili ślubu z królem Polski miała 20 lat. Nie była specjalnie urodziwa i podobnie jak siostra cierpiała na epilepsję i schorzenia układu pokarmowego. Jej stan zdrowia zatajono jednak przed królem, który był przekonany, że z nową żoną szybko doczeka się dziedzica. Inna sprawa, że arcyksiężniczka miała też sporo zalet. Była bardzo inteligentna i do tego stopnia tolerancyjna, że chętnie czytała „heretyckie" księgi. Wprawdzie nie myślała o porzuceniu katolicyzmu, ale znalazła wspólny język z mężem. Dosłownie i w przenośni, gdyż oboje sprawnie posługiwali się włoskim.

Związek ten był jednak z góry skazany na niepowodzenie. Po śmierci ukochanej Barbary król nie potrafił już okazać ciepłych uczuć jakiejkolwiek kobiecie. Ożenił się wyłącznie dlatego, że chciał zapewnić przetrwanie dynastii, i być może z tego powodu przez kilka lat traktował żonę znacznie lepiej niż jej siostrę Elżbietę Habsburżankę. Niebawem jednak doszło do rozdźwięków politycznych, gdyż Katarzyna bezwzględnie popierała interesy własnej dynastii, co Zygmunt uważał za nielojalność wobec kraju, którego koronę nosiła.

W październiku 1562 r. małżonkowie widzieli się ostatni raz. Król już wiedział, że żona nie urodzi mu następcy, a do głowy mu nie przyszło, że sam był bezpłodny. Miał dopiero 42 lata i chciał ożenić się ponownie, wierząc, że może jeszcze doczeka się potomka. Spotkał się jednak z oporem Sejmu, który opowiedział się przeciwko oddaleniu żony. Podobnego zdania był legat papieski, gdyż we Włoszech dominowali Habsburgowie.

Ostatecznie jesienią 1566 r. Katarzyna opuściła Polskę i wyjechała do Austrii. Osiadła w Linzu, spędziła tam ostatnie pięć lat życia i do końca nie zgadzała się na unieważnienie małżeństwa z Zygmuntem Augustem. Zmarła kilka miesięcy przed nim, w wieku 38 lat. ©℗

eprasa.pl f863a161d9

Na lewo od komunistów.

Nadszedł czas francuskiego Cháveza?

Kacper Kita

Niezależnie od tego, jak rozwinie się obecna sytuacja, długofalowo trzeba brać pod uwagę, że Francja może iść w kierunku wielkiego starcia islamolewicy Mélenchona oraz narodowej prawicy Le Pen

Jean-Luc Mélenchon od lat jest czołową postacią na francuskiej scenie politycznej, niewiele mniej istotną niż Emmanuel Macron i Marine Le Pen. W Polsce zrobiło się o nim głośno dopiero teraz, gdy Nowy Front Ludowy uzyskał najwyższą liczbę mandatów w ostatnich przyspieszonych wyborach do Zgromadzenia Narodowego. Poglądy i życiorys Mélenchona zdecydowanie nie pasują do narracji o umiarkowanych siłach, które wygrały z demoniczną prorosyjską skrajną prawicą.

KOMUNA PARYSKA, MAJ 1968, ENTRYZM

Zwycięskie przemówienie Mélenchon wygłosił, a jakże, na placu Stalingradu. Po ogłoszeniu wyników wyborów Internet obiegło też starsze nagranie, na którym polityk deklaruje: „Nie zapomniałem, skąd jestem i jaka jest moja ojczyzna w czasie", a następnie, przywołując pamięć Komuny Paryskiej i „poległych naszych", intonuje i śpiewa wraz z tłumem zwolenników „Międzynarodówkę". „Wyklęty, powstań ludu ziemi…". Rzeczywiście, późniejszy hymn bolszewików powstał w oryginale po francusku podczas burzliwych wydarzeń roku 1871.

Mélenchon jest politykiem bardzo doświadczonym i zakorzenionym w tradycji skrajnej lewicy. Ma już 73 lata, a praktycznie całe dorosłe życie spędził na działalności rewolucyjnej. Jako nastolatek zaczytuje się w dziejach rewolucji francuskiej. Uważa je za epickie, barwne zmagania, które przeciwstawia współczesnej mdłej, szarej, technokratycznej polityce. „Identyfikowałem się ze wszystkimi rewolucyjnymi bohaterami tej historii, od początku do końca. Marks przyszedł więc później jako oczywisty rozkaz na dobrze zaorane pole" – opowiada w wywiadzie rzece sprzed kilku lat. Wspomina też: „Szalałem na punkcie Jurija Gagarina".

Gdy wybuchł maj 1968 r., 17-letni Mélenchon chciał walczyć z kapitalizmem w swoim liceum – przemawiał do kolegów, stojąc na ławkach, organizował kilkutygodniową okupację, zakładał rewolucyjne komitety. Z dzisiejszej perspektywy ubolewa nad tym, że z majem 1968 r. utożsamiany jest liberalny, indywidualistyczny hedoni-

eprasa.pl f863a161d9

Jean-Luc Mélenchon
FOT. SAMEER AL-DOUMY/AFP/EAST NEWS

sta Daniel Cohn-Bendit. Dla Mélenchona chodziło przede wszystkim o „walkę klas", dobro robotników i przewrót polityczny, ale uznaje, że „historię piszą zwycięzcy".

Mélenchon stał się krytyczny wobec ZSRS po stłumieniu Praskiej Wiosny. Nie chciał zapisać się do wspieranej od lat z Moskwy Komunistycznej Partii Francji – zamiast tego wybrał Komunistyczną Organizację Internacjonalistyczną (OCI), czyli jeden z odłamów trockistów. Kilka lat pracował jako nauczyciel licealny, równolegle pisząc pod pseudonimem do skrajnie lewicowych gazet. Wraz z kolegami starał się prowadzić rewolucyjną pracę budowania więzi między postępowymi intelektualistami a robotnikami. Przyjmuje pseudonim Santerre, na cześć Antoine'a Santerre'a – rewolucjonisty, który odprowadził króla Ludwika XVI na szafot oraz brał udział jako generał w tłumieniu powstania w Wandei.

W 1976 r. Mélenchon zdecydował się jednak wybrać drogę entryzmu, zapisując się do Partii Socjalistycznej (PS). Stojący na jej czele François Mitterrand, dwukrotny były kandydat na prezydenta, dążył do zjednoczenia całej lewicy. Mimo zimnej wojny wypracował porozumienie i wspólny program z Partią Komunistyczną. Mélenchonowi podoba się ten kierunek, który ma w jego mniemaniu łączyć idee z pragmatyzmem. Do dziś jest oddanym zwolennikiem Mitterranda, który za trzecim razem zwyciężył i był prezydentem Francji w latach 1981–1995. Mélenchon wspomina, że nazywał Mitterranda „staruszkiem", bo tak samo mówili kiedyś młodsi działacze emigracyjni na Trockiego. Na przestrzeni kolejnych 30 lat starał się od środka zwalczać partyjnych centrystów i liberałów. Piął się w górę aparatu, został dyrektorem gabinetu mera podparyskiego miasta Massy, a potem jego zastępcą. Organizował tam wsparcie dla komunistycznych emigrantów z Chile i Argentyny (sam ma hiszpańskie pochodzenie i zna język).

W końcu zdobył także mandat senatora. Szczytem jego kariery na łonie socjalistów było stanowisko ministra delegowanego (po naszemu – pierwszego wiceministra) do spraw edukacji, odpowiedzialnego za kształcenie zawodowe w latach 2000–2002. Mélenchon sprawował tę funkcję w gabinecie premiera Lionela Jospina, który także należał do trockistowskiej OCI, zanim wybrał „normalną" karierę w Partii Socjalistycznej.

BOLIWARYZM I ANTYAMERYKANIZM

Mélenchon nie zadowolił się jednak konsumpcją fruktów i stanowisk jak wielu aparatczyków. W 2008 r. wystąpił z PS, którą uznał za zużytą i pogodzoną z kapitalizmem. Od tego czasu buduje własny ruch radykalnej lewicy – obecnie pod nazwą Francja Niepokorna (alternatywne tłumaczenie: Nieujarzmiona, w skrócie: LFI). Ważnym pozytywnym punktem odniesienia dla Mélenchona jest rewolucyjna lewica latynoamerykańska. W 2012 r. poleciał do stolicy Wenezueli Caracas, by spotkać się z tamtejszym przywódcą Hugonem Chávezem. Gdy Chávez zmarł rok później, Mélenchon wezwał swoich zwolenników do zbierania się na żałobne, by oddać mu hołd, oraz deklarował, że „boliwariańska Wenezuela jest dla nas źródłem inspiracji". „Chávez nigdy nie umrze" – deklarował, mówiąc o „niewyczerpanym ideale humanistycznej nadziei – rewolucji".

W podobnym duchu Mélenchon występował, gdy w 2016 r. zmarł wieloletni władca Kuby Fidel Castro. „To bardzo smutny dzień. Uczucie, które nas ogarnia, odkąd dowiedzieliśmy się o śmierci Fidela, prowadzi nas do myśli, że to z przykładu naszych bohaterów możemy czerpać lekcje i energię, których potrzebujemy, by iść dalej drogą, którą dla nas oczyścili". Wychwalał „rewolucje socjalistyczne", które w imię „ciemiężonych i biednych" sprzeciwiały się „staremu porządkowi świata", oraz „światło", którym była Kuba Castro.

W 2017 r. Mélenchon umieścił w swoim programie prezydenckim akcesję Francji do powołanego przez Cháveza i Castro Boliwarskiego Sojuszu na rzecz Ludów Ameryki, co miało umożliwić bliższą współpracę Gujany Francuskiej m.in. właśnie z Wenezuelą i Kubą. Później odwiedził też w więzieniu byłego – dziś znów urzędującego – lewicowego prezydenta Brazylii Lulę, deklarując, że „tylko w Ameryce Południowej trwają dziś prawdziwe próby zerwania z neoliberalizmem".

Wspólnym mianownikiem łączącym Mélenchona, Castro, Cháveza i Lulę pozostaje także antyamerykanizm. Przywódca LFI pytany o biedę lub prześladowania polityczne w krajach takich jak Wenezuela standardowo obwiniał „amerykański imperializm", przekonując zawsze, „że Chávez oraz jego następca Nicolas Maduro są wybierani w demokratycznych wyborach". Także Kuba jego zdaniem „nie jest dyktaturą, choć nie jest też demokracją". Mélenchon jako jedyny liczący się francuski polityk domagał się też całkowitego wyjścia Francji z NATO (Le Pen czy Zemmour mówili o wyjściu ze zintegrowanego dowództwa na wzór de Gaulle'a, modelu utrzymanego w latach 1966–2009). Członkostwo w Sojuszu Północnoatlantyckim Mélenchon nazwał „symbolem podporządkowania amerykańskiemu imperializmowi". W 2017 r. deklarował, że „Rosja nie

eprasa.pl f863a161d9

stanowi żadnego zagrożenia dla Europy", w 2020 r. – że „Rosjanie są godnymi zaufania partnerami, a Amerykanie nie", a w 2021 r. – że „nie wierzy w agresywne podejście Rosji i Chin. Tylko świat anglosaski ma wizję stosunków międzynarodowych opartą na agresji".

OD ŚWIECKIEGO PAŃSTWA DO SOJUSZU Z MUZUŁMANAMI

W 2012 r. Mélenchon pierwszy raz wystartował na prezydenta i zajął czwarte miejsce z solidnym wynikiem 11 proc. Po słabej prezydenturze Hollande'a, którą łatwo było mu atakować, w 2017 r. zdobył już 19,58 proc., wyraźnie dominując pomniejsze siły lewicowe – kandydat rządzących socjalistów Hamon dostał ledwie 6 proc. Pierwszy raz od 1969 r. radykalna lewica była w najważniejszych wyborach przed socjalistami.

Mélenchon nie mógł być jednak w pełni zadowolony – zabrakło mu tylko 1,73 punktu procentowego, by wejść do drugiej tury. Za rezerwuar głosów na przyszłość uznał muzułmanów. Zaczął stawać się obrońcą obecności islamu w przestrzeni publicznej, a zarzuty „sekciarskiego komunitaryzmu" kierować wobec organizacji żydowskich, przez co w mediach coraz częściej jest tytułowany antysemitą. W końcu oficjalnie rozpoczęto procedurę zawieszania go w wolnomularskim Wielkim Wschodzie Francji (należał do niego od 1983 r., a masonami byli także jego ojciec i dziadek), wobec czego Mélenchon uprzedzająco sam odszedł.

W kolejnej kampanii prezydenckiej Mélenchon głosił już hasło „kreolizacji Francji" przez masowy napływ pozaeuropejskich imigrantów traktowanych jako proletariat zastępczy. Twierdził przy tym, że „asymilacja nie istnieje". Tym samym odchodził od typowej dla Francji lewicowej tradycji walki z religią i odgórnego narzucania kultu „laickiej Republiki" jako formy obywatelskiej religii, zgodnej z ideałem Rousseau. Co zabawne, w jednej z debat telewizyjnych Mélenchon przekonywał nawet, że oświecenie wcale nie było antyreligijne. Połączenie haseł dalszej rozbudowy systemu socjalnego, walki z „islamofobią", ułatwień dla imigrantów, braku presji na asymilację oraz ataków na Izrael i aluzji do żydowskiego pochodzenia innych polityków dały efekt. W 2017 r. Mélenchon dostał 37 proc. głosów muzułmanów, a Macron 24 proc. W 2022 r. przywódca LFI był już dominatorem – zgarnął 69 proc. głosów wyznawców Proroka, a prezydent tylko 14 proc. Doprowadził także do wzrostu frekwencji wśród muzułmanów. Podniósł swój wynik na 21,95 proc., zajął trzecie miejsce, ale znów otarł się o drugą turę – zabrakło 1,21 punktu procentowego.

Kurs Mélenchona skrytykował m.in. sekretarz generalny Partii Komunistycznej Fabien Roussel, który stara się pokazać jako lewicowy radykał, ale normalniejszy. Komuniści zaznaczali m.in. swoje przywiązanie do świeckości państwa, energetyki atomowej czy francuskich tradycji, takich jak polowania. Klasyfikacja komunistów jako siły bardziej umiarkowanej od Mélenchona została przyjęta powszechnie. W ostatnich wyborach były premier Macrona i możliwy kandydat na prezydenta Édouard Philippe wzywał, by kandydaci obozu rządzącego nie wycofywali się na rzecz LFI, siły jego zdaniem równie skrajnej i niebezpiecznej co RN Le Pen. Jednocześnie zadeklarował, że w swoim okręgu zagłosuje na posła komunistycznego, którego zna od lat i który jest przywiązany do „wartości republikańskich".

ISLAM JAKO TARAN REWOLUCJI?

Mélenchon stał się politycznym przywódcą nurtu nazywanego „islamolewactwem". To pojęcie wbrew pozorom nie powstało na prawicy – stworzył je na początku XXI w. Pierre-André Taguieff, historyk idei związany m.in. ze słynnym Sciences Po, kawaler Legii Honorowej i autorytet głównego nurtu, latami zaangażowany w walkę z rasizmem i antysemityzmem „skrajnej prawicy". Kilka lat temu „islamolewactwo" jako zagrożenie dla francuskich uniwersytetów wskazał także minister nauki w rządzie Macrona. Taguieff sojusz widzi jako zagrożenie dla bliskiej mu lewicy świeckiej i republikańskiej.

W dłuższym artykule „Czym jest islamolewactwo?", opublikowanym na łamach pisma znanego filozofa Michela Onfraya (także reprezentującego świecką lewicę), Taguieff przypomniał kongres w Baku z 1920 r., gdzie sowiecki dygnitarz Zinowiew wzywał do wspólnego „dżihadu przeciw angielskim i francuskim kapitalistom". Zdaniem Taguieffa we Francji od 30 lat ma miejsce konwergencja środowisk skrajnej lewicy odwołujących się do marksizmu i dekolonializmu oraz ruchów islamistycznych, takich jak Bracia Muzułmanie czy salafici, a jednych i drugich łączy hasło rewolucyjnej walki z kapitalizmem, rasizmem, USA i Izraelem. Nowej pożywki do wspólnego działania od miesięcy dostarcza im wojna w Strefie Gazy.

FRANCJA NA DRODZE DO WIELKIEGO STARCIA

Mélenchon twierdzi, że wygrał ostatnie wybory. Prawda jest bardziej złożona – Francja Niepokorna utrzymała podobną liczbę posłów, wzmocnili się przede wszystkim Socjaliści, a całemu Nowemu Frontowi Ludowemu brakuje aż 100 mandatów do większości. LFI nie ma już większości w ramach samego Frontu. Wreszcie sami koalicjanci nie chcą oddawać władzy Mélenchonowi – dość powiedzieć, że 77 proc. wyborców Zielonych i 85 proc. Socjalistów uważa go za złego kandydata na premiera.

Macron deklaruje, że chce trzymać skrajną lewicę z dala od władzy, a to w jego rękach leży nominacja. Równolegle do negocjacji rządowych powoli rozkręcał będzie się wyścig o prezydenturę z finiszem w marcu–kwietniu 2027 r. Rywalem Mélenchona w walce o przywództwo może być centrolewicowy Raphaël Glucksmann – panowie obecnie mogą liczyć na odpowiednio 15 proc. i 14 proc. poparcia. Jeśli powstanie rząd bez LFI, to Mélenchon będzie dalej budował się jako „prawdziwa lewica", oskarżając socjalistów o zdradę. Działać będzie także na ulicy – w orbicie LFI funkcjonują rozmaite bojówki. a jednym z nowych posłów partii został działacz Antify.

Niezależnie od tego, jak rozwinie się obecna sytuacja, długofalowo trzeba brać pod uwagę, że Francja może iść w kierunku wielkiego starcia islamolewicy Mélenchona oraz narodowej prawicy Le Pen. Gdyby głosowali wyborcy przed pięćdziesiątką, taką drugą turę wyborów prezydenckich mielibyśmy już w 2022 r. – bazą Macrona są emeryci. Dzięki zręcznej ekwilibrystyce prezydenta nie będzie dało się rządzić wbrew niemu. Jednak z każdymi wyborami liberalny establishment słabnie, a żeby przetrwać, musi ratować się sojuszami ze skrajną lewicą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f863a161d9

Tajemnice klanu Kadyrowów

Maciej Pieczyński

Ojcobójca, bratobójca, pedofil, despota, który wrogami karmi lwy. Taki obraz Ramzana Kadyrowa wyłania się z sensacyjnego reportażu autorstwa opozycyjnych wobec Kremla dziennikarzy śledczych

Film dokumentalny pt. „Pion władzy Kadyrowa. Biografia pełna krwi" zawiera wiele nowych faktów na temat przestępczego – dosłownie i w przenośni – charakteru rządów w Czeczenii. Po pierwszej wojnie czeczeńskiej ta niepokorna kaukaska republika była de iure częścią Rosji, a de facto niepodległym państwem. Ostateczne rozstrzygnięcie konfliktu o jej przyszłość odłożono do 2001 r. Kreml zaczął szukać sposobów ostatecznej pacyfikacji Czeczenii. Pomógł w tym czeczeński gangster Mowładi Atłangierijew, współtwórca mafii lazańskiej – jednego z najbardziej wpływowych gangów lat 80. i 90., ściśle powiązanego z rosyjskimi służbami specjalnymi. Ich współpracownikiem był sam Atłangierijew, zwerbowany po aresztowaniu w Moskwie. Jako pierwszy Czeczen otrzymał honorowy tytuł „wora w zakonie", czyli profesjonalnego przestępcy, który cieszy się szacunkiem w przestępczym półświatku.

W 1999 r. Atłangierijew pomagał swoim moskiewskim mocodawcom znaleźć lojalnego nadzorcę republiki wśród miejscowych działaczy. „Castingi" odbywały się w jego mieszkaniu. W tym czasie wybuchła druga wojna czeczeńska, prawdopodobnie sprowokowana przez Rosję. Na swojego człowieka w Groznym Moskwa wybrała Achmata Kadyrowa. Jako wielki mufti Czeczenii jeszcze podczas pierwszej wojny ogłosił dżihad przeciwko Rosji. Jego przejście na stronę Moskwy oznaczało więc symboliczne zakończenie tej świętej wojny.

Z WIADREM PO BENZYNĘ

W latach 90. Kadyrowowie cierpieli biedę. Ramzan miał motocykl, ale musiał chodzić z wiadrem do sąsiadów i prosić, by nalali mu trochę benzyny. Pod koniec lat 90. ówczesny prezydent walczącej o niepodległość Czeczenii Asłan Maschadow oddał Kadyrowom we władanie jeden szyb naftowy. Wtedy zaczęli zarabiać na nielegalnej sprzedaży ropy. Gdy przeszli na stronę Putina, sprzedawali już benzynę, ale równie nielegalnie. Otworzyli sieć stacji paliw pod nazwą Lider – na cześć Achmata Kadyrowa. Nie byłoby to możliwe bez wsparcia Moskwy.

Klan jeszcze bardziej się wzbogacił, gdy Achmat został przywódcą republiki. Areną politycznej korupcji stał się klub sportowy Ramzan, nazwany na cześć Kadyrowa juniora. „W ciągu dnia Achmat zbierał ludzi u siebie w gabinecie, a wieczorem szli do klubu, żeby załatwiać sprawy za pieniądze. Jeśli ktoś chciał kupić stanowisko w administracji albo dostać kontrakt państwowy, to szedł do Ramzana" – mówi rozmówca „Projektu", znajomy rodziny Kadyrowów.

Po dojściu do władzy Ramzan nie tylko rozbudowywał finansowe imperium ojca, lecz także łechtał własną próżność. Kazał wydawać czasopismo „Lider", którego głównym tematem był on sam. Praktycznie cała gospodarka Czeczenii należy do Kadyrowa i jego rodziny. Środki z budżetu federalnego, formalnie przekazywane republice, zamiast do zwykłych obywateli trafiają do firm powiązanych z „liderem". Kadyrow mianował na ministrów swoich krewnych, a na szefów podstawionych firm swoich nominatów, przyjaciół, sąsiadów. Pierwsi oddawali drugim państwowe pieniądze w formie kontaktów.

Gdy u władzy był Achmat, Ramzan dowodził jego ochroną. W rzeczywistości zajmował się głównie ściganiem zwolenników niepodległości Czeczenii i oddawaniem ich w ręce FSB. Likwidował zarówno prawdziwych terrorystów, jak i zupełnie niewinnych ludzi, żeby wyrobić wyznaczoną przez Rosjan „normę". „Ramzan wyznaczył nagrodę w wysokości od 3 do 5 tys. dol. dla tego, kto przyniesie mu dwie rzeczy – odrąbaną głowę bojownika i jego paszport. Innych dowodów nie wymagał. Ludzie zaczęli więc po prostu zabijać swoich prywatnych wrogów, a potem mówili, że to bojownicy" – twierdzi w rozmowie z „Projektem" były znajomy Ramzana. Gorsze relacje z Rosjanami miał Achmat Kadyrow. Nie potrafił wynegocjować od nich większych zysków dla Czeczenii z tytułu sprzedaży ropy, wydobywanej na terenie republiki. W pewnym momencie miał się nawet zarzekać, że już nigdy do Moskwy nie pojedzie.

U PUTINA W DRESIE

I właśnie w czasie, gdy z Rosją coraz gorzej dogaduje się Achmat, a coraz lepiej Ramzan, ten pierwszy ginie w zamachu. Przywódcę Czeczenii zabiła bomba podłożona na stadionie w Groznym, gdzie uczestniczył w obchodach dnia zwycięstwa 9 maja 2004 r. Ani na paradzie, ani w ogóle w Czeczenii nie było wtedy Ramzana, choć przecież był szefem ochrony swojego ojca. Zastępował go Magimied Israpiłow. Pięć lat później Ramzan zamorduje go w dość specyficzny sposób, oddając na pożarcie lwu. Znajomy młodego Kadyrowa i były wysoko postawiony urzędnik Kremla w rozmowie z „Projektem" twierdzą, że cały dzień 9 maja Ramzan spędził w Moskwie. Co tam robił? Nie wiadomo. Tuż po zamachu został przewieziony

eprasa.pl f863a161d9

na Kreml. Do historii przeszły zdjęcia, na których Putin przyjmuje w swoim gabinecie ubranego w dres Ramzana.

Według dziennikarzy „Projektu" dziwny był sposób dokonania zamachu. Gdyby – jak głosiła oficjalna wersja – jego autorami byli czeczeńscy bojownicy, mszczący się na zdrajcy, liczba ofiar byłaby dużo większa. Tego dnia na trybunach pełno było urzędników, którzy poszli na współpracę z Rosją. Tymczasem ładunek był podłożony pod krzesłem przywódcy republiki. Oprócz niego zginął siedzący po jednej stronie szef czeczeńskiej Rady Państwa, a siedzący po drugiej stronie głównodowodzący wojsk rosyjskich na Kaukazie przeżył, choć stracił nogę. Ładunek został podłożony długo przed uroczystościami. Zamachowiec musiał wiedzieć, gdzie dokładnie usiądzie Kadyrow. Tymczasem o tym, że w ogóle przywódca Czeczenii pojawi się na stadionie, wiedzieli jedynie ludzie z jego najbliższego otoczenia. Według ustaleń „Projektu" w zamach na Achmata Kadyrowa mógł być, w porozumieniu z rosyjskimi służbami, zamieszany jego własny syn, któremu Putin przekazał władzę nad Czeczenią.

Achmat miał dwóch synów. Ramzan był ulubieńcem ojca. Starszy o dwa lata Zelimchan – ulubieńcem matki. Do polityki się nie nadawał. Był uzależniony od narkotyków. Na froncie nie walczył, ale nosił przy sobie broń i bywał agresywny. Ponoć pod koniec lat 90. wdał się w pyskówkę na stacji benzynowej i w przypływie złości zastrzelił człowieka, przez co później rodzina Kadyrowów musiała się przez jakiś czas ukrywać, aby uniknąć zemsty rodowej.

Po śmierci Achmata relacje braci znacząco się pogorszyły. Zelimchan wpadł kiedyś do domu Ramzana z bronią i zachowywał się agresywnie. Kilka tygodni później zmarł. Oficjalnie – na niewydolność serca, na którą cierpiał po jednym z wielu wypadków samochodowych, które spowodował po narkotykach. Podobnie jak w dniu śmierci ojca w dniu śmierci brata Ramzana nie było na miejscu. Jeden ze znajomych Zelimchana w rozmowie z „Projektem" twierdzi, że było to zabójstwo dokonane na zlecenie brata. „Po śmierci ojca i brata tylko wiek przeszkadzał Ramzanowi zostać najważniejszym Czeczenem" – komentuje Roman Badanin z „Projektu". Zgodnie z prawem musiał jeszcze poczekać trzy lata, aż skończy trzydziestkę i będzie mógł objąć fotel prezydenta. Czas ten wykorzystał na eliminowanie przeciwników politycznych.

Gdy w zamachu w 2004 r. w Czeczenii zginął rządzący nią Achmat Kadyrow, Ramzan był akurat w Moskwie. Putin przyjmował go ubranego w dresy FOT. PRESIDENTIAL PRESS SERVICE/EPA/PAP

Do końca pierwszej kadencji Kadyrowa nie przeżył nikt z tych, którzy doprowadzili go do władzy. Oprócz Putina. Atłangierijew został porwany w Moskwie, wywieziony do Czeczenii i tam, najprawdopodobniej, zamordowany. Zginęli również jego współpracownicy z mafii lazańskiej. Wiceszef FSB Gierman Ugriumow, który z ramienia Kremla prowadził wspomniane „castingi" na przywódcę Czeczenii, poszedł do bani na terenie bazy wojennej w Groznym. Żywy nie wyszedł. Według oficjalnej wersji zmarł na zawał serca.

ŻONY I NAŁOŻNICE

Co trzecia rodzina czeczeńska żyje w ubóstwie, podczas gdy dyktator i jego rodzina pławią się w luksusie. W ten sposób odbija sobie biedne dzieciństwo. Po co Kadyrowowi pieniądze? W dużej mierze po to, by zaspokajać swoją największą namiętność – słabość do kobiet. „Lider" ma kilka żon, choć rosyjskie prawo zakazuje wielożeństwa. Ma też ogromną liczbę nałożnic. Jest to jednak w tym wypadku termin nieścisły. Według informacji „Projektu", gdy Kadyrow chce sypiać z jakąś kobietą, zawiera z nią nikah – czyli islamski ślub. W ten sposób nałożnice w teorii unikają oskarżeń o rozwiązłe życie. „W Czeczenii jest niemało pięknych dziewczyn, które żyją z piętnem byłych nałożnic Kadyrowa, dziewczyn, które sułtan rozdziewiczył, przez co później nikt nie chce się z nimi ożenić" – komentuje Roman Badanin.

Nie jest tajemnicą, że Kadyrow ma własny harem. W 2012 r. popularna czeczeńska wokalistka Tamiła Sagaipowa nagrała nawet piosenkę na ten temat – „Mój nanaku". Podkład muzyczny to melodia do lezginki – popularnego na muzułmańskim Kaukazie tańca ludowego. Tytułowy „nanak" to przekręcona wersja słowa „nanat" – tak Ramzana nazywają jego dzieci. Piosenkarka zwraca się więc do dyktatora niczym do członka rodziny. Nic dziwnego – sama należała do jego haremu. „Swojego nanaka będę delikatnie pieścić, / Dziewczyny, odpocznijcie, / Dziś to ja zwyciężam" – śpiewa Sagaipowa. A w drugiej zwrotce wymienia nałożnice Kadyrowa, zapowiadając, że ze wszystkimi wygra walkę o serce dyktatora.

eprasa.pl f863a161d9

Oficjalną „pierwszą damą” republiki jest Miedni Kadyrowa. Podobnie jak pozostałe kobiety despoty jest finansowo i materialnie zabezpieczona. Żeby ukryć jej majątek, wymyślono jej alternatywną tożsamość – żona dyktatora ma drugi paszport na nazwisko Miedni Musajewej. Według oficjalnej wersji 42-latka jest matką jego 14 dzieci. W rzeczywistości część z nich urodziły nałożnice. Typowym przykładem jest Aminat Achmadowa. Żyje w luksusowym domu z ochroną, niedaleko rezydencji dyktatora. Ma własnych służących i niczego jej nie brakuje. Niczego poza synem, którego urodziła w 2014 r. i musiała oddać prawowitej małżonce Ramzana. Dzieci nałożnic nie znają swoich prawdziwych matek. Matkom nałożnicom ojciec zabrania zbliżać się do ich własnych dzieci.

„Kadyrow preferuje bardzo młode dziewczyny, uczennice lub studentki pierwszego roku. Ma pomocnika, który zbiera kontakty młodych Czeczenek. Ma ich dziesiątki, może setki” – opowiada znajomy Ramzana. Na początku jego rządów kadyrowcy porywali przyszłe nałożnice wprost z ulicy. W 2006 r. dyktator zorganizował jedyny w dziejach Czeczenii konkurs piękności. Pierwsze miejsce zajęła 14-letnia Zamira Dżabraiłowa. Półtora roku później urodziła Ramzanowi syna Adama. Drugie miejsce zajęła również 14-letnia Fatima Chazujewa, która była wówczas w ciąży z Ramzanem.

Posłuszne „żony” żyją w złotych klatkach. Od czasu do czasu Ramzan zabiera je w podróż do Dubaju, gdzie, poza innym rozrywkami, grają też w… mafię. Nieposłuszne „żony” są bezwzględnie karane. Przykładem jest niespełniona miłość Ramzana z czasów dzieciństwa Żanetta Mukujewa. Gdy się poznali, odrzuciła jego względy. Już jako dorosła kobieta, po rozwodzie, ostatecznie trafiła do haremu. W 2003 r. została zastrzelona na ulicy. Według źródeł „Projektu” była to zemsta za nieposłuszeństwo. Jej śmierć miała mocno ucieszyć Ramzana. A potem jedną ze stacji benzynowych nazwał na jej cześć Żanetta. Z kolei wspomniana Tamiła Sagaipowa, autorka pieśni o haremie, odeszła od Kadyrowa i weszła w normalny związek. Za „zdradę” została dotkliwie pobita przez nieznanych sprawców, zabroniono jej koncertowania, a jej twórczość usunięto z przestrzeni publicznej. Karierę gwiazdy muzyki odgórnie zakończono. Sagaipowa wyjechała z kraju.

WYCHOWYWANI NA BESTIE

Dzieci, wychowane w takich warunkach, mając takiego ojca, nie mogą nie pójść w jego ślady. W 2023 r. 15-letni Adam Kadyrow pobił w areszcie Rosjanina, który spalił Koran. Nagranie pobicia upublicznił sam dumny ojciec. Adam nie został ukarany, ale wręcz nagrodzony. To tylko najbardziej znany przykład jego okrucieństwa. W 2022 r. w Czeczenii w tajemniczych okolicznościach zginęło dwóch jego współpracowników. Pierwszym był Abdulkerim Ediłow, zawodnik MMA, który trenował synów Kadyrowa, za co został wicepremierem republiki. Drugim był osobisty ochroniarz Adama Murat Agmierzojew ps. Bars. Obaj zniknęli nagle z przestrzeni publicznej, po czym okazało się, że nie żyją. Jeśli to była zemsta dyktatora, to za co? Są dwie wersje. Według pierwszej Ediłow i „Bars” przeoczyli uzależnienie Adama od narkotyków, pod których wpływem młody następca tronu spowodował śmiertelny wypadek samochodowy. Według drugiej padli ofiarami internetowych plotek, które głosiły, że brali udział w… gejowskich orgiach razem z Kadyrowem juniorem. Biorąc pod uwagę, że w ultrakonserwatywnej Czeczenii homoseksualizm to jedna z najcięższych zbrodni, trudno sobie wyobrazić bardziej obraźliwą pogłoskę.

Putin nie musi się martwić o Czeczenię, a także może straszyć Kadyrowem swoich przeciwników

Powszechna jest opinia, zgodnie z którą – co prawda – Kadyrow to krwawy dyktator, ale przynajmniej zaprowadził porządek w Czeczenii i rozprawił się z terroryzmem. Twórcy dokumentu twierdzą jednak, że pacyfikacja niesfornej republiki była nieskuteczna, skoro Rosjanie nadal giną z rąk Czeczenów. Kiedyś ginęli żołnierze rosyjscy, dziś – przeciwnicy polityczni Kadyrowa i Putina, tacy jak Anna Politkowska czy Borys Niemcow.

Według „Projektu” Czeczenia jest sułtanatem niezależnym od Moskwy. Przestępcza działalność czeczeńskiego dyktatora jest widoczna gołym okiem. A jednak jest on nietykalny, bo uosabia Czeczenię, której podbój utorował Putinowi drogę do władzy. Paradoksalnie to akurat świadczy przeciwko tezie sformułowanej w reportażu. Putin skutecznie i ostatecznie stłumił czeczeński separatyzm, używając twardej ręki Kadyrowa. Ten ostatni nie zerwał się z Putinowskiej smyczy, nie stoi ponad Rosją. Kadyrow i Putin potrzebują się wzajemnie. Putin nie musi martwić się o Czeczenię, a także może straszyć Kadyrowem swoich przeciwników i pokazywać na niego palcem na zasadzie: „Rozmawiajcie ze mną, inaczej będziecie musieli rozmawiać z nim”. Kadyrow natomiast żyje i rządzi wyłącznie dzięki wsparciu Kremla. Jest całkowicie zależny od Putina. W zamian otrzymuje pełną swobodę w rozkoszowaniu się tym, co kocha najbardziej – czyli przemocą wobec swoich poddanych. A czasem też Rosjan. Byle nie wobec państwa rosyjskiego, na które groteskowy despota ręki nie podnosi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f863a161d9

FOT. CHRIS JACKSON/WPA POOL/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

TOREBKA CIĄŻY PIERWSZEJ DAMIE

Pierwsza dama Korei Południowej Kim Keon-hee była przesłuchiwana przez 12 godzin w sprawie prezentu otrzymanego od pastora. Dostała od niego wartą ponad 2 tys. dol. torebkę marki Dior. Zostało to uznane za możliwe przyjęcie łapówki, ponieważ urzędnikom oraz ich rodzinom w Korei nie wolno przyjmować prezentów wartych ponad 750 dol. Wręczanie torebki nagrano szpiegowską kamerą. Sprawa z prezentem już wpłynęła na drastyczny spadek poparcia dla prezydenta Yoon Suk-yeola.

ŚMIERDZĄCA SPRAWA

W Australii przestępcy mieli zamiar pod osłoną nocy wykraść paliwo z baku zaparkowanego autokaru. Pomylili jednak miejsce zbiornika na paliwo ze zbiornikiem na nieczystości i odessali brudy z toalety. Nieudany rabunek ujawnili mediom policjanci, którzy podkreślili, że nie są zainteresowani odzyskaniem skradzionych dóbr.

STARY I ŁYSY JAKO BLONDYNKA

Brytyjczyk Neil Clulow odbył lot z Birmingham do Alicante wyposażony w paszport swojej partnerki Karen Clift. Nie zauważył, że nie zabrał ze sobą własnego dokumentu, a pomyłki dopatrzył się dopiero w Hiszpanii wraz ze znajomymi. Nie wiadomo, jak udało mu się przejść kontrole na lotnisku. Linie Monarch Airlines wszczęły dochodzenie w tej sprawie. Okazało się, że to nie koniec perypetii pana Clulowa. Aby móc już z dobrym dokumentem wrócić z wycieczki, zamówił jego przewiezienie kurierem. Jednak paszport zamiast do Alicante trafił omyłkowo do Berlina. Brytyjczyk musiał poczekać z powrotem.

REKINY NA HAJU

Brazylijscy naukowcy stwierdzili, że badane przez nich rekiny ostronose były pod wpływem kokainy. To prawdopodobnie przez ścieki, które trafiają do wody, oraz paczki z kokainą wyrzucane do wody przez przemytników.

ZAMKNIĘTY W KOŚCIELE

Dom opieki w niemieckiej miejscowości Apolda w Turyngii zgłosił zaginięcie 90-letniego podopiecznego. Wysłano aż sześć policyjnych wozów na poszukiwania, ale mężczyzny nie udało się odnaleźć. Nagle po godz. 3 w miejscowości rozbrzmiały kościelne dzwony. Okazało się, że 90-latek został zamknięty w kościele i w końcu wpadł na pomysł, by uruchomić dzwony. Policjanci, którzy podjechali do kościoła, odtransportowali go do domu opieki. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Igrzyska hakerów

Odwołane operacje, tysiące opóźnionych lotów, zakłócona działaność banków, głuche numery alarmowe czy zamknięte sklepy. To skutek usterki systemu Windows, która dotknęła ok. 8,5 mln urządzeń, zapewne największej awarii IT w historii świata. Z komunikatu Microsoftu wynika, że jej powodem był błąd w aktualizacji. Ale był to też przedsmak tego, jak mocno na życie milionów ludzi na świecie mogą wpłynąć haktywiści, chcący zatrząść życiem obywateli zamożnego Zachodu, gdy uda im się skutecznie złamać zabezpieczenia.

Najbliższa okazja do ataku już jest. Francuska Żandarmeria Narodowa zidentyfikowała co najmniej 300 oszukańczych stron z fałszywymi biletami wstępu na olimpijskie areny. Eksperci podkreślają, że w ciągu dekady liczba udokumentowanych cyfrowych incydentów, w których tle znajdowały się duże imprezy, wzrosła z 212 mln podczas igrzysk w Londynie w 2012 r. do 4,4 mld (sic!) w trakcie igrzysk w Tokio w 2021 r. – Tak zwani haktywiści chętnie włamują się na popularne w trakcie wydarzenia witryny, aby za ich pośrednictwem głosić swoje przesłania – ostrzegł więc Robert Dąbrowski z Fortinet w Polsce. Tim West, dyrektor Threat Intelligence w WithSecure, zauważył zaś, że każdy incydent, który zakwestionuje stopień przygotowania do zawodów, może zostać wykorzystany do podważenia globalnej pozycji kraju. Francja może być więc narażona zwłaszcza na ataki hakerów z Rosji czy Białorusi.

Zagrożone są nie tylko rządy. Zwykli internauci też muszą bacznie zwracać uwagę, co robią, bo wystarczy źle wpisać jedną literkę w nazwie domeny, by zobaczyć łudząco podobną stronę, ale prowadzoną przez oszustów...

eprasa.pl f863a161d9

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Smacznego!

W przypadku każdego nowatorskiego rozwiązania, nawet jeśli jest to nowatorstwo zasługujące na miano idiotyzmu dekady, ktoś musi być pierwszy. Tym razem pierwsi na mecie zameldowali się Duńczycy!

Na razie bowiem tylko jeden rząd – właśnie duński – przyjął propozycję przepisów, które zmuszą tamtejszych rolników do płacenia podatku od emisji CO_2 w wysokości ok. 100 euro od każdej hodowanej krowy. W celu „zmniejszenia emisji" – rzecz jasna.

Wszelako, jak wiadomo, nad narzuceniem podobnego haraczu rolnikom we wszystkich państwach UE, a więc i w Polsce, pełną parą pracuje już Komisja Europejska – niezmordowana w swym dążeniu do zniszczenia Europy, jaką lubimy. Czyli pracuje nad narzuceniem tego haraczu obywatelom wszystkich państw UE, którzy nadal, mimo tylu lat ciężkiej pracy unijczyków, nie przestawili się na obowiązkowy wegetarianizm, a jeszcze lepiej na weganizm, i nadal ośmielają się delektować wołowiną – jasne jest bowiem, że podatek ten natychmiast zostanie przez rolników przerzucony na konsumentów.

A w dodatku, nie oszukujmy się, zaraz po wołowinie, która jest przecież dla unijczyków nieledwie poletkiem doświadczalnym, szybko przyjdzie czas na podatki od wieprzowiny, baraniny, mięsa drobiowego itd. I potem podatki te będą ustawicznie podwyższane – tak jak dziś ETS ze swym kretyńskim „handlem", nieustannie „drożejącymi" „uprawnieniami do emisji CO_2" – stopniowo coraz szersze rzesze Polaków, Czechów, Niemców, Francuzów itd. pozbawiając z powodu narastającej drożyzny możliwości zjedzenia ulubionego steku, schabowego czy kurczaka z grilla.

Ale żeby nie było, że Bruksela jest nieczuła na mięsne upodobania swych poddanych! W żadnym wypadku! Bruksela jest bowiem na nie bardzo wyczulona i właśnie dlatego nie ustaje nad rozszerzaniem listy jadalnych… robaków, które zaczęła wprowadzać do jadłospisu Europejczyków już w 2018 r. rozporządzeniem KE dotyczącym tzw. nowej żywności.

Bruksela serwuje nam więc już larwy mącznika, szarańczę wędrowną i świerszcza domowego, a komu mało mięska z tych insektów, może sobie dorzucić na talerz także, a jakże, larwy chrząszcza pleśniowego. A wkrótce – mniam, mniam, bo „Europejski Urząd do spraw Bezpieczeństwa Żywności nie ustaje w pracy" – będzie mógł skosztować dodatkowo nie tylko (cytuję za innpoland.pl) „poczwarki samców pszczoły miodnej *Apis mellifera*", lecz także „czarną muchę żołnierską *Hermetia illucens*" oraz – uwaga! – „pospolite trutnie".

No, po prostu palce lizać! I oczywiście… smacznego! ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Lex absurd

Wiedzą państwo, co to jest „lex Kamilek"? Nie? Nic dziwnego. Ja też do niedawna nie wiedziałem, a co ciekawsze – nadal nie wie ogromna część tych, których te absurdalne przepisy obejmują, a więc właściciele kwater, hotelarze czy dyrektorzy różnego rodzaju placówek edukacyjnych.

Zwyczajowa nazwa tego prawa – formalnie zmian w Kodeksie rodzinnym i opiekuńczym oraz innych ustawach – wskazuje, że mamy do czynienia z populizmem prawnym, czyli aktem uchwalonym pod wpływem emocji po konkretnym wydarzeniu. Ustawę uchwalił jeszcze poprzedni Sejm rok temu. Zjednoczona Prawica ma na koncie wiele takich aktów populizmu prawnego.

Zrobiono to jak zwykle, czyli bezmyślnie, bez sensu i bez analizy konsekwencji

Potoczna nazwa ustawy nawiązuje do sprawy Kamila z Częstochowy – chłopca, który został przez swojego ojczyma zadręczony na śmierć. Jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, posłowie i rząd uznali, że zamiast sprawdzić, co nie zadziałało, i poprawić już istniejące, a wystarczające mechanizmy, zaprojektują nowe prawo. Bo, jak wiadomo, od uchwalenia ustawy rzeczywistość zmienia się automatycznie.

Zrobiono to jak zwykle, czyli bezmyślnie, bez sensu i bez analizy konsekwencji. Głównym założeniem było, żeby sprawdzać, kto ma kontakt z dziećmi, ale skutki są jak z „Latającego cyrku Monty Pythona". Na przykład pracownik hotelu czy właściciel kwatery – również takiej, gdzie przyjmuje się turystów bez kontaktu (forma coraz bardziej popularna) – ma obowiązek sprawdzić, czy dorośli meldujący się wraz dzieckiem są jego rodzicami. W tym celu musi z nimi – i chyba także z niepełnoletnim – przeprowadzić wywiad, bo przecież inaczej nie da się tego zrobić.

Goście mogą go natomiast wysłać na drzewo, bo recepcjonista w hotelu nie ma uprawnień policjanta. Nie wiadomo też za bardzo, co miałby zrobić, jeśli się okaże, że niepełnoletnia osoba nie jest dzieckiem meldujących się dorosłych. Prewencyjnie wezwać policję? Pracownicy powinni też „przyglądać się" relacjom między gośćmi a niepełnoletnimi, czyli ich inwigilować.

Przy okazji skasowano możliwość wzięcia na szkolną wycieczkę rodziców do pomocy w opiece, bo ci musieliby przedstawiać zaświadczenie o niekaralności.

Jest to wszystko piramidalnym nonsensem. Ale czy państwa to choćby w najmniejszym stopniu dziwi? Mnie – ani trochę. ©℗

eprasa.pl f863a161d9

Łukasz Warzecha

Zmiana władzy w Polsce to z punktu widzenia biznesu żadna zmiana. Socjalistów pobożnych zastąpili socjaliści bezbożni

Socjaliści pobożni i bezbożni

Lektura nieznośnie długiego exposé Donalda Tuska z listopada 2007 r. robi dzisiaj dziwne wrażenie, jeśli zestawić je ze słowami, które padły 16 lat później. Znaczną część swojego ówczesnego wystąpienia przed laty pan premier poświęcił bowiem wolności obywateli oraz prowadzenia biznesu i zapewnianiu przedsiębiorców, że pod rządami Platformy Obywatelskiej ich los znacznie się polepszy. Tymczasem w ubiegłym roku ten temat był w ogóle nieobecny. Mimo że w 2007 r. mieliśmy za sobą dwa i pół roku rządów PiS, gdy za politykę gospodarczą w dużej mierze odpowiadała liberalna Zyta Gilowska (w dodatku będąc wicepremierem), teraz zaś za nami było osiem lat rządów tej samej formacji, jednak naznaczonych radykalnym przesunięciem ku socjalizmowi i etatyzmowi.

Exposé to oczywiście tylko słowa, ale w tym wypadku jakieś przełożenie na praktykę jednak było. Można by bowiem argumentować, że nawet jeśli dawny Donald Tusk nie okazał się czempionem liberalizmu, to pod pewnymi względami pasywność rządu PO w sprawach gospodarczych w latach 2007–2015 była lepsza niż nadaktywność następców.

Rozmowy nagrane potajemnie m.in. w restauracji Sowa i Przyjaciele pokazują, że metodą rządzenia za pierwszej Platformy było przede wszystkim nieprzemęczanie się. W kwestiach gospodarczych jedynym momentem mocniejszej interwencji był wybuch kryzysu finansowego, gdy pan premier sprzeniewierzył się własnej obietnicy, że z rządu zostanie natychmiast wyrzucony każdy, kto choćby tylko wspomni o podwyżce podatków. Tymczasem w 2010 r. decyzją tegoż Donalda Tuska nastąpiły radykalne podwyżki podatków i likwidacje wielu ulg. Pamiątką po tamtej sytuacji jest trwająca do dzisiaj podstawowa, bardzo wysoka stawka podatku VAT w wysokości 23 proc., właśnie wówczas podniesiona „tymczasowo" z 22 proc. Przy czym przyznać trzeba, że następcy z PiS tej „tymczasowej" podwyżki nigdy nie skasowali.

W istocie podwyżka obciążeń fiskalnych, którą w tamtym momencie, uzasadniając to właśnie światowym kryzysem finansowym, zaordynował nam rząd pana Tuska, była najwyższa w historii RP do tamtego momentu. Natomiast poza tym państwo pozostawało raczej biernym uczestnikiem życia gospodarczego. Jednym ze sposobów na pozyskiwanie pieniędzy przez ówczesny rząd były kolejne prywatyzacje firm dotychczas w dyspozycji Skarbu Państwa, a zatem zmniejszanie udziału państwa w gospodarce. Państwo nie prowadziło ani nie planowało wielkich projektów.

LEKCEWAŻENIE BIZNESU

To się zasadniczo zmieniło, gdy do władzy doszła Zjednoczona Prawica – przy czym słowa „prawica" na pewno nie można odnosić do polityki gospodarczej. Państwo stało się wręcz nadaktywne i to ono miało wyznaczać trendy – stąd po-

eprasa.pl f863a161d9

Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, minister rodziny, pracy i polityki społecznej, oraz premier Donald Tusk FOT. MARCIN OBARA/PAP

wołanie takich tworów jak Polski Holding Hotelowy (100 proc. państwowego kapitału) czy próby uczynienia z Orlenu czegoś na kształt polskiego czebola (czebole to koreańskie giganty, takie jak Samsung, Daewoo czy Hyundai, które w latach 90. zaangażowały się we wszystkie możliwe dziedziny wytwórczości i usług z fatalnymi skutkami dla siebie oraz koreańskiej gospodarki; sposobem naprawy sytuacji było pozbywanie się przez nie kolejnych dziedzin produkcji). Wypowiedzi ważnych dla polityki gospodarczej PiS polityków, takich jak szef Ministerstwa Aktywów Państwowych Jacek Sasin, nie pozostawiały wątpliwości, że państwo jest postrzegane jako kluczowy gracz i to ono ma być lokomotywą rozwoju, a nie prywatny biznes, a już zwłaszcza mały i średni.

Ten ostatni był traktowany jak cytryna, którą można wyciskać dla własnych celów, np. poprzez absurdalne windowanie wynagrodzenia minimalnego na poziom dalece przekraczający ten wymagany ustawą, czyli wynikający z prognozy inflacji na kolejny rok. Ostatnim momentem, gdy PiS próbował jeszcze udawać, że zależy mu na wsparciu przedsiębiorców, było przedstawienie w 2018 r. Konstytucji Biznesu, będącej pakietem pięciu ustaw. Jedna z nich powoływała rzecznika małych i średnich przedsiębiorców. Poza tym najważniejsza w pakiecie była ustawa Prawo przedsiębiorców. W ramach pakietu wprowadzono tak „rewolucyjną" zasadę jak „co nie jest zabronione, to jest dozwolone" – tak jakby nie była to jedna z fundamentalnych reguł każdego zachodniego systemu prawnego. Inna zasada mówiła, że instytucje mające do czynienia z przedsiębiorcami, a więc przede wszystkim organy kontroli skarbowej, powinny rozstrzygać wątpliwości na ich korzyść – co również powinno być oczywiste bez specjalnej ustawy.

Jak rychło przekonał się powołany na stanowisko rzecznika małych i średnich przedsiębiorców Adam Abramowicz, wymienione reguły często były całkowicie lekceważone. Abramowicz przekonał się także, że on sam jako rzecznik MŚP jest przez rządzących – którzy sami przecież stworzyli ten urząd – traktowany jak piąte koło u wozu. Wielokrotnie nie dostawał nawet odpowiedzi na pisma, które kierował do ministerstw albo kancelarii premiera.

Później miały miejsce dwa wydarzenia, które przedsiębiorcy zapamiętają jako najczarniejsze dla siebie godziny za rządów PiS: pandemia i Polski Ład. To pierwsze dla wielu branż oznaczało otarcie się o plajtę albo bankructwo. Całe branże były zamykane lub drastycznie ograniczano ich działalność bez żadnych podstaw w badaniach i danych, na zasadzie paniki albo czystej uznaniowości.

Mały i średni biznes był traktowany jak cytryna, którą można wyciskać dla własnych celów

W zamian rząd wrzucił na rynek 2 mld zł tarcz antycovidowych, napędzając inflację. Te tarcze dla niektórych firm okazały się pułapką: gdy przyszedł czas ich rozliczenia, okazało się, że z powodów proceduralnych muszą je w całości zwracać. Liczba takich podmiotów jest szacowana na niecałe 3 tys., a więc ok. 1 proc. małych i średnich firm, które pomoc wzięły. Nie zmienia to jednak tego, że spora grupa z nich kwestionuje żądanie zwrotu środków, twierdząc, że żadnych podstaw do tego nie ma.

Polski Ład ze swoimi skrajnie skomplikowanymi zasadami i zmianą sposobu wyliczania składki zdrowotnej na bardzo niekorzystną w porównaniu z poprzednio obowiązującą był dla biznesu jeszcze większym i dotkliwszym ciosem.

KOLOROWA LISTA PO

Wydawałoby się zatem, że Koalicja Obywatelska, której najważniejszym ugrupowaniem jest Platforma Obywatelska – partia o teoretycznie liberalnych korzeniach – dostała na tacy gotowy plan działania w gospodarce: w wielu przypadkach wystarczyło przywrócić stan sprzed zmian dokonanych przez poprzedników. I tu wracamy do exposé pana premiera.

To z 2023 r. radykalnie różniło się od tego wcześniejszego o 16 lat. Nie było w nim choćby pobieżnie zarysowanego kompleksowego programu rządzenia, w tym gospodarczego. W tej kwestii pan premier był uprzejmy odesłać słuchaczy do listy „100 konkretów na 100 dni", na której sprawy wolności gospodarczej zostały potraktowane marginalnie.

Prawdopodobnie w obliczu krytyki w związku z polityczną i programową pustką pierwszego półrocza rządów KO zaktualizowała ową listę na swojej stronie. W tej chwili podzielono ją na punkty zaznaczone na zielono jako „zrealizowane" (jest ich tylko 16, choć 100 dni dawno minęło) oraz na pomarańczowo jako będące „w realizacji". Kilka zapowiedzi w ogóle nie zostało pokolorowanych, co wskazuje, że nie da się nawet udawać, że są „w realizacji".

Wśród zapowiedzi zrealizowanych tylko dwie dotyczą przedsiębiorców, przy czym jedna to oszustwo. Mowa o „urlopie dla przedsiębiorców", czyli jednym – zaledwie jednym! – miesiącu wolnym od składek ZUS-owskich. Pierwotnie w zapowiedziach mowa była o przejściu na dobrowolne składki. To, co zostało i weszło w życie, jest kpiną, zwłaszcza że dotyczy to jedynie mikroprzedsiębiorców zatrudniających do 10 osób z przychodami rocznymi do 2 mln euro. Druga zrealizowana zapowiedź dotyczy tylko jednej, wąskiej branży: to obniżka VAT do 8 proc. dla branży beauty (salony piękności, kosmetycy, fryzjerzy itp.). Nie ma to więc znaczenia dla ogółu firm.

eprasa.pl f863a161d9

A pozostałe obietnice? „Ograniczymy czas kontroli mikroprzedsiębiorców do 6 dni w skali roku. Urzędy Skarbowe nie będą w nieskończoność przedłużać kontroli" – czytamy w punkcie 36. Tymczasem nic się tu nie zmieniło, mimo że taką zasadę można by wprowadzić bez zmian ustawowych. Wystarczy, aby odpowiednie instrukcje dla Krajowej Administracji Skarbowej wydał jej zwierzchnik, czyli minister finansów. Tego nie zrobiono. Nie ma też oczywiście żadnego projektu ustawy wdrażającego to ograniczenie – a można zakładać, że zyskałby on poparcie w Sejmie, a prezydent chyba nie miałby powodów, aby uchwalonej ustawy nie podpisać.

„Pomożemy mikroprzedsiębiorcom obniżyć koszty działalności: zasiłek chorobowy od pierwszego dnia nieobecności pracownika będzie płacił ZUS" – mówi punkt 35. „Prace nad tym projektem się toczą" – to odpowiedź pani minister Agnieszki Dziemianowicz-Bąk z czerwca. Była to jedna z najbardziej oczekiwanych przez przedsiębiorców zmian.

Punkt 34: „Wrócimy do ryczałtowego systemu rozliczania składki zdrowotnej. Skończymy z absurdem składki zdrowotnej od sprzedaży środków trwałych". Ta obietnica zakładała odwrót od zasady wprowadzonej przez fatalny Polski Ład. W tej sprawie nie ma zgody pomiędzy koalicjantami, pojawiają się różne propozycje, a konkluzji brak.

„Przedsiębiorcy zapłacą podatek dochodowy dopiero po otrzymaniu środków z tytułu zapłaconej faktury (kasowy PIT)". Jak informuje strona „100 konkretów" – w tej sprawie prowadzone są „uzgodnienia międzyresortowe".

Na wypadek, gdyby ktoś łudził się w sprawie stosunku Donalda Tuska do gospodarki i biznesu, powinien po prostu spojrzeć na skład Rady Ministrów. Dla spraw przedsiębiorców, szczególnie małych i średnich, kluczowe są dwa ministerstwa: Ministerstwo Finansów oraz Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Mniejsze znaczenie mają Ministerstwo Przemysłu czy Ministerstwo Rozwoju i Technologii. Pierwszym z wymienionych resortów kieruje rachmistrz PO, Andrzej Domański, który jest po prostu człowiekiem od Excela bez własnych pomysłów i politycznego znaczenia. Pierwsze skrzypce w kształtowaniu gospodarczej polityki rządu odgrywa zatem pani minister Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, nominatka Lewicy. To, że lider PO zgodził się, aby ten właśnie koalicjant objął resort kluczowy z punktu widzenia znacznej części polityki gospodarczej, bo decydujący m.in. w kwestii oskładkowania, wiele mówi o priorytetach pana premiera oraz jego aktualnym stosunku do biznesu. Szczególnie w sytuacji, gdy w obecnym rządzie nie ma istniejącego wcześniej Ministerstwa Gospodarki.

Powiedzieć, że pani Dziemianowicz-Bąk nie rozumie biznesu, to nie powiedzieć nic. Pani minister nigdy nie miała z przedsiębiorcami nic wspólnego. Jest absolwentką pedagogiki i filozofii. W życiu nie otarła się o prowadzenie jakiegokolwiek biznesu, a jako działaczka radykalnej lewicy, wywodząca się z Partii Razem, ma w politycznych genach wręcz zapisaną wrogość wobec wolnego rynku, wolności gospodarczej i przedsiębiorców. To ona jest autorką pomysłów mrożących krew w żyłach nie tylko każdego liberała, lecz także każdego, kto prowadzi własny biznes. Kilka miesięcy temu oznajmiła, że chciałaby, aby wynagrodzenie minimalne wynosiło w Polsce 60 proc. wynagrodzenia średniego. Można spokojnie założyć, że pani minister kompletnie nie rozumie, do jakich konsekwencji prowadziłoby takie rozwiązanie. Odnosząc się do krytyki, pani Dziemianowicz-Bąk oznajmiła, że „skończył się, na szczęście, ten czas, kiedy polska gospodarka miała na celu konkurowanie niskimi kosztami zatrudnienia, tanią siłą roboczą i zderegulowanymi warunkami pracy". Nie wyjaśniła niestety, czym Polska ma wobec tego w tej chwili konkurować.

Zapowiedzi szefowej MRPiPS skomentował wkrótce sam pan premier, zapowiadając, że podwyższenie wynagrodzenia minimalnego nie przekroczy tego wymaganego ustawą, czyli prognozy inflacji na kolejny rok, ale w połączeniu z wcześniejszymi podwyżkami zaordynowanymi przez PiS to dla przedsiębiorców marna pociecha. A może być gorzej, bo resort pracy pracuje nad nowym mechanizmem wyznaczania płacy minimalnej, aby zrealizować unijną dyrektywę.

Inna kuriozalna zapowiedź pani minister dotyczyła wynagrodzenia chorobowego, które miałoby wynosić nie jak dotąd 80 proc. pensji, ale 90 albo i 100. Ekonomiści i przedsiębiorcy złapali się za głowę, rozumiejąc natychmiast, że oznaczać to będzie epidemię zwolnień lekarskich, skoro z punktu widzenia finansowego pracownikowi byłoby wszystko jedno, czy pracuje czy idzie na zwolnienie. Pani minister wydaje się jednak nie rozumieć skutków realizacji swoich zapowiedzi.

ŻADNA ZMIANA

Nie ma zatem odwrócenia złych dla gospodarki i biznesu decyzji rządu Zjednoczonej Prawicy. Nie ma zapowiadanej obniżki podatków poprzez podwyższenie kwoty wolnej do 60 tys. zł. Jest za to zapowiedź realizacji uzgodnionego z Komisją Europejską przez poprzedni rząd kamienia milowego, oznaczającego objęcie pełnym oskładkowaniem wszystkich umów cywilno-prawnych, wskutek czego wynagrodzenia netto niektórych pracobiorców mogą spaść skokowo o nawet 30 proc. Szykowana jest podwyżka akcyzy na wyroby tytoniowe – łamiąca uzgodnienia tzw. mapy drogowej, czyli wypracowanych z przemysłem tytoniowym przez poprzednią władzę zasad stopniowego podnoszenia podatku akcyzowego. Powiększona ma być także sieć dróg, za używanie których płacić będą kierujący pojazdami o masie powyżej 3,5 tony. To uderzenie w sektor transportowy, który i tak potężnie oberwał w związku z konkurencją z Ukrainy.

Oprócz fiskalizmu i etatyzmu jest też paternalizm, czyli traktowanie obywatela jak głupiego dziecka, któremu trzeba co chwila dawać po łapach. Wydawało się, że trudno w tym przebić Zjednoczoną Prawicę, a jednak – w taką politykę wpisuje się chociażby plan minister zdrowia Izabeli Leszczyny, aby zakazać sprzedaży alkoholu na stacjach benzynowych – co jest uderzeniem w wolność handlu. Przy czym ministerstwo nie przedstawia nawet strzępka dowodu, że w jakikolwiek sposób wpłynie to na cokolwiek – np. na liczbę pijanych kierowców. A więc obecna władza działa dokładnie tak jak poprzednia: bez namysłu, zastanowienia, czysto populistycznie – zachowując przy tym wszelkie „dokonania" Zjednoczonej Prawicy.

Tak oto socjalistów pobożnych zastąpili socjaliści bezbożni. Z punktu widzenia biznesu – żadna różnica.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f863a161d9

Z Karolem Kudrą, prezesem Polskiej Grupy Producentów Obuwia
rozmawia Tomasz Cukiernik

Buty będą miały cyfrowe paszporty

TOMASZ CUKIERNIK: Kiedy, w jakim celu powstała Polska Grupa Producentów Obuwia i interesów jakich firm broni?

KAROL KUDRA: Polska Grupa Producentów Obuwia powstała w 2019 r. Nikt wtedy nie przewidywał tego, co miało się wydarzyć w perspektywie następnego roku, czyli pandemii COVID-19. Ta wstrzymała jakiekolwiek prace na kolejne dwa lata i pogrążyła branżę jeszcze bardziej. Już w 2019 r. sytuacja branży obuwniczej nie była najlepsza, a powstanie PGPO miało dać nadzieję na zjednoczenie się małych i średnich producentów obuwia oraz obranie wspólnej drogi ku jej restrukturyzacji. Po Euromajdanie w 2014 r. polscy producenci zaczęli doświadczać problemów ze sprzedażą obuwia. Zamknął się rynek rosyjski, a był on jednym z głównych, na którym polscy producenci obuwia sprzedawali swoje wyroby. Stowarzyszenie powstało po to, aby szukać nowych alternatyw, rozwiązań, aby rozmawiać z rządem i zasygnalizować problemy branży oraz aby rząd zwrócił uwagę na słabą jakość obuwia importowanego, które de facto jest niekontrolowane, a stanowi w krótkiej perspektywie odpad do utylizacji, za który zapłacą Polacy.

W tym czasie zaczęliśmy odgrywać bardzo istotną rolę na rynku, m.in. w związku z planowaną budową Branżowego Centrum Umiejętności (BCU) w Kalwarii Zebrzydowskiej. Dla nas to ważna funkcja edukacyjna. Na rynku brakuje fachowców i szkoły, która przygotowywałaby do zawodu obuwnika. W BCU będziemy kształcić młodzież, dorosłych i nauczycieli.

Czy to nie jest powrót do tak krytykowanych PRL-owskich zawodówek?

I tak, i nie. W szkołach zawodowych kształciła się młodzież, która odbywała na pewnym etapie edukacji praktyki zawodowe. System kształcenia trwał trzy lata i uwzględniał wiedzę nie tylko z zakresu przygotowania do zawodu. Branżowe Centra Umiejętności kładą nacisk wyłącznie na kwalifikację, którą ma pozyskać student. Łączą biznes z sektorem edukacji, ponieważ przedsiębiorcy odgrywają tu istotną rolę, a BCU będzie zapewniać kwalifikacje, których na rynku obecnie brakuje.

Osobiście uważam, że szkoły zawodowe wcale nie były złe, a ich likwidacja odbija się obecnie na społeczeństwie z powodu braku fachowców. Doskonale wszyscy sobie zdają sprawę, że trudno obecnie o dobrego ślusarza, elektryka czy hydraulika, a ci, którzy są profesjonalistami, mają ręce pełne pracy. Obserwujemy także na rynku pewien trend, który promuje rzemiosło i rękodzieło. Coraz częściej są poszukiwane produkty robione ręcznie, produkty trwałe i zarazem ładne. BCU w Kalwarii Zebrzydowskiej o profilu obuwniczym będzie jedynym takim centrum w całej Polsce, a osoby kreatywne będą mogły rozpocząć przygodę z rzemiosłem we własnym zakresie.

Jak zmieniła się branża producentów obuwia od czasów tzw. transformacji ustrojowej?

Branża zmieniła się bardzo. Okres komunizmu, lata 70. i 80., to czasy, gdy wszystkiego w Polsce brakowało. Brakowało również surowców do produkcji obuwia, mimo wszystko kilka firm istniało. To byli prawdziwi rzemieślnicy. Transformacja ustrojowa, która nastąpiła po 1989 r., dała wiele możliwości w zakresie prowadzenia biznesu. Był to czas uwolnienia rynku i przejścia do własności prywatnej. To był bardzo dobry czas na biznes. Sprzedawało się wszystko i w każdej ilości. W latach 90. powstało wiele firm obuwniczych, które przetrwały do obecnych czasów. Wiele niestety zostało zamkniętych. Zgodnie z danymi GUS na koniec 2022 r. mieliśmy w Polsce 2707 zakładów produkujących obuwie.

Okres 35 lat od roku 1989 wiele zmienił. W tym czasie branża przeszła totalną transformację. Od obuwia robionego ręcznie do świetnie wyposażonych linii obuwniczych, które wspomagały i dalej to robią zaawansowane maszyny. W pewnym momencie byliśmy czwartą siłą w Europie w liczbie produkowanych par obuwia. Niestety, nic nie trwa wiecznie i ten okres jest już za nami. Zmiany polityczne, warunki prowadzenia biznesu, ogólnorynkowa konkurencja nawet w ujęciu globalnym spowodowały, że branża totalnie się zmieniła, a prowadzenie biznesu nie jest już takie łatwe. Te firmy, które nie nadążały za postępem technologicznym i wyżej wymienionymi zmianami, musiały ustąpić miejsca

eprasa.pl f863a161d9

bardziej elastycznym firmom, takim, które potrafią się zaadaptować do nowych warunków.

Jaka jest aktualna sytuacja na rynku obuwia w Polsce?

Obecnie mamy trudną sytuację na rynku w Polsce z kilku powodów. Do głównych problemów zaliczam zamknięte rynki rosyjski i ukraiński, co powoduje, że polscy producenci obuwia stracili dwa najlepsze rynki zbytu. W związku z powyższym muszą szukać nowych rynków sprzedaży, co nie jest ani łatwe, ani tanie. Problemem jest także brak wsparcia dla produktów pochodzenia polskiego.

Rozmawiamy o tym z rządem, jednak bez żadnego efektu. Dziwi nas to, że nie dba się o to, co polskie (z wyjątkiem znaku „Produkt polski", który dotyczy wyłącznie produktów spożywczych), niemniej jednak podejmujemy w tym zakresie pewne działania, które mają na celu przeforsowanie tego pomysłu. Jesteśmy po rozmowach z posłami, którzy chcą nam pomóc. Współpracujemy także z fachowcami z Uniwersytetu Jana Długosza w Częstochowie w zakresie próby zmiany ustawy z 2003 r. o ogólnym bezpieczeństwie produktów. Wydawałoby się, że Polacy wolą polskie marki. Z pewnością tak jest, w jakimś stopniu jednak nadal w większości przypadków kierują się ceną. Włosi np. mają Ministerstwo do spraw Firm Made in Italy. Proszę zobaczyć, z jakim patriotyzmem ekonomicznym mamy u nich do czynienia. Są dumni ze swoich produktów, technologii i będą ich bronić. Życzyłbym sobie, aby nasz rząd uczył się na ich przykładzie.

Bardzo duży problem dla branży stanowią buty niskiej jakości, importowane z Dalekiego Wschodu. Niestety, państwo nie ma nad nimi żadnej kontroli mimo istnienia odpowiednich komórek, które mogłyby się tym zająć. Są wykonane z tanich i niskiej jakości materiałów, takich jak materiały syntetyczne, które zawierają w sobie substancje ropopochodne. Stanowi to realne zagrożenie dla zdrowia człowieka. Przy tak dużym nacisku ze strony Unii Europejskiej na ekologię dziwię się, że ten proceder nadal trwa, bo trzeba będzie kiedyś te buty zutylizować, za co zapłacą Europejczycy. Nawet jeśli buty wykonane są ze skóry naturalnej, to rzadko kiedy się zdarza, aby ktoś

w takich krajach jak Indie czy Bangladesz dbał o normatywność surowców i materiałów używanych do produkcji. Niestety, w krajach, które wyżej wymieniłem, wykorzystywane są do pracy dzieci poniżej 14. roku życia za jednego dolara tygodniowo. Produkty są tanie, bo ich koszt wytworzenia jest minimalny, a nasi producenci nie są w stanie konkurować z takimi produktami.

Jakie nieuczciwe praktyki stosują importerzy?

Produkty importowane oznaczają polską i/lub unijną flagą. Stosują dopisek „Polski producent obuwia". Nie podają informacji o kraju wytworzenia produktu. Stosują kody kreskowe zaczynające się od 590… Wyjaśnić należy, że stosowanie przez importerów kodu kreskowego 590 nie jest łamaniem prawa. To potwierdzenie, że importer należy do systemu GS1 i jest zarejestrowany jako polski przedsiębiorca. Jednak kod kreskowy zaczynający się od cyfr 590 nie oznacza, że produkt został wyprodukowany w Polsce, tylko że przedsiębiorca, który wprowadza na rynek produkt, jest zarejestrowany w Polsce. To znaczna różnica.

Niestety, w świadomości konsumentów jawi się ten kod – co pokazują nasze obserwacje – jako potwierdzenie wyprodukowania towaru na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej. W ten sposób importerzy dają jasny, ale fałszywy znak konsumentowi, że produkt pochodzi z Polski, mimo że tak nie jest. Nie mamy

eprasa.pl f863a161d9

FOT. ADOBE STOCK

zamiaru eliminować importu, bo to niemożliwe i sprzeczne z zasadami wolnego rynku. Konkurujmy ze sobą, ale na uczciwych warunkach.

Jaka jest przewaga butów produkowanych w Polsce nad tańszymi butami z importu?

Obuwie wyprodukowane w Polsce przede wszystkim uwzględnia surowce, które zostały zakupione na rynku lokalnym lub europejskim, a co za tym idzie – są przebadane, dopuszczone do obrotu i spełniają rygorystyczne normy Unii Europejskiej. Posiadamy w Europie, a nawet w Polsce jednostki badawcze, które kontrolują surowce wykorzystywane na etapie produkcji obuwia, np. skóry obuwnicze pod względem zawartości pierwiastków szkodliwych dla zdrowia człowieka, jak chrom VI.

Obawiamy się o przyszłość, gdyż ciągle słyszymy głosy o niestabilności energetycznej Polski

Ponadto obuwie kupione w Polsce przyczynia się do wzrostu gospodarczego naszego kraju. Producenci obuwia zatrudniają lokalnie, odprowadzają podatki, a konsumenci, kupując polskie produkty, sprawiają, że pieniądz nie wypływa poza granice kraju i znów jest inwestowany u nas. W bardzo dużym stopniu obuwie importowane, tanie jest efektem niskiej jakości materiałów i taniej siły roboczej. Tanie materiały użyte do produkcji obuwia oznaczają, że nie są one badane i mogą zawierać rakotwórcze składniki.

Czy branża odczuwa wysokie koszty energii, co w duże mierze jest rezultatem polityki energetyczno-klimatycznej Unii Europejskiej?

Jakikolwiek wzrost kosztów nie sprzyja branży. Na chwilę obecną koszty energii ustabilizowały się na określonym poziomie i zostały wchłonięte przez producentów oraz zaadaptowane do nowych warunków. Obawiamy się jednak o przyszłość, gdyż ciągle słyszymy głosy o niestabilności energetycznej Polski. W ostatnich pięciu latach przedsiębiorcy ogółem przyjęli na siebie szeroki wachlarz nowych wymagań i podatków, jak choćby: BDO, zmieniona składka zdrowotna, koszty energii elektrycznej, drastyczna podwyżka płac minimalnych, a co za tym idzie – kosztów ZUS, a kolejne opłaty już stoją za rogiem, m.in. opłata produktowa, cyfrowy paszport produktowy (gospodarka obiegu zamkniętego). Na chwilę obecną nie mam pojęcia, jak firmom przyjdzie konkurować ze znacznie tańszymi produktami importowanymi. I nie myślę w tej chwili wyłącznie o obuwiu.

Czy poza wzrostami cen energii są jeszcze jakieś regulacje unijne, które zwiększają koszty w waszej branży?

Gospodarka obiegu zamkniętego, którą szykuje nam Unia Europejska, będzie taką regulację stanowić. Mają się pojawić m.in. nowe opłaty związane z zakończeniem cyklu życia produktu i będą za to musieli zapłacić sprzedawca lub ten, kto wprowadza produkt na rynek. Według mnie elektryfikacja rynku motoryzacyjnego spowoduje znaczny wzrost cen produktów ogółem. Kto wie, jakie przyjdzie nam płacić podatki w tym zakresie? Czas pokaże.

W grudniu 2023 r. wraz z branżą odzieżową braliście udział w proteście w Rzgowie, a w marcu tego roku dołączyliście do protestu przedsiębiorców w Warszawie, żądających m.in. przywrócenia zryczałtowanej składki zdrowotnej oraz dobrowolnego ZUS. O co chodzi?

Tak, braliśmy udział w takich protestach. W Rzgowie przyłączyliśmy się do branży odzieżowej, a w Warszawie wraz z Pawłem Tanajną piętnowaliśmy system, który zmienił składkę zdrowotną. Uderzyła ona znacznie w małe przedsiębiorstwa i samozatrudnionych, którzy często prowadzą sklepy obuwnicze. Obciążenia podatkowe z tego tytułu powodują, że prowadzenie sklepu stoi na skraju opłacalności. Nie wykluczamy kolejnych protestów, ale wszystko zależy od tego, jak pójdą rozmowy rządem.

Gdzie można szukać mapy sklepów obuwniczych z polskim obuwiem?

Stworzyłem mapę sklepów obuwniczych z polskim obuwiem i uruchomiłem program „Daj się znaleźć", który skierowałem do właścicieli sklepów. Odzew przerósł moje oczekiwania, gdyż na ten moment zarejestrowaliśmy ponad 50 punktów w całej Polsce. Mapę sklepów zamieściłem na naszej stronie Pgpo.pl, jak również na profilu stowarzyszenia na Facebooku. Posiadamy też specjalny znak towarowy „PGPO Buty wyprodukowane w Polsce", który jest znakiem zastrzeżonym w Urzędzie Patentowym oraz posiada element holograficzny, dzięki czemu konsument ma 100 proc. pewności, że buty, które kupuje, pochodzą od polskiego wytwórcy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Karol Kudra – prezes Polskiej Grupy Producentów Obuwia.

eprasa.pl f863a161d9

Wsiąść do pociągu (nie) byle jakiego

FOT. ADOBE STOCK

Joanna Bojańczyk

Luksusowa turystyka kolejowa pozwala na spędzenie kilku dni w eleganckim otoczeniu. Taka podróż staje się coraz bardziej modna, jednak wciąż pozostaje zabawą dla zamożnych. Odbyciem ekstrawaganckiej „train experience" można się pochwalić przed znajomymi

Tłum oczekujących na stacji Warszawa Zachodnia na pociąg relacji Warszawa – Hel. Jestem przez tatę wrzucana przez okno do przedziału drugiej klasy, gdzie podróż spędzam na bagażowej półce – dla małego dziecka to nawet atrakcja. Dojechaliśmy szczęśliwie, chociaż trochę na mnie ciekło, bo padał deszcz, a dach nie był całkiem szczelny. To był koniec lat 50., moje najwcześniejsze doświadczenie podróży pociągiem.

Lata minęły – nawet dziesięciolecia – i nie tego oczekujemy po podróżach. Podarować sobie odrobinę luksusu to dzisiaj za mało. Luksusu należy się dużo.

ZABAWA DLA ZAMOŻNYCH

Samoloty, lotniska, spóźnienia, odwołane loty. Jakież to męczące i banalne! Podróż samochodem – jeszcze gorzej: korki, zmęczenie, monotonia autostrad. Zatem pociąg. Już nie taki, jak kiedyś – zatłoczony, brudny, łapiący spóźnienia. Teraz można upajać się wykładanymi mahoniem przedziałami, krochmalonymi obrusami, kelnerami podającymi kawior i szampana przy stoliku z lampką, atłasową pościelą i usypiającym stukotem kół. Za oknem przesuwające się krajobrazy, dworce, miasta, granice.

Turystyka pociągowa nowego wymiaru staje się coraz bardziej modna, jednak wciąż pozostaje zabawą dla zamożnych. Niewątpliwie odbyciem ekstrawaganckiej „train experience" można się pochwalić przed znajomymi wracającymi z wycieczki do Turcji w hotelu dwugwiazdkowym. Ale to kosztuje.

Im tłok w przestrzeni większy, tym kolej atrakcyjniejsza. Zainteresowanie transportem kolejowym wzrasta, ale dział podróży luksusowych to osobny rozdział. Sprawa jest ewidentnie rozwojowa nie tylko z punktu widzenia oczekiwań pasażerów, lecz także ekonomicznie.

Wyczuł to prezes spółki LVMH Bernard Arnault, człowiek obdarzony intuicją biznesową i wyczuciem rynku – nie bez powodu jest najbogatszy na świecie. Jego najnowsza inwestycja:

eprasa.pl f863a161d9

Orient Express. Legenda kolejnictwa, którą upamiętniła Agata Christie. Pociągi powinny być dozgonnie wdzięczne angielskiej pisarce, zapewniła im wielką, skuteczną i długotrwałą reklamę na całym świecie.

Prezes Arnault będzie teraz działał nie tylko z pociągami, lecz także z grupą hotelową Accor (tą samą, do której należy Hotel Europejski w Warszawie). Celem nowej spółki ma być – jak czytamy w oświadczeniu dla prasy – rozwój słynnej marki Orient Express. „LVMH nawiąże współpracę z Accor poprzez strategiczną inwestycję w markę Orient Express – spółkę, która będzie obsługiwać hotele i pociągi, a także dwa jachty".

Na razie zajmiemy się pociągami, jachty w następnej kolejności. Zachęcająco prezentuje się Venice Simplon-Orient-Express, współczesna wersja kultowego Orient Expressu, który pierwszą podróż z Paryża do Stambułu odbył w 1883 r.

Nic dwa razy się nie zdarza – w tym roku legendarny pociąg powrócił, ale jeździ już po innych trasach. Nie sprawuje wyłącznie komunikacyjnej funkcji, ale przede wszystkim dostarcza wrażeń i pozwala na spędzenie kilku dni w luksusowym otoczeniu. Venice Simplon-Orient-Express przedstawia się jako „najbardziej luksusowy pociąg w Europie". Na stronie biura wagon salonka. Miękkie kanapy, poduszki, wazony z kwiatami, lampki. Trasa Wenecja – Paryż pozwala cieszyć się tymi wygodami przez jedną tylko noc. Wyruszamy ze stacji Santa Lucia, gdzie steward poprowadzi do przedziału. Pociąg ruszy, zjemy lunch, popijając dobrymi winami, a po herbacie i ciasteczkach, podziwiając ośnieżone szczyty Dolomitów, pod wieczór dotrzemy do Innsbrucku. Zwiedziwszy alpejski kurort i po nocy przespanej w eleganckim przedziale (informacji iluosobowym biuro nie podaje), udajemy się w kierunku zachodnim. Pozostaje liczyć, że nie będziemy dzielić przedziału ze starszym panem cierpiącym na bezdech... Rankiem po śniadaniu pociąg dojeżdża na dworzec Gare du Nord i witamy się z Paryżem. Na bardzo krótko: podczas 40-minutowego postoju można zaliczyć mały spacer. Po brunchu pociąg dociera nad kanał La Manche, gdzie dalsza część podróży odbywa się w autokarze. Po wjechaniu na teren Wielkiej Brytanii pasażerowie ponownie przesiadają się do pociągu. Ale to już Belmond British Pullman.

Gdy spodobała nam się podróż, można udać się w następną. Biuro Vacations By Rail ma więcej propozycji. Z perspektywy pojazdu szynowego można zwiedzić: Amsterdam, Budapeszt, Brukselę, Florencję, Genewę, Pragę i Rzym. Cena za podróż dla jednej osoby wynosi ok. 3 tys. funtów (ok. 15 tys. zł). Najdroższe jest połączenie Paryż – Stambuł. Przejażdżka trasą dawnego Orient Expressu trwa sześć dni i można z niej skorzystać tylko raz w roku. Koszt – prawie 100 tys. zł. Po drodze: Budapeszt, Bukareszt, Bułgaria. W cenie zwiedzanie i pełne wyżywienie.

Marka Belmond, operator tych tras, także należy do francuskiego koncernu LVMH.

Eastern & Oriental Express to „siostra" europejskiego Venice Simplon-Orient-Express, tylko z orientalnym zabarwieniem. Pociąg przez trzy dni przemierza trasę z Singapuru do Malezji, mijając dżungle, pola ryżowe, palmy, wioski. Serwowany jest trzydaniowy lunch, wieczorem czterodaniowa kolacja, popołudniowa herbata, wieczorem wycieczki i aktywności... Zachęcająca ciekawostka – każdy przedział posiada własną, malutką łazienkę z prysznicem, umywalką i toaletą. Przyjemność tej egzotycznej podróży kosztuje od 4 do 5 tys. dol., w zależności od sezonu.

WARIANT EKONOMICZNY

Namiastką Orient Expressu w wariancie ekonomicznym i warunkach nieco bardziej siermiężnych będzie trasa z Moskwy do Władywostoku. Dwadzieścia sześć dni i 25 nocy, 12 tys. km, po drodze kosmodrom Wostocznyj i jezioro Bajkał. Biuro proponuje także coś podobnego, ale w wersji krótszej. Za to zamiast Władywostoku – Pekin. Z wizytą w Mongolii. W planie: zwiedzanie miast, noclegi w hostelach, w jurtach, przejażdżki łazem, motorówką, wielbłądem. Cena, która wydaje się zachęcająca jak na zakres wyprawy, nie przewiduje jednak wyżywienia, a luksusy transsyberyjskiej podróży trzeba będzie dzielić ze współpasażerami. Nie ma przedziałów, tylko otwarta przestrzeń wagonów sypialnych. Trudno powiedzieć, czy to wszystkich zadowoli. Nie wiadomo też, czy podróż przez Rosję okaże się zachęcająca; od czasu napadu Putina na Ukrainę Rosja nie jest naszym ulubionym krajem.

Na drogach Szwajcarii widać mniej mercedesów i porsche niż na polskich autostradach. Za to sieć kolejowa działa perfekcyjnie. Można z niej skorzystać, gdy nie ma się ochoty szukać parkingu, noclegu i restauracji. Szwajcarskie koleje zrobią to za nas – wiedzą, co należy pokazać w ich pięknym kraju. Bez atmosfery wspinania się na wyższe półki luksusu, naśladowania Orient Expressu, za to punktualnie i wygodnie. Szwajcarzy są dumni ze swego kraju, mają własne pociągi, chwalą własne widoki, imponujące wiadukty i tunele. Kraj niesłusznie uchodzący za nudny oferuje wiele propozycji wycieczek krajoznawczych.

Na całość pójdziemy, wybierając Grand Train Tour of Switzerland – podróż pociągiem przez 1280 km w siedem–osiem dni. Od miast do lodowców, od jezior do ukrytych jaskiń, przez cztery oficjalne języki i miasta z listy UNESCO. Z Golden Pass Panoramic, Belle Epoque i Glacier Expressem można przejechać przełęczą Jungrfaujoch z najwyżej położoną w Europie stacją kolejki zębatej oraz pospacerować po Montreux. Biuro zachwala miasto, gdzie mieszkał wokalista Queen – Freddie Mercury. Osobiście w Montreux wolałam odwiedzić hotel Palace, w którym ostatnie lata spędził wybitny pisarz Władimir Nabokov.

Bernina Express to spektakularna trasa kolejowa przez Alpy. Prowadzi przez górskie scenerie, doliny, rzeki, jeziora, imponujące wiadukty i tunele. W czasie ośmiogodzinnej trasy pociąg przejeżdża przez 91 tuneli i 291 mostów.

Dla foodies, którzy mijając zaśnieżone szczyty, rozmarzają się nad perspektywą wieczornego posiłku, są dwie oferty. Pociąg serowy Train du Fromage. Sześć godzin i kilkadziesiąt gatunków sera oraz kieliszek regionalnego wina. Trudno pominąć pokaz i degustację słynnej fondue, flagowego dania szwajcarskiej kuchni. Pociąg czekoladowy działa tylko od maja do października.

Podróż odbywa się w wagonach w stylu belle époque, wycieczki turyści odbywają autokarem. Przystanek w Broc i słynnej fabryce czekolady Cailler, oczywiście z degustacją.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f863a161d9

Samotne podróżniczki

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Jacek Pałkiewicz

Do samotnego wyjazdu skłania panie ciekawość nowych doświadczeń, potrzeba wolności. Czasem są to też wypalenie zawodowe, żałoba, utrata poczucia własnej wartości czy depresja

Podróżowanie przez wieki było wyłączną domeną mężczyzn. Podczas gdy Ulisses dokonywał legendarnych wyczynów, jego wierna żona Penelopa czekała 20 lat, nie ruszając się z domu. Jest ona egzemplifikacją tego, czego od kobiety zawsze oczekiwano, zajmowania się szeroko pojętymi pracami domowymi. W „Odysei” Homera pojawia się inna kobieta, młoda Nausicaa, która ratuje Ulissesa, zakochuje się w nim i z zachwytem słucha opowieści o jego wędrówkach. A potem oczekuje, aby pozostał on w domu, jednak głód odkrywania był silniejszy i Ulisses wznowił podróż, udając się do Itaki.

Przez wiele różnych cywilizacji i kultur kobiety żyły historiami mężczyzn. W pewnym momencie nie wystarczało już im słuchanie historii innych ludzi. Na przestrzeni wieków nieustraszone kobiety zmieniały te zasady.

PIERWSZA OPŁYNĘŁA ŚWIAT

„Ostatniej nocy z soboty 28 na niedzielę 29 maja 1768 r. przyszło mi zwrócić uwagę na osobliwy, odbiegający od normy fakt – pisał dowodzący wyprawą naukową dookoła świata Louis Antoine de Bougainville. – Na statku odkryto kobietę przebraną za mężczyznę”. Smukła piegowata, mało atrakcyjna kobieta nazywała się Janne Baré i została zamustrowana jako asystent przyrodnika i botanika Philiberta Commersona. W czasach, gdy we francuskiej marynarce wojennej z rozkazu króla żadna kobieta nie mogła wejść na pokład okrętu, ryzykowała wysadzeniem na jakiejś bezludnej wyspie. Kapitan, będąc pod dużym wrażeniem determinacji i odwagi, pozwolił jej zostać. W rezultacie Baré została uznana za pierwszą kobietę, która opłynęła świat.

Dokładnie w tym samym czasie zrodziła się epoka Grand Tour, podróży edukacyjnych – Erasmusa owych czasów. W ślad za panami, dla nabrania dobrych manier, podążały do Włoch co odważniejsze panie z dobrych domów. Z Polek zasłynęły Teofilia Konstancja z Radziwiłłów i znana ze swobody obyczajów arystokratka Izabela Czartoryska. Powoli zaczęły upadać wszelkie klisze stereotypów. Kobiety łamały konwenanse, by oddać się pasji poznawania „nowego”. Zdobywały szczyty i eksplorowały pustynie, mierzyły się z głodem i wrogością tubylców. Realizowały swoje marzenia, nie bacząc na społeczne konsekwencje swoich wyborów.

Przez stulecia kobietom zainteresowanym geografią czy naukami przyrodniczymi bardzo trudno było dostać się na wyższe studia. Powstałe w 1830 r. Królewskie Towarzystwo Geograficzne, ostoja

eprasa.pl f863a161d9

poszukiwaczy wiedzy z dziewiczych obszarów geografii, archeologii czy antropologii, przez 83 lata było niedostępne nawet dla najbardziej wytrawnych podróżniczek. Wprawdzie pierwsza lady – Isabella Bird, która zjechała pół Azji i północną Afrykę, a w wieku 70 lat przejechała z Beduinami pół Sahary – dostąpiła wielkiego zaszczytu w 1892 r., jednak zarząd pod wpływem silnych presji tradycjonalistów wycofał się z tej koncesji. Dopiero od 1913 r. przedstawicielki płci pięknej mogły liczyć na przychylność władz towarzystwa.

Ćwierć wieku temu na londyńskiej galerii portretów „Z dala od utartych ścieżek – trzy stulecia kobiet podróżniczek" oglądałem ekspozycję niezwykłych, pełnych fantazji i determinacji kobiet, które rzucały się w wir podróżniczy, łamiąc ówczesne kanony i ograniczenia kulturowe oraz biologiczne swojej płci. Panie będące symbolem ekscentrycznej emancypacji akceptowały niedogodności i nie tchórzyły przed pająkami, wężami i robactwem. Niezrażone trudnościami dokonywały niewiarygodnych jak na tamte czasy wyczynów, wzbudzając admirację.

NIE TYLKO SILNE MIĘŚNIE

Freya Stark, Ida Pfeiffer, Jadwiga Toeplitz-Mrozowska, Isabella Bird czy Isabella Bishop to niektóre tylko postacie z panteonu gwiazd. Wiele z nich to piękne i czarujące kobiety. Niektóre były sławne, inne żyły skromnie, bez medialnego szumu. Podróżowały na grzbietach wielbłądów lub w wozach zaprzęgniętych w woły, przywykłe do twardego życia obozowego, do braku podstawowych wygód i prywatności. Narażając się na zasadzki, docierały samotnie do niegościnnych, oddalonych od cywilizacji osad, których mieszkańcy nigdy nie widzieli białej kobiety. Z pewnością nie były to miejsca stworzone dla płci słabej. Udowodniły, że aby wyruszyć w nieznane, wcale nie trzeba posiadać silnych mięśni. Zakochane w romantycznym uroku podróżowania płaciły wysoką cenę za swoją pasję, nierzadko były traktowane z pobłażaniem i potępieniem przez własną rodzinę.

Bywało, że jeszcze do niedawna kobiety odgrywały rolę „dekoracyjną". Stewardesy, które miały zaspakajać oczy pasażerów, w Air France nie mogły wychodzić za mąż do 1968 r., a ich koleżanki z Kataru Airways aż do 2015 r.

Kobiety niejednokrotnie uczestniczyły w moich długodystansowych wyprawach. Wnosiły zawsze trochę klasy do spartańskiego życia. Bywało, że w sercu dżungli przebierały się do kolacji, a na Saharze piły popołudniową herbatę z porcelanowej filiżanki. Zwykle byłem zadowolony z ich obecności, bo są bardziej dyplomatyczne i potrafią rozładować napięcia w grupie. Posiadają wyjątkowy zmysł obserwacji rzeczy drobnych, gestów i barw. Wykazują dużo zainteresowania szczegółami, i to nie tylko w kontekście geograficznym czy antropologicznym, lecz także w wielu aspektach związanych z życiem miejscowej ludności. Szybciej się dogadują. Potrafią lepiej od mężczyzn dzielić się swoimi przemyśleniami, wrażaniem i emocjami. Naturalny wdzięk, czasem kobieca wrażliwość „solo female traveller", samotnej podróżniczki, pozwalają na łatwiejsze nawiązanie kontaktów i szybsze przełamanie barier kulturowych.

W ostatnich latach coraz więcej kobiet decyduje się na samotny wyjazd. I nie jest to chwilowa moda, a trend, sposób bycia. Co roku ok. 1,5 mln Polek pakuje walizki, aby samotnie ruszyć w świat. Katarzyna, córka mojego przyjaciela, za którą raczej nie można się nie obejrzeć, powiedziała, że zdecydowała się na solową podróż po przeczytaniu gdzieś frazy: „Jeśli jest coś, co chcesz zrobić, to zrób to. Dobrze jest samodzielnie dochodzić do różnych rzeczy, nie pozwól, aby cokolwiek cię powstrzymało!". Mówiła, że często spotyka się ze zdumieniem wśród znajomych i ich niemal chorobliwymi pytaniami: „Samotnie?!". Wychodzi z założenia, że superważne jest, aby zawsze mieć głowę na karku, bo złoczyńcy są wszędzie, nawet pod naszym domem. Musimy zawsze być czujne, ale nie możemy też popadać w paranoję. Na wszelki wypadek na kursie samoobrony nauczyła się, gdzie trzeba kopnąć napastnika.

Najczęściej do samotnego wyjazdu skłania panie ciekawość nowych doświadczeń, chęć opuszczenia swojej „strefy komfortu", potrzeba wolności lub po prostu chęć oderwania się od codzienności. Mogą to być także wypalenie zawodowe lub żałoba, utrata poczucia własnej wartości czy depresja. Ostatnie badania ujawniają, że 5 proc. Europejek podróżuje samotnie z powodu ran emocjonalnych czy złamanego serca lub rozwodu. Zwykle mają średnio 32 lata, znają przynajmniej jeden język, w większości przypadków posiadają wyższe wykształcenie. Połowa z nich nie jest w życiu sama, ale zostawia w domu partnera lub męża.

KULTUROWE PUŁAPKI

Obowiązkowo trzeba pamiętać, że nasza zwyczajowość w stosunkach damsko-męskich różni się od innych kręgów kulturowych. Istnieją kraje, takie jak Iran, gdzie system prawny ani kultura nie respektują praw kobiet, a dyskryminacja widoczna jest na wszystkich płaszczyznach życia codziennego. W wielu krajach Europejki są etykietowane jako łatwo „dostępne" i szukające przelotnej przygody. Dlatego samotne podróżniczki muszą pamiętać, że ich obowiązkowe wyposażenie opiera się na rozsądku i ostrożności. W mojej szkole survivalowej było zawsze podkreślane, że płeć piękna jest narażona na znacznie więcej niebezpieczeństw niż mężczyźni.

Instruktorka powtarzała: „Nigdy nie dawajcie mężczyznom szans na utwierdzenie się w swoich uprzedzeniach. Wbijajcie sobie do głowy, że odzież wprawdzie zdobi człowieka, ale nie możecie myśleć o ubieraniu się w ten sam sposób w Warszawie i Marrakeszu, bo to nie będzie tak samo odczytane. Podróżując samotnie, nigdy, przenigdy nie powinnyście być zbyt seksowne. Niektóre kobiety przywiązują zasadniczą wagę do ubioru i uwodzenia, ale za granicą może to być niebezpieczne. Nie twierdzę, że jeśli założymy krótką spódniczkę, to nas zgwałcą, ale mogą sobie wulgarnie pożartować i to wystarczy, abyśmy poczuli się niekomfortowo. Nie dawajcie im satysfakcji, nie podsycajcie ognia.

Najważniejsze są wytyczenie bardzo wyraźnych granic i jasna interpretacja. Nigdy, przenigdy nie zachowujcie się dwuznacznie! Jeśli podróżujesz samotnie, to wiele osób myśli, że szukasz chłopaka, przygody. Traktują to jako zaproszenie do zbliżenia się. Nauczcie się kłamać, mówcie, że podróżujecie z przyjacielem, członkiem rodziny. Dla jeszcze większego bezpieczeństwa zawsze noś fałszywą obrączkę. Podróżniczko, pamiętaj o zasadzie: nie kuś losu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest reporterem i eksploratorem, twórcą survivalu w Europie, odkrywcą źródła Amazonki. Przepłynął samotnie Atlantyk szalupą ratunkową, uczył kosmonautów i elitarne jednostki specjalne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach. Napisał kilkadziesiąt książek.

eprasa.pl f863a161d9

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Szczebrzeszyn bez chrząszcza

JACEK KOMUDA

Szczebrzeszyn na Lubelszczyźnie sławny jest przede wszystkim z nazwy, prawie niemożliwej do wymówienia przez pludraków, i wiersza Jana Brzechwy o chrząszczu, który brzmi w trzcinie. Historia tego miasteczka jest o wiele bardziej ciekawa, sięga bowiem czasów pierwszych Piastów. Być może jeszcze w czasach Mieszka I powstał tutaj gród na skrzyżowaniu szlaków handlowych strzegący doliny Wieprza i polskiej granicy. W kolejnych latach był zdobywany i rujnowany, aż wreszcie po zajęciu Rusi Czerwonej przez Kazimierza Wielkiego powstał tutaj murowany zamek; na pewno istniał już w roku 1352, kiedy król przebywał tutaj w czasie podróży na rokowania z książętami litewskimi.

RYS. MART

W kolejnych latach Szczebrzeszyn uzyskał lokację na prawie niemieckim, przy czym historycy spierają się do dziś, czy nadał ją książę Władysław Opolczyk czy też król Władysław Jagiełło. Jedno jest pewne – w roku 1388 ten ostatni władca nadał miasto Dymitrowi z Goraja, podskarbiemu koronnemu, człowiekowi, dzięki któremu został władcą Polski. Dymitr bowiem był opiekunem małoletniej królowej Jadwigi i sprzeciwiał się planom wydania jej za księcia Wilhelma Habsburga, preferując w jego miejsce wielkiego księcia litewskiego.

Dymitr z Goraja osiągnął za życia wielkie zaszczyty – został marszałkiem koronnym, posłował do wielkiego mistrza krzyżackiego, zapraszając go na ślub królewski. Zgromadził ogromny majątek, który wszakże – wobec tego, że nie pozostawił męskiego potomka – odziedziczyli mężowie jego trzech córek i rodzina.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Szczebrzeszyn zaś przeszedł w posiadanie Prokopa z Goraja, bratanka Dymitra. Po nim zamek i miasteczko odziedziczył Jan Amor Tarnowski, wojewoda krakowski, ożeniony z Zygmuntą, córką wspomnianego Prokopa. Później przejęli go Kmitowie, wreszcie Górkowie.

Zamek i miasto trapiły pożary – w 1500 r. i we wrześniu 1583 r., kiedy spaliły się wszystkie akta i cała kancelaria rodu. Pod sam koniec XVI w. miasteczko przeszło w ręce Jana Zamoyskiego, który przyłączył dobra szczebrzeskie do swej ordynacji. Hetman i kanclerz wszedł w posiadanie miasta wykorzystując to, że poprzedni właściciele byli jego dłużnikami. Po początkowym okresie rozwoju pod rządami Zamoyskich Szczebrzeszyn podzielił los wielu innych miasteczek na wschodzie Polski, stając się w 1648 r. łupem kozaków Bohdana Chmielnickiego, którzy wymordowali miejscowych Żydów.

W kolejnych latach Szczebrzeszyn powtórnie padł łupem powstańców Chmielnickiego, potem Szwedów, na koniec okolicę spustoszyli Tatarzy. 4 października 1672 r. Ordyńcy z czambułu Dziambet Gereja dotarli na Lubelszczyznę, podchodząc aż pod Bełżyce, w Szczebrzeszynie zaś wymordowali wielu mieszkańców i okolicznych chłopów szukających schronienia w mieście, innych wzięli do niewoli. Tatarów rozbił hetman Jan Sobieski w czasie kilkudniowej wyprawy na czambuły, która do dziś stanowi jedno z jego najbardziej błyskotliwych zwycięstw.

Szczebrzeszyn wkrótce stał się widownią jeszcze bardziej dramatycznych wydarzeń. 23 listopada w kościele oo. Franciszkanów, obecnym św. Katarzyny, wojsko koronne zawiązało konfederację w obronie hetmana, który pozbawiony miał być urzędu przez konfederację gołąbską, zawiązaną przez szlachtę w obronie króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Rzeczpospolita podzielona była na dwa wrogie obozy, które dążyły do wojny domowej. Sobieski i prymas Prażmowski stali na czele stronnictwa malkontentów zmierzającego do obalenia nieudolnego króla, podczas gdy masy szlachty popierały „Piasta" i żądały z kolei wygnania z kraju malkontentów i odebrania im majątków.

Najgorsze, że konfederaci gołąbscy planowali kilka korzystnych reform – np. wprowadzenie kadencyjności urzędów kanclerza i hetmanów zamiast dożywotniego ich nadawania. Tymczasem plany te storpedował nie kto inny jak sam przyszły król Jan Sobieski, gdyż pozbawiały go władzy nad wojskiem. Ostatecznie w następnym roku doszło do ugody i pojednania, którego rezultatem było wystawienie silnej armii i zwycięstwo pod Chocimiem w listopadzie 1673 r. Szczebrzeszyn skorzystał na nim przynajmniej tyle, że nie powtórzyły się już niszczące najazdy tatarskie. ©℗

eprasa.pl f863a161d9

MERCEDES EQB 250+

FOT. JAP

Wygląd klasycznego rodzinnego SUV-a, zasięg powiększony do ponad pół tysiąca kilometrów, 495–1710 l pojemności bagażnika, napęd o mocy 190 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 385 Nm – to najważniejsze cechy całkowicie elektrycznego mercedesa. Nie jest on ani największy, ani najpotężniejszy, ale to właśnie on w całej gamie elektryków tej marki może się okazać najbardziej kuszący...

Niemiecki koncern tak bowiem skalkulował cenę tego modelu, aby auto zmieściło się jeszcze w górnych widełkach określonych przez twórców rządowego programu „Mój elektryk" (cena testowanego auta wynosi dokładnie 224,9 tys. zł).

EQB 250+ to więc samochód dla kogoś, kto z jakiegoś powodu potrzebuje właśnie elektryka i chciałby móc nim wozić rodzinę. To nie tylko jeden z najsensowniej wycenionych (stosunek ceny do jakości jest wręcz zaskakująco dobry), lecz także jeden z najbardziej praktycznych elektryków niemieckiej marki. Ważące 2105 kg pięciomiejscowe auto mierzy niemal 4,7 m długości, ma ciut ponad 2 m szerokości i dokładnie 1,654 m wysokości. Elektryczny napęd na jedną oś pozwala przyspieszyć od zera do 100 km/h w 8,9 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 160 km/h. Do e-rekordzistów sporo więc brakuje, ale jak na rodzinnego SUV-a jest nieźle. Zwłaszcza że zawieszenie jest zestrojone raczej z myślą o komforcie niż sportowych osiągach.

Kabina jest przyzwoicie wyciszona, ale przy prędkościach autostradowych „szum drogi" słychać już jednak nieco zbyt wyraźnie jak na auto z gwiazdą.

W podłodze modelu EQB 250+ znalazła się powiększona bateria o pojemności użytecznej (netto) 70,5 kWh, która według producenta pozwala na przejechanie nawet 532 km i którą na szybkiej ładowarce można podładować od 10 do 80 proc. w 35 minut. W 2024 r. ładowanie mogłoby trwać krócej, ale w tej cenie i tak nie ma co za bardzo narzekać. Na pochwałę zasługuje za to wyjątkowo oszczędne „spalanie". Podczas testu w mieście bez trudu można było zejść w okolice 11 kWh/100 km. Na trasie podczas testu średnie zużycie wyniosło 15 kWh/100, a na trasie ekspresowej mieściło się w granicach 19–20 kWh/100 km.

W kabinie jest imponująco dużo przestrzeni zarówno z przodu, jak i na tylnej kanapie. Bagażnik ma 495 l pojemności, a po złożeniu tylnej kanapy rośnie do 1710 l.

We wnętrzu skóra jest oczywiście ekologiczna, co można przeżyć. Drażnią jednak nieco zbyt twarde jak na tę markę plastiki. W testowanym wariancie brakuje też bezkluczykowego otwierania drzwi. Ładnie prezentują się za to nawiewy klimatyzacji oraz oba ekrany. Również fotele są dość wygodne. Ogólne wrażenie jest więc dobre.

Jak na rodzinne auto przystało, EQB 250+ został wyposażony w różne systemy zwiększające bezpieczeństwo pasażerów (ostrzeganie przed pojazdami w martwym polu lusterek, asystent pasa ruchu, alarmowanie o ryzyku kolizji i ostrzeganie przed ruchem poprzecznym podczas cofania). ©℗

EPSON ECOTANK L3286

Kompaktowy rozmiar, wysoka wydajność, niski koszt druku w przeliczeniu na jedną stronę, dobra jakość druku, intuicyjna obsługa, możliwość łatwego tworzenia różnych pamiątek z wakacji, a także skanowania i kopiowania – to największe zalety modelu EcoTank L3286 japońskiej firmy Epson.

Zdjęcia z najpiękniejszych podróży życia, ukochane fotografie dzieci, żony, męża, psa, kota etc. W smartfonach i na laptopach są ich tysiące, ale część z nich warto wydrukować i powiesić w ramkach na ścianie lub postawić na biurku w pracy. EcoTank L3286 to urządzenie, które sprawdzić się może zarówno w małej firmie, jak i w domu. Problemu ze znalezieniem na nie miejsca nie powinno być, ponieważ ważące zaledwie 4,1 kg urządzenie ma kompaktowe wymiary (375 x 347 x 179 mm). Kolejna dobra wiadomość: Epson odkrył, że obudowy mogą być białe, i ta właśnie taka jest. To ważne, bo białą drukarkę łatwiej postawić na biurku czy szafce przy ścianie, nie burząc wystroju wnętrza niepotrzebną czarną plamą. Wykonane z tworzywa sztucznego urządzenie jest matowe, więc nie zbiera odcisków palców. Obsługa jest banalnie prosta, chociaż kolorowy ekranik LCD o przekątnej 1,44 cala mógłby być jednak nieco większy. Obsługa sieci wi-fi działa bez zarzutu, co umożliwia łatwe drukowanie zdjęć nie tylko z laptopa, lecz także bezpośrednio ze smartfona (aplikacja Epson Smart Panel daje też opcję wysłania na drukarkę pliku z niemal dowolnego miejsca na Ziemi).

Deklarowana przez producenta prędkość druku to 33 strony na minutę w czerni i 15 stron na minutę w kolorze. Demon prędkości to więc nie jest, ale na potrzeby małej firmy czy domu spokojnie wystarczy. Bardzo ciekawym dodatkiem jest też możliwość drukowania zdjęć, i to nie tylko na tradycyjnych papierach fotograficznych, lecz także np. na nalepkach, papierze magnetycznym (dzięki któremu można samodzielnie stworzyć ulubiony magnes na lodówkę) czy papierze termotransferowym (umożliwiającym potem przeniesienie podczas prasowania fotografii np. na koszulkę). Za pomocą testowanego urządzenia można też skanować dokumenty (rozdzielczość wynosi 1200 x 2400 dpi). Dużym plusem jest też stosunkowo niski koszt eksploatacji dzięki systemowi pojemników z atramentem.

Wady? Największym minusem tego modelu jest brak automatycznego druku dwustronnego.

Cena: 1257 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

eprasa.pl f863a161d9

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Sezon ogórkowy

Tegoroczny sezon ogórkowy obfituje w wydarzenia, które zmieniają charakter leniwej i nieco nudnej kanikuły. Począwszy od dynamicznej sytuacji w Polsce, a skończywszy na wydarzeniach w USA. Dlatego tym bardziej należy sezon ten potraktować dosłownie i... zrobić przetwory.

Dziś o świeżych ogórkach, o tym, co możemy z nich przygotować i jak je jeść.

Zawierają dużo wody oraz błonnika, przez co regulują trawienie i wspierają metabolizm oraz dobrze nawilżają naszą tkankę oraz skórę. Mają właściwości antynowotworowe, zawierają fitoskładniki i flawonoidy, witaminy z grupy B oraz cenne składniki mineralne. Obniżają stany zapalne w organizmie i uspakajają nasze nerwy.

Tradycyjnie ogórki możemy jeść na surowo i na zimno, robimy z nich mizerię oraz dodajemy do sałatek. W kuchni azjatyckiej miejsce ogórka jest szczególne. Pojawia się w wielu przepisach, szczególnie w duecie z sezamem i chili. Przed podaniem Azjaci rozbijają ogórek płaską częścią noża, dzięki czemu uwalniają się cały smak i aromat. W kuchni azjatyckiej ogórki smaży się, gotuje, a nawet robi się z nich lody. To smaczny, orzeźwiający deser, a przepis jest prosty: wystarczy zmiksować obrane ogórki z miodem, miętą, sokiem z cytryny i wodą gazowaną, przełożyć do foremek na lody i zamrozić. Idealne na upały!

W naszej codziennej rutynie picia soków z wyciskarki nie zapominamy również o wspaniałym soku z ogórka z cytryną – to istna bomba oczyszczająca nasz organizm – tak zwany super food. Działa odmładzająco i nawilżająco, pomaga w zwalczaniu bólu głowy.

Ogórka możemy również wykorzystać w domowej pielęgnacji. Pokrojone plasterki położone na twarz i oczy wprowadzą nas w stan relaksu, uspokoją podrażnioną skórę, nawilżą i rozjaśnią przebarwienia. Korzystajmy zatem, póki lato w pełni, bo teraz mamy ogórki najsmaczniejsze i najbardziej wartościowe.

FOT. ADOBE STOCK

Zupa z ogórka i cukinii

• 500 g ogórka obranego ze skórki • 200 g cukinii zielonej • 1 cebula cukrowa lub biała • 3 ząbki czosnku • 100 g namoczonych nerkowców • liście mięty • sól, pieprz do smaku • garść nasion sezamu

Ogórki, cukinię i cebulę obieramy i kroimy na ćwiartki, ząbki czosnku obieramy. Wszystko przekładamy na sitko, układamy na garnku do gotowania z wodą i gotujemy na parze przez ok. 15 min tylko po to, aby warzywa zmiękły. Przekładamy wszystko do blendera, razem z przyprawami i orzechami nerkowca. Wszystko blendujemy z miętą przez ok. 5 min do kremowej konsystencji. Podajemy na ciepło, posypując sezamem i listkami mięty. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Fabryka i fabrica

Pociąg, którym jeździłam do Milanówka, mijał fabrykę traktorów w Ursusie. Wzrok dziecka prześlizgiwał się obojętnie po budynkach z czerwonej cegły i hasłach, które na nich wywieszono. „Niech żyje Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, bojowniczka o wolność narodu polskiego!", „Robotnicy zawsze z Partią!" itp. O godz. 14, gdy kończyła się zmiana, z bramy Ursusa wypływało morze zmęczonych robotników. Jeden z nich, spawacz pan Tokarski, był naszym sąsiadem. Kiedy wracał z pracy, troje dzieci biegło i rzucało się na jego teczkę ze skórzanych pasków: Tata, co kupiłeś? A on wyciągał z teczki dropsy albo bułkę z kruszonką.

Potem przyszły transformacja, Balcerowicz i fabryka okazała się niepotrzebna. Nie bardzo wiedziano, co zrobić z tym wielkim terenem zabudowanym halami produkcyjnymi z czerwonej cegły. Przez pewien czas wynajmowano, komu się da. Gdzieś na początku lat dwutysięcznych byłam tam nawet na pokazie mody.

Przemysłowy styl zaczynał być modny w pięknoduchowskim kręgu fashion, ale ja, patrząc na modelki w eleganckich ubraniach, spacerujące po wybiegu na tle zakurzonych i potłuczonych szyb, nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że to, co widzę, jest smutne. Traktory są chyba tak samo potrzebne jak modne ubrania, a może nawet bardziej. Bo jaki kraj da radę bez rolnictwa?

Minęło ponad 20 lat. Już nie jeżdżę pociągiem do Milanówka; raz tylko byłam w Ursusie, żeby oddać jakieś rzeczy charytatywnej fundacji. Błądziliśmy z mężem po labiryncie częściowo rozebranych, częściowo zawalonych budynków. Slogany zniknęły, raz po raz tylko na murach pojawiało się ogłoszenie „powierzchnia do wynajęcia".

W roku 2024 w Internecie wyskakuje mi reklama. „Mieszkania premium Fabrica Ursus". Prawda, że „fabrica" brzmi dużo bardziej światowo niż jakaś tam „fabryka"? „Budynki dawnej fabryki wkomponowane w nowoczesną inwestycję, do której wejdziesz przez imponujące patio w odrestaurowanej hali przemysłowej" – zachęca inwestor. Na wizualizacji wygląda jeszcze lepiej. Obrazek, uśliczniony jak każda wizualizacja, przedstawia nowe, zwykłe bloki, do których jak ozdobną broszkę przypięto starą halę produkcyjną z czerwonej cegły, z wielkim fabrycznym oknem. Prawie loft, jak w Nowym Jorku, nieprawdaż? Wokół zieleń, czerwień cegły, także malowniczo opleciona bluszczem. Na tym tle przechadza się para szczęśliwych młodych ludzi, którzy urodzili się już po tym, jak tu produkowano traktory.

Więc o co chodzi? Mieszkań brakuje, więc będą mieszkania, drogie, bo drogie, ale budować trzeba. Polacy lubią „klimatyczną" architekturę. Skąd weźmiemy traktory? Ale kogo to w ogóle obchodzi? Nie nasz problem. ©℗

eprasa.pl f863a161d9

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Były COVID byłego kandydata

Kiedy wracałem samochodem z podlaskiego weekendu, trafiłem akurat na jakąś stację radiową (okazało się, ale później, że to TOK FM), gdzie pan redaktor i areopag ekspertów dyskutowali nad newsem, że jednak Biden nie kandyduje. Mnie wystarczyła tylko ta wiadomość, ale nie wyłączyłem radia i byłem mimowolnym świadkiem rozmowy mainstreamu. Zgroza.

Znalazłem się w zorganizowanej bańce, nudnej w dodatku. Wszystkie dogmaty wyglądały na ustalone. Argumenty więc nie padały, tylko potwierdzenia postaw – stąd ta wspomniana nuda. Wymęczyłem się przy tym rytuale jak symetrystyczny potępieniec, ale jeden argument mnie zelektryzował: COVID.

Tak, bo okazało się bowiem, że Biden dostał COVID, co uważam za nową formę, tym razem przetestowanej, choroby dyplomatycznej. Wtedy – przed rezygnacją Bidena – wychodziło, że lepiej go schować na zapomnianej już kwarantannie, bo jak się nie będzie w kampanii odzywał, to… zwiększy swoje szanse na elekcję. Tak jak w pierwszej turze. Ale dziennikarz stacji użył przepięknie argumentu covidialnego. Otóż stwierdził on, że to, iż Biden dostał COVID, świadczy właśnie, iż dobrze zrobił, że zrezygnował z kandydowania, gdyż sam fakt zakażenia dowodzi, że jest w słabej formie.

Dzięki temu dowiedzieliśmy się kilku pandemicznych rzeczy naraz. Po pierwsze, że COVID nie zaginął, po drugie, że hula wśród ludzi, atakuje zaś (w testach, dodajmy) jedynie osobniki osłabione lub kandydujące. Po trzecie, że nabyliśmy odporność stadną, skoro tylko staruszkowie aspirujący do prezydentury się zakażają (czyli testują). Mamy więc wieści pozytywne – przeszliśmy to, uodporniliśmy się, a więc nie należy wierzyć apokaliptycznym opowieściom głównego sanitarysty Polski, który, w nagrodę za postawę pandemiczną, objął stery GIS, by na podstawie monitorowania odchodów (sic!) z kanalizacji polskich miast tropić śmiertelny marsz poczciwego omikrona.

Ja od razu mówiłem, żeby dać sobie spokój z testami, bo to napraszanie się o wyrzucenie, jak kuli, z maszyny losującej. Wystarczyło tylko zbić ten termometr, który sygnalizował fałszywą gorączkę. Jestem więc pewien, że ani Trump, ani jakaś tam Kamala testów sobie nie zrobią, bo to może zabić ich kampanię, czyli wedle nauk sprzed dwóch–trzech lat… zakażą całą populację, i znowu wrócimy do amerykańskiego zarządzania pandemią. Ciekaw jestem tylko, czy Trump już wie, że za pierwszej swojej kadencji dał się z COVID wyprowadzić w pole i że także przez niego przegrał poprzednie wybory. I co zrobi z tą wiedzą, jeśli zostanie prezydentem? ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Niebezpieczne gry

Panie Janku, proszę podziękować pani Magdzie za świadectwo – usłyszałem za sobą. Odwróciłem się i zobaczyłem elegancką kobietę po czterdziestce. Okazało się, że poruszył ją mój wywiad z osobą po tranzycji płci, opublikowany na kanale Afirmacja TV. Film pomógł jej zrozumieć mechanizm psychologicznego zafiksowania dotykający jej córki. Świadectwo Magdy pokazuje też, jak działa system orzecznictwa seksuologicznego i psychiatrycznego, który zamiast rozpoznać problem, indukuje nową tożsamość, wtłaczając pacjenta/pacjentkę w tryby interwencji hormonalnych i nieodwracalnych okaleczeń chirurgicznych.

Matka opowiedziała, że 14-latka nagle zaczęła ubierać się po męsku, orzekła, że jest chłopcem, i zażądała, aby zwracać się do niej męskim imieniem. Mimo sprzeciwu matki (tatuś odszedł pół roku temu) nauczyciele i część uczniów roszczenia dziewczynki potraktowali poważnie, a szkolna psycholog, zamiast rozpoznać problem, utwierdza ją w nowej roli, podburzając przeciw matce. To właśnie od szkolnej psycholog moja rozmówczyni usłyszała, że jest „złą matką” i że jedyną możliwą postawą jest akceptacja oczekiwań córki.

Na nic się zdała polemika i przywoływanie przez matkę naukowych źródeł wskazujących, że nie istnieje coś takiego jak młodzież LGBT, że 90 proc. wszystkich nastolatków deklarujących w okresie dojrzewania zaburzenia płci po jakimś czasie z tego „wyrasta” i jest zdolnych założyć normalne rodziny. Kobieta wskazywała też, że dziewczyna jest zauroczona rówieśnikiem, że widzi, jak „grają hormony”, jak dziewczyna się zmienia pod wpływem tej relacji. Okazuje się jednak, że chłopiec określił się jako gej, a córka, najprawdopodobniej chcąc być z nim, brnie w tożsamość trans.

Opisany przypadek niestety nie jest odosobniony. Po publikacji „Świadectwa Magdy” na pocztę e-mailową afirmacja.info przychodzą listy z opisem podobnych sytuacji. Jest tego na tyle dużo, że Magdalena, wraz ze wspierającym ją dziś w procesie detranzycji psychologiem, zamierza uruchomić poradnictwo. 23 lipca sejmowa Komisja ds. Petycji rozpatrzyła opracowany przez Instytut Ordo Iuris projekt ustawy o zakazie wykonywania tranzycji, czyli operacji tzw. zmiany płci wobec osób małoletnich. To ruch w dobrą stronę, ale w ślad za tym powinien iść kolejny projekt – karania zideologizowanych nauczycieli i pseudopsychologów za pomocnictwo, czyli utwierdzanie w zaburzeniach nieszczęśliwych dzieciaków. Przecież na końcu tego procesu, jak pokazał nasz film, jest amputacja zdrowych organów. Nadzieje budzi głosowanie w sprawie depenalizacji aborcji, które pokazało, że nawet w tym Sejmie jest większość skłonna odrzucić szkodliwe ideologiczne szaleństwa. ©℗

eprasa.pl f863a161d9

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

W pewnym sensie śliczne

Krystyna jest zakochana w anatomii skóry (!), proszę państwa, sama tak o sobie napisała. Stop. Napisała też, że jest dziewczyną ukraińską oraz że specjalizuje się w upiększaniu okolicy... oka i brwi. Stop. Krystyna Voronowska została oficjalną asystentką Donalda Tuska, a zdjęcia w Internecie, które pokazuje (swoje zdjęcia), określane są jako w pewnym sensie śliczne. Stop. Tu kończymy, gdyż sprawa jest rozwojowa, a nam się nigdzie nie spieszy.

Cyrkową dyplomację prowadzi w imieniu Polski rodzina Sikorskich-Applebaumów. Stop. Radek Sikorski wysyła do USA prawie ambasadora Bogdana Klicha (prezydent nie zgadza się, żeby Klich był ambasadorem, więc będzie miał niższą dyplomatyczną rangę), który nazwał publicznie Trumpa „niezrównoważonym i nieszanującym demokracji politykiem", a teraz żona Radka, Anne Applebaum, opublikowała w amerykańskiej prasie artykuł pt. „Trump wygląda na jeszcze starszego i bardziej obłąkanego". Stop. Jeśli Trump zostanie prezydentem Ameryki, a wszystko na to wskazuje, to możemy liczyć na jego kordialność. Stop. Ale Applebaumowie nie za bardzo.

Urszula Zielińska na etacie wiceministra klimatu rzekła w czasie wywiadu w radiu, że transport rzeczny jest nieopłacalny. Stop. Naprawdę tak powiedziała. Stop. Niemcy np. to w ogóle o tym jeszcze nie wiedzą i korzystają z transportu rzecznego, ile rzeki uniosą. Stop. Wychodzi na to, że nieopłacalny jest dla nas, bo Zielona Ula ma oryginalny pomysł na unowocześnienie Polski, a mianowicie uczynienie z Polski skansenu, dodajmy – biednego skansenu. Stop. Uprzedzam państwa pytanie, to ta sama pani Zielińska, która protestowała przeciwko przekopowi Mierzei Wiślanej, bo by nam rzeka odpłynęła do morza. Stop. Zieloni to tacy powoli dojrzewający czerwoni... Stop. A na koniec perełka z tego wywiadu przeprowadzonego przez zdziwionego Grzegorza Osieckiego: „Największy problem z Odrą jest taki, że tam brakuje rybom wody do życia" – powiedziała pani minister, a ryby aż oniemiały.

Nie chce mi się specjalnie zajmować Martą Lempart, która znowu przynudza, żeby politycy, którzy nie zgadzają się na aborcję na pstryknięcie palców, wypierd..... Stop. Już sam fakt, że 45-letnia lesbijka jest fronterką walki o aborcję, wydaje mi się emblematyczny (nauczyłem się nowego słowa, mam nadzieję, że dobrze użyłem). Stop. Natomiast nie wiem, czy nie mamy do czynienia z nowymi żądaniami, bo osoboaktywiszcze występujące obok Lempart w czasie demonstracji przez mikrofon wykrzyczało (przepraszam): „..uja nam zrobicie". Stop. Czy NFZ ma być obciążany? ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Psiecko i psiseł

Bardzo pouczająca dyskusja rozgorzała ostatnio wokół krzywdzących rzekomo dla zwierząt słów prof. Bralczyka. Krytycy profesora głosili, że u podstaw ich światopoglądu leży równość człowieka z otaczającymi go zwierzętami. „Psy są członkami naszych rodzin" – argumentowali. „Nie czuję do ludzi niczego, czego nie okazało mi »psiecko«".

Jak na gwizdek odezwali się naukowcy. „Psy rozumieją więcej, niż wydaje się ludziom" – zapewniła Marianna Boros, psycholożka i neurolożka z Uniwersytetu ELTE w Budapeszcie. Okazuje się, że czworonogi rozumieją nazwy przedmiotów. „Jeśli opiekun powiedział »piłka«, a pokazał frisbee, to u 14 z 18 psów odnotowaliśmy inną aktywność mózgu – reakcję zaskoczenia, bardzo podobną do tego, co widać w takim badaniu u ludzi". Nie wszystkie psy mają podobne zdolności. „Rekordzista znał nazwy 230 przedmiotów. Ale był taki, który kojarzył tylko trzy".

Psycholożka z Uniwersytetu Londyńskiego dr Caroline Kamau-Mitchell odkryła, że od psów nauczyć się można sztuki szczęśliwego życia. „Korzystaj z każdej chwili i staraj się poczuć radość, gdziekolwiek jesteś. Po prostu »pomerdaj ogonem«" – zachęca ludzi uczona.

Jeśli człowieka od zwierząt rzeczywiście nie dzieli żadna zasadnicza różnica, to w ramach okazania szacunku i wyrównania krzywd zwierzęta obdarzyć należy prawami wyborczymi. Na razie powinny to być prawa wyborcze bierne, pilotażowo przeznaczone tylko dla psów.

Mianowany przez Kaligulę konsulem koń Incitatus już przed wiekami wprowadził zwierzęta w domenę parlamentaryzmu. Konie są jednak kłopotliwe w utrzymaniu, wymagałyby na sali obrad specjalnych boksów i mogłyby sprawiać kłopoty natury higienicznej. Koty są zbyt niesforne i nie podlegają tresurze. Naszym przywódcom partyjnym najlepiej w partyjnych ławach posłużyć mogą pieski.

Już kilka lub kilkanaście tych wiernych stworzeń wybranych na posłów byłoby dla dwunożnych kolegów przykładem bezwarunkowego oddania liderom. W czasach rozrywających niejedną partię nielojalności i zdrad „jedzący wodzowi z ręki" parlamentarzysta nie byłby już złośliwą metaforą, a rzeczywistym wzorem postępowania. Wielu utytułowanych naukowo posłów chwali się, że w historii głosowań w 100 proc. zgodni byli ze wskazaniami partyjnymi. Ich zwierzęcy koledzy, zmotywowani kiełbasą, zagłosują równie lojalnie, a w odszczekiwaniu się rywalom mogą być skuteczniejsi. Wsparcie Brukseli należałoby się tak różnorodnemu parlamentowi jak psu buda, a i amerykańskie elity „woke" z pewnością poprosiłyby naszych reprezentantów o łapę. ©℗

eprasa.pl f863a161d9

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Kto tu jest człowiekiem?

Zajadłość, z którą lewica walczy z życiem nienarodzonych dzieci, skłania do poważnej refleksji nad istotą człowieczeństwa. Jak można twierdzić, że aborcja ratuje życie, i jak można nie zauważać, że „depenalizacja" aborcji oznacza w praktyce aborcję na życzenie? Używanie określeń typu „pro-choice" lub „depenalizacja" to jedynie kamuflaż przyzwolenia na zabijanie. Kiedy zwolennicy aborcji mówią o „polskim skansenie" czy „średniowieczu", doprawdy nie wiedzą, co mówią. Zaślepieni „mrokami średniowiecza" nie wiedzą zapewne, że znacznie wcześniej, jeszcze przed chrześcijaństwem, sprawy miały się z ich punktu widzenia jeszcze gorzej.

Głównym celem małżeństwa było u Rzymian spłodzenie dzieci. O spędzaniu płodu nie było mowy

Medycy starożytni nie mieli co do początku ludzkiego życia jasnego stanowiska. Wyciągali jednak z tej niejasności zupełnie inne wnioski niż współcześni rzecznicy cywilizacji śmierci. Bronili bowiem życia.

Z obserwacji i doświadczenia słynnego Hipokratesa z Kos wynikało, że płód człowieka rozwija się stopniowo, wykształcając poszczególne funkcje życiowe. Uczony nie określił momentu, od którego można mówić o człowieczeństwie płodu, ale był zdecydowanym obrońcą życia płodowego. Uważał bowiem, że od momentu poczęcia do narodzin człowieczeństwo staje się czymś nieuchronnym, a więc życia należy bronić od poczęcia.

Hipokrates pozostawił przysięgę zawodową, która stawia przed lekarzami wysokie wymagania moralne. Są tam m.in. dwa przyrzeczenia: „Nie zapiszę nikomu, by go zadowolić, lekarstwa śmiertelnego ani nie udzielę mu rady, która może go uśmiercić; nie dam żadnej kobiecie pessarium w celu aborcji". Nie wszyscy lekarze składają tę przysięgę, lecz odmowa jej stosowania zagraża naszemu życiu i zdrowiu.

Z podobnych co Hipokrates założeń wychodzili prawodawcy rzymscy. Rodzina i jej ciągłość pokoleniowa odgrywały tu wielką rolę, a pozycja ojca rodziny była wyznacznikiem pozycji w społeczeństwie. Od czasów królewskich Rzymianie potępiali spędzanie płodu, zwanego w prawie „nasciturus". O nienarodzonym dziecku mówiono jako o „przyszłej istocie". Rozkosze Amora były czymś odrębnym, ale głównym celem małżeństwa było u Rzymian spłodzenie potomstwa. O spędzaniu płodu nie było mowy.

Ważną kwestią było tu pojęcie ojcostwa. Odróżniano ojcostwo w sensie prawa natury, wynikające ze statusu męża wedle zasady „mater semper certa est: pater est, quem nuptiae demonstrant" („matka jest zawsze pewna, ojcem jest ten, na kogo wskazuje małżeństwo") i „okresu koncepcyjnego", od ojcostwa nabywanego na mocy prawa cywilnego. W rozprawach dotyczących sprecyzowania ojcostwa prawnego brano pod uwagę także interes dziecka. Praktycznie nieznane były orzeczenia godzące w prawo nasciturusa do życia. Co więcej, dziecko poczęte nabywało w łonie matki niektóre prawa, np. prawa majątkowe. Dotyczyło to oczywiście dzieci legalnych małżonek. W przypadku niewolnicy pan i władca też na ogół dbał o jej przychówek, bo dostarczała mu rąk do pracy.

Przykłady aborcji były opisywane przez rzymskich moralistów z odrazą. Cycero wspominał pewną kobietę z Miletu, która po śmierci męża przyjęła pieniądze od jego krewnych, w zamian za co uśmierciła swoje poczęte, a nienarodzone jeszcze dziecko, zażywając środki poronne. Miało to oczywiście służyć zachowaniu przez krewnych, którzy to opłacili, prawa do dziedziczenia po zmarłym. Cicero nie wątpił, że kobietę spotkała słuszna kara. Nawet swawolny Owidiusz określał aborcję jako zbrodnię (crimen) prowadzącą do zniszczenia „delikatnego płodu". Wypowiedź tę warto dedykować wszystkim zajadłym rzecznikom aborcji.

Mówiąc o początku życia ludzkiego, nie można zapominać, że jesteśmy jako ludzie nie tylko sędziami, który wydają opinie, lecz także ocenianymi podmiotami. Jeśli wypowiadamy jakiś sąd o życiu płodowym, to nie zapominajmy, że podobny sąd wydał ktoś inny co do naszego istnienia. Jeśli żyjemy, to znaczy, że nasza matka podjęła trud dźwigania nas pod sercem, wydania na świat i niańczenia aż do chwili, gdy będziemy bardziej samodzielni. Jeśli oceniamy tak albo inaczej życie innej osoby, to nie zapominajmy, że to samo odnosi się do naszego życia, bo tak samo może je potraktować ktoś inny. Rozbudowa katalogu praw człowieka we współczesnym świecie wydaje się absurdalna, skoro zwalcza się prawo do życia dziecka poczętego. W starożytności o prawach człowieka bardzo mało mówiono, ale prawa do życia dziecka poczętego nie kwestionowano. ©℗

eprasa.pl f863a161d9

SPISEK

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Trump nie był pierwszy – kto zlecił zamach na prezydenta Kennedy'ego? Teorie spiskowe kolejno wymarły, została jedna odpowiedź ogólna: państwo amerykańskie zastrzeliło własnego prezydenta z pomocą służb, które potem prowadziły śledztwo we własnej sprawie. Zamknięto je raportem o samotnym zabójcy bez motywu i zaplecza. Ha, ha, ha – w te opowieści nie wierzy 70 proc. Amerykanów.

Gdyby to był samotny zabójca bez ZAPLECZA, to przecież dokumenty ze śledztwa nie byłyby wciąż tajne. Gdyby to był sowiecki agent, nie byłyby tajne. Zemsta mafii (Kennedy ją skutecznie zwalczał) – też nie byłyby tajne. Spisek wiceprezydenta Johnsona (przejął prezydenturę po zamachu) – nie byłyby tajne, bo on dawno nie żyje, ani żaden inny z uczestników takiego spisku.

Trump obiecywał, że odtajni dokumenty śledztwa. Nie zrobił tego i nie podał powodu. Żaden z jego poprzedników też nie, a każdy prezydent mógł. Widocznie w tych papierach jest coś takiego, że nadal nie leży w interesie Stanów Zjednoczonych ujawnienie prawdy.

FBI już nie kryje, że brało w tym udział – przestali z oburzeniem dementować informacje, że to robota tajnych służb. Nie boją się odpowiedzialności – tacy są mocni.

***

Przykładem, że służby nie boją się odpowiedzialności, jest zamach na Trumpa.

Śledztwo prowadzą służby, które dopuściły lub doprowadziły do zamachu. Śledztwo we własnej sprawie. Ujawniają swoje niedopatrzenia i zaniechania, przyznają publicznie, co i gdzie zawalili.

Do Trumpa strzelał samotny człowiek bez zaplecza – tak ogłosili, zanim weszli do telefonu zamachowca, który mógł przecież zawierać kontakty, zlecenia, rozmowę z Iranem.

Zwykły telefon, ale FBI przez kilka dni nie jest w stanie złamać haseł? Mamy w to wierzyć? Polski kieszonkowiec amator jest w stanie sczytać twoją komórkę – FBI tym bardziej. Zatrudniają wybitnych hakerów. Łapią ich, a potem proponują: „Od dzisiaj pracujesz dla nas". Nikt nie wierzy w to, że przez kilka dni nie potrafili złamać hasła. Bardziej prawdopodobne jest, że byli w tej komórce i usuwali dane. Bo czy to prawdopodobne, by współczesny 20-latek nie miał absolutnie żadnej historii w sieci? Nigdy nie był na mediach społecznościowych, nie wywiesił niczego nigdzie; nie istniał na Facebooku, Instagramie – nigdzie, nigdy od początku swego życia? Mamy w to wierzyć?

Chłopak, którego wywalili z klubu strzeleckiego, „bo był beznadziejny w strzelaniu", oddaje osiem strzałów, zabija jedną osobę, rani trzy, a wszystko to, ZANIM zawodowi snajperzy z US Secret Service potrafią go namierzyć i trafić. Potem dowiadujemy się, że agent Secret Service widział zamachowca 20 minut wcześniej, a lokalna policja godzinę przed zamachem. I pozwolili Trumpowi wejść na mównicę? To niezgodne z procedurą i ze zdrowym rozsądkiem, ale nikt nie wyleciał z pracy. „Przeoczenie", a zamachowiec „działał samotnie". Podszedł do budynku niedaleko trybuny, wszedł na dach na oczach służb, ułożył się do strzału… Wszystko bez udziału osób trzecich. Wcześniej służby widziały, jak mierzył odległości za pomocą urządzenia dla myśliwych i grających w golfa, które pozwala nastawić się do konkretnego strzału. Dokonał zamachu, ale nie zostawił żadnego listu, manifestu ani wyjaśnienia, dlaczego to robi...

Wcześniej ochrona Trumpa nie została wzmocniona pomimo wielokrotnych próśb, które kierowano po tym, jak Iran wpisał go na listę śmierci. Aha i wewnątrz budynku, z którego oddano strzały, byli agenci i pilnowali od środka w czasie, gdy zamachowiec chodził po dachu. „Kazaliśmy im siedzieć w środku, bo dach jest pochyły (5 proc.) i nie chcieliśmy, by któryś z agentów uległ wypadkowi" – tłumaczyła dyrektorka Secret Service, którą zatrudnił Joe Biden. Ale jednocześnie snajperzy, którzy ostatecznie zastrzelili zamachowca, byli wystawieni na innym dachu o nachyleniu 45 proc. A my mamy teraz zaufać wynikom śledztwa prowadzonego przez ten sam Departament, który kazał agentom grzebać w szufladach z majtkami Melanii Trump.

***

Pośród teorii dotyczących zamachu na Kennedy'ego pojawia się jeden winowajca wciąż żywy i na tyle potężny, że strach go ruszać (reperkusje byłyby globalne) – Rezerwa Federalna (FED), czyli instytucja odpowiedzialna za wypuszczanie na rynek nowych pieniędzy. W roku 2020, podczas kryzysu, FED stwierdził, że dodrukuje „tyle dolarów, ile będzie potrzeba". Odbyło się wtedy „luzowanie ilościowe", czyli emisja bez ograniczeń.

Jak to możliwe, by tak drukować forsę? Przecież na każdy papierowy pieniądz powinno być jakieś pokrycie w konkretach, w towarze, w majątku trwałym… Tak było kiedyś, gdy istniał parytet złota. Na papierowych pieniądzach było wtedy napisane, że bank centralny na każde żądanie wymieni ci ten papierek na złoto. W tamtych czasach nie dało się drukować pieniędzy bez końca, bo musiałeś mieć fizyczne zasoby złota pod każdy wydrukowany banknot. Gdy państwo było bogate, kupowało więcej złota i wypuszczało więcej banknotów. Banki udzielające kredytu mogły go udzielić tylko tyle, ile było złota w skarbcu, i to się nie podobało bankierom.

Bankierzy wolą pieniądz pusty – pozwala im robić pieniądze z niczego. Doprowadzili więc do stworzenia FED, który drukuje „tyle dolarów, ile będzie trzeba". Gdyby FED zlikwidować, reperkusje byłyby KOLOSALNE, bo stopniowo zniknie z rynku pieniądz bez pokrycia.

Pół roku przed zamachem Kennedy wydał „Dekret prezydencki 11110", który likwidował uprawnienia FED do emisji pieniądza „pustego", a rząd federalny miał przejąć wyłączne prawo do emisji pieniądza mającego pokrycie w srebrze posiadanym przez USA. (Wybrano srebro, bo jest go fizycznie więcej niż złota). Na rynek weszły miliardy dolarów w banknotach mających parytet srebra. Po zabójstwie prezydenta wycofano je, a w 1964 r. zawieszono ich wymianę na srebro. Od tamtej pory władze USA nie podjęły kolejnej próby likwidacji pustego pieniądza.

W razie potrzeby bankierzy obalają prezydentów. Przykład: Biden nie chciał odejść. Bankierzy odcięli finansowanie kampanii. Biden odszedł. ©℗

eprasa.pl f863a161d9

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KS. BOGUSŁAW KOWALSKI W ROZMOWIE Z KATARZYNĄ SZKARPETOWSKĄ:

„CHŁOPAK Z PRAGI"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~514~~ ZŁ

233,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 281ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl f863a161d9

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

NIEMIECKIE LUDOBÓJSTWO NA WOLI

Zgładzona dzielnica – Piekło tamtych mordów przyćmiewa wszystkie inne niezliczone zbrodnie popełnione w sierpniu i we wrześniu 1944 r. na mieszkańcach stolicy Polski

„To Bóg mnie tak poprowadził" – Cudownie ocaleni z zagłady Woli do końca życia dawali świadectwo o cierpieniach polskich ofiar

Niezwykłe narodziny syna Marsa – Czy przyjście na świat Bolesława Krzywoustego było efektem interwencji św. Idziego?

Licytacja Piłsudskiego – Sto dziesięć lat temu oddziały strzeleckie wyruszyły na wojnę z Rosją. Dziesięć dni później powstały Legiony Polskie

Cesarz legenda – Barbarossa był ostatnim niemieckim władcą, który usiłował zrealizować wizję uniwersalnego cesarstwa w starym stylu

Swastyka i trójząb – Pod koniec wojny dość nieoczekiwanie drogi Niemców zeszły się ze ścieżkami jednego z ich dotychczasowych wrogów – UPA

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl f863a161d9